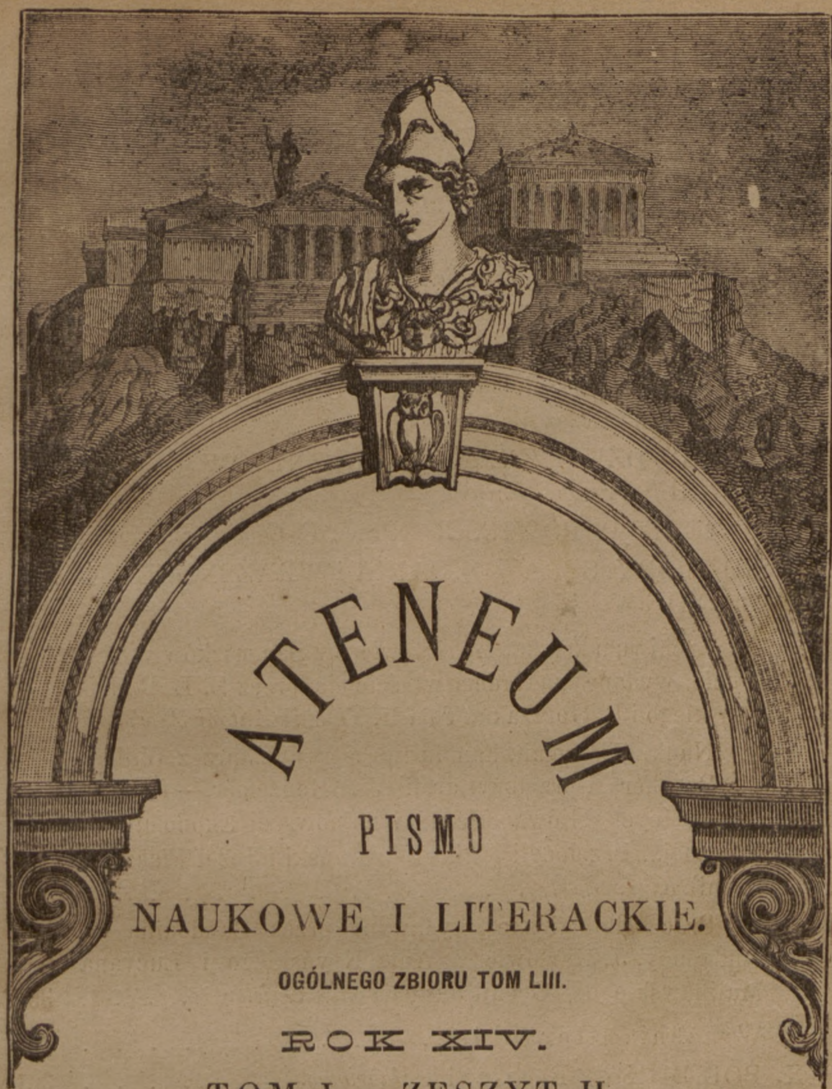


ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIII.

ROK XIV.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 5 Lutego 1889 r.



POPULARNOŚĆ.

Czy Leopold I, król belgijski, był popularnym monarchą? Tak jest, odpowiadają historycy, był najpopularniejszym wśród książąt europejskich pierwszéj połowy naszego wieku. Czy syn Izraela, lord of Beaconsfield, był popularnym mężem stanu w Anglii? Tak jest, odpowiadają spółcześni, ale popularność jego datowała się dopiero od traktatu berlińskiego (1879). Czy Beranger był popularnym poetą francuskim? I owszem, a piosnki jego przeszły w usta ludu francuskiego. Czy mowy i artykuły Huxley'a są popularne? Tak jest. Czy Jan Zamojski, onego czasu, gdy zaproponował, ażeby każdy szlachcic głosował na wybór króla, był popularnym mężem stanu? I bardzo stał się popularnym, naturalnie tylko wśród braci szlachty, która siebie jedynie uznawała za naród. Czy Karpiński jako poeta był u nas popularnym swojego czasu? Niewątpliwie, gdyż sentymentalne jego rymy śpiewywano po dworkach szlacheckich, a pieśni religijne dotychczas śpiewają po kościołach. Zresztą, ten lub ów kwestarz, co dobrze sycił miody, a był gadatywus i politykus, czyliż nie zasłużył na przydomek popularnego, gdy z klasztoru wyszedł bez sakwy, jedynie z tabakierą, a wracał parokonnym drabiniastym wozem, pełnym różnorodnego prowiantu dla braci zakonnéj? Istny to był spichlerz, a kiedy umarł, mówili ojcowie, że im się spichlerz przewrócił. I ten był popularnym w kilkomilowym promieniu od swojego klasztoru. Alboż szewcy i rzeźnicy nie bywali popularni? Słowem, wszelkie stany miewają takie indywidua, które przechodzą w tradycyą ludu i żyją trwaléj, niż w księgach historyków.

Ale czém się dzieje, że pewne postaci żyją w pamięci ludu, że są popularne, albo że pewne utwory ołówka, pędzla, pióra wnikają głębiéj w serca społeczeństwa od innych? Zapewne dlatego, że postacie owe dbały więcéj od innych o sprawy ludu, że utwory

owe odpowiadały lepiéj od innych zarówno potrzebom serca, jak i skali umysłowego rozwoju spółczesnych sobie ludzi. Tak nam się zdaje w istocie; na przypuszczenie takie naprowadza i etymologia wyrazu popularność. Przecież popularność jest córką populusu, ludu, albo jak dawniéj mówiono, gminu. Łaciński jego początek cofa nas do Rzymian, którzy mężom gorliwym o sprawy ludu nadawali zaszczytne przydomki *publicola*, *poplicola*, niby sług ludu. Dzisiaj zamieniliśmy pojęcie stare, związane z wyrazem publicola, na demokracyą i dzisiaj również demokratyzm, prąd demokratyczny brane są w znaczeniu dodatniém, zaszczytném, jeżeli nie przez wszystkich, to przynajmniéj przez tych, którzy sprawy najliczniejszéj warstwy narodu stawią wyżéj od interesu małéj stosunkowo liczby jednostek stojących i umysłowo i materyalnie na wyżynach społeczeństwa.

Nie wdając się w głębszą etymologią wyrazu „popularność", ani obstając za tém, żeby pojęcie, łączone z nią dzisiaj, było identyczne z demokratyzmem i prądem demokratycznym: zauważmy jedynie, że komukolwiek z ludzi dodają przydomek popularny, albo jakiekolwiek utwory nazywają popularnemi, zawsze przywiązują do nich pewną myśl, mianowicie, że postaci te, że utwory te były, lub są zbliżone do ludu, że losy jego na sercu im leżą. Jeżeli zaś interesa, bóle i radości ludu rzeczywiście umiłowali i dla niego pracują, piszą, żyją, tedy zrozumiemy dlaczego spotykają echo w tych właśnie warstwach społeczeństwa, dlaczego nazwiska ich przekazuje pokolenie pokoleniu, dlaczego są popularnymi.

Doświadczenie wszakże uczy nas, że nie wszyscy wybitniejsi działacze społeczni dbają o popularność; słyszeliśmy i takich, którzy, gdy ich opinia zaczęła podnosić i obdarzać zaufaniem, gdy się stawali popularnymi, pytali samych siebie, czy jakiego głupstwa nie popełnili. Było-to oczywiście lekceważenie opinii, może nawet szczere przekonanie o swojéj wyższości umysłowéj, może skromność rzetelna starająca się czynić dobrze i w téj świadomości znajdująca dostateczne zadowolenie. Wogóle jednak zdaje nam się, że wyłączywszy takie spartańskie charaktery, ogromna większość społecznych działaczów pragnie popularności jako pewnéj nagrody za swoje czyny, dla dobra ludu dokonane. Chęć zostania popularnym może być tedy i celem i pobudką do działania w interesie publicznym; przeciwko takiéj chęci niemasz nic do nadmienienia, jest-to bowiem gatunek sławy, a sława, jako pobudka do czynów pożytecznych, wzniosłych, zawsze była przez etykę ceniona.

Popularność, będąc celem, staje się nieraz i środkiem do przeprowadzenia pewnych celów, czy to osobistych, czy ogólnych;

w pierwszym razie ganimy ją, w drugim chwalimy. Osobliwie téż ludzie stojący na czele, pragnący doprowadzić do skutku niemiłe dla społeczeństwa reformy, potrzebują uznania i poparcia ogółu, téj jak Rzymianie nazywali *aura popularis*, atmosfery sprzyjającéj, życzliwéj, którą tworzy głos ludu. Mogą projektowane reformy być najzbawienniejsze, narozumniéj pomyślane, gdy jednakże autor ich jest niepopularny, gdy na nim ciążą zarzuty samolubstwa, pyszałkowstwa, pogardy dla niższych, albo co ważniejsza, z kodeksem prawnym i obyczajowym niezgodne czyny, należy przewidywać, iż zalecane przez niego zmiany, nawet nie obrażające interesów klasowych, niechętnie będą widziane: niepopularność autora udzieli się i jego projektom.

Z tego, co powiedziano, zdawałoby się wynikać, iż działacze społeczni pragnący służyć ogółowi swoim rozumem, doświadczeniem, majątkiem, powinniby się starać, oczywiście drogą uczciwą. o życzliwość tegoż ogółu, czyli o popularność. Jakoż, znający się na trudnościach, jakie nazbawienniejszym reformom zgotować może źle usposobiona masa społeczeństwa, usiłują zdobyć wprzód popularność wśród ludu, nawet wtenczas, gdy rozporządzają materyalną siłą, wystarczającą do przeprowadzenia zamierzonych odmian. Niejeden z mężów stanu żałował po niewczasie zaniedbania tego środka, który mógł się zdawać niegodnym rozumnego człowieka. Zwykle tacy wyniośle traktują aurę popularną i sądzą, że gdy dla dobra ogółu działają, już to samo powinno wystarczyć do obudzenia dla nich i zamierzonéj roboty życzliwości ogółu. Tymczasem dzieje się inaczéj: ogół to wielka masa głów, namiętności i interesów, które nietylko przekonywać i zadawalniać potrzeba, ale również ugłaskać, pociągnąć, obudzić dobrą wiarę i ufność, że się ich na manowce nie zaprowadzi.

Gdyby się czytelnik zgodził ze mną na twierdzenie, iż dbać o popularność, jest rzeczą etycznie godziwą, mógłby pójść daléj, ażebyśmy rozważyli, jakiemi drogami ludzie do owéj powszechnéj wziętości dochodzą. Zastrzegliśmy wprawdzie, że tylko uczciwą drogą popularność zdobywać sobie należy; wiemy jednak, że nie zawsze tak się działo i do dziśdnia dzieje. Bo oto przypuśćmy, że komuś chodziło o zdobycie sobie popularności, by mógł trząść sejmikiem lub trybunałem. Więc wytoczył na dziedziniec, lub rynek beczkę gorzałki, a gdy tę wysączono, i drugą i trzecią, poczém w stroju adamowym, benefaktor naśladując Bachusa, siadł na beczkę niby na konia i objeżdżał tryumfalnie ulice Lublina. Noszono go téż na rękach literalnie, a obejmowano pańskie kolana, a całowano się bez liku. Dobroczyńca i ojciec ojczyzny stał się popu-

larnym. Niebądźmy przecież zbyt surowi względem ojców przeszłego wieku, bo i dzisiaj pono, kto nie może dać dobrego jadła i napoju, nie zdobędzie popularności. Stara i wypróbowana jeszcze przez magnatów rzymskich metoda: który z nich dostarczył najwięcéj chleba i najwspanialszych igrzysk ludowi, ten był najpopularniejszym i trząsł rzeczpospolitą. Trzeba mieć kaletę i pełną i otwartą, chcąc nabyć wziętości u ludu: głodny żołądek jego królem cię gotów ogłosić, byleś go nasycił.

Otóż, popularność, tą nieuczciwą, jak sądzimy, drogą zdobywana, jest bardzo nietrwałą, ponieważ łupiestwa całéj nawet Azyi na dłuższy termin nie sprostają wszystkochłonnéj aurze popularnéj. Jest-to wreszcie reminiscencya, która się zapewne już nigdy w historyi nie powtórzy, a przypomnieliśmy o niéj dlatego, żeby pokazać jakiemi drogami ludzie dochodzili do wziętości u ludu.

Karmienie i pojenie łaknących i pragnących, nie w imie ludzkiego braterstwa, lecz dla zyskania popularności, zadawalnia maluczką pychę i próżność, czasami posługuje interesom osobistym, a zawsze jest sposobem niegodnym zarabiania na wziętość. Nie jest to wszakże jedyny sposób: bywają inne, gorsze. Do najużywańszych należy szkalowanie. Posługują się nim i w stosunkach prywatnych i w prasie. Zarabiający tą drogą na popularność ubolewają nad zepsuciem świata, wytykają po imieniu znane osobistości jako zbankrutowane, upadłe moralnie i materyalnie. W prasie znów nie mają dość surowych wyrażeń na potępianie zaprzańców, obskurantów w jednym obozie, albo radykalistów, demokratów w drugim. Zawsze się lepiéj wydajemy naszym bliźnim, gdy nas pożera święty ogień oburzenia; świadczy bowiem o mocy naszych przekonań; stajemy się popularnymi przynajmniéj w swoim zaścianku: szkaluj zuchwale panie Michale, jeżeli nie wszystko, zawsze tam coś przylgnie do skóry przeciwnika.

A cóż powiedzieć o tém czapkowaniu, o tych dygach i ukłonach na wszystkie strony, o tych nigdy niedotrzymywanych obietnicach proszącym klientom, żeby tylko uchodzić za człowieka wpływowego, za mecenasa literatury, sztuki, za filantropa. Oto patrzcie, idzie ten, co wszystko może, co zupą z kości i wodą z jaj gotowanych, nasyca zgłodniałych i poi pragnących. Jakże on popularny, palcami go wskazują, portrety rozwieszają, opatrznością nędzy tytułują!

Marną jest ta popularność i marne drogi do niéj prowadzą; ale byłoby niesprawiedliwém twierdzić, iż ludzie dbający o wziętość powodują się w uczynkach swoich tylko próżnością, lub interesem: przeciwnie, wierzymy w bezinteresowną popularność. Na-

tura ludzka, uważana wogóle, bogato jest uposażona; więc téż zdarzają się wszędzie prawdziwi miłośnicy ludu, nie siebie, lecz jego sprawy mający na celu, i tacy stają się popularnymi, mimo swojéj woli. Poczém ich poznać? Po tém właśnie, że nie siebie mają na celu. Bo oto patrzcie, na Powiślu warszawskiém brnie po błocie jakaś postać otulona lichém futerkiem, schodzi do suteren, lub gramoli się na poddasze, gdzie nie ma ani schodów dywanem wyściełanych, ani wonnych perfum, ani lokajskiéj nie widać mumii. Zapisał receptę, dał dwuzłotówkę na lekarstwo i poszedł daléj. Widocznie to lekarz, przyjaciel ludu, dba o jego zdrowie, znają go Żydzi i chrześcianie, wielu nie umié wymówić jego nazwiska. Jest on w całéj dzielnicy popularnym, a popularności nie szukał: przeciwnie, ze wszystkiego widać, że wskazywanie palcem i aura popularna byłyby mu uciążliwe.

Inny, już nie lekarz, założył swoim kosztem szkołę bezpłatną dla najuboższych dzieci, warsztaty przy niéj otworzył, narzędzia sprawił, materyał surowy kupił, niejednego z pilniejszych opończą zaopatrzył. Setki dzieci sposobią się na rzemieślników, rodzice ich błogosławią dobroczyńcę teraz, mali pracownicy gdy dorosną, wystawią mu pomnik bez konkursu: stał się popularnym, bo dla populusu pracował. Trzeci otworzył szpital, czwarty ochronkę, piąty lombard bezprocentowy dla drobnych, a trzeźwych i pracowitych rzemieślników. Tysiące ludu znajdują w tych zakładach pomoc i radę, zdrowie i kredyt. Twórcy tych instytucyi byli rzetelnymi miłośnikami ludu, stali się popularnymi nie przez K u r y e r y, lecz przez uczynki. Otacza ich błogosławieństwo pracującéj rzeszy, towarzyszy im wdzięczność, może niema, ale serdeczna. Tak, wdzięczność; bo jakkolwiek dobrze urodzeni mówią, że chociażbyś milflerem smarował juchtowe buty źle urodzonych, zawsze dziegciem bedą trąciły — przecież jest to faktem, że ubodzy bywają wdzięczniejsi od szlachetnokrwistych. Że tu i owdzie podbechtany chłop zapomniał o lekarstwie otrzymywaném ze dworu, stąd nie wynika, ażeby się godziło wątpić o wdzięczności i rozumieniu ze strony ludu świadczonych mu szczerze dobrodziejstw.

Ależ, o popularności mowa. Prawda. Więc popularnym jest, kto nie z próżności, lecz przez miłość ludu czyni jaknajwięcéj dobrego dla populusu, dla demosu.

Od popularności osób przechodzimy do popularności rzeczy. Wszakże wiadomo, że popularnemi nazywają i pewne sprawy i pewne utwory naukowe lub artystyczne, np. kasy rzemieślnicze, odczyty na osady rolne i t. p. Dla wypełnienia założonego programatu i rozwinięcia głównéj myśli, chcę jeszcze pomówić o popu-

larnych odczytach, które nietylko popularnym celom bywają poświęcane, lecz i same do popularyzacyi wiedzy dążą.

Było we zwyczaju dawnych uczonych, że naukę otaczali tajemniczością nie dlatego żeby na odkryte prawdy chcieli dostawać monopoliczne patenta od rządów, ale dlatego, żeby lud niepoświęcony i niewtajemniczony--*profanum vulgus*—trzymać zdala od kaganków wiedzy. Dzisiaj, szczególniéj w naszych czasach, uczeni starają się wszelkiemi sposobami udostępnić niższym warstwom ludności trochę światła, jakie zdobyli w laboratoryach, muzeach, w podróżach. Nauka przestała być zazdrosną, a uczony, gdy może być popularnym, za chwałę to sobie poczytuje. Widzimy tedy, jak coraz częściéj i miejscowi i wędrowni prelegenci szukają tą drogą popularności: na słuchaczach im nie zbywa, zwłaszcza, gdy który z nich umié mówić popularnie. Na czém tedy popularność taka polega?

Dobrze zauważyć w tém miejscu, nim odpowiemy na pytanie, że niektórzy mniemają, iż nauki nie godzi się zniżać dla uczynienia jéj dostępną pospolitemu człowiekowi, albo że popularyzowanie wiedzy, ściśle rzecz biorąc, jest niemożliwe, bo tu trzeba długoletniego przygotowania umysłu najrozmaitszemi wiadomościami, czego oczywiście rzemieślnikowi, kramikarzowi, szwaczce, lub pokojówce brakuje, a tém samém nie wyniosą oni żadnego pożytku.

Co do cechowych uczonych, pragnących dla siebie i małego kółka spółcechowych zamknąć wiedzę ludzką na siedm pieczęci, nie będziemy ich strofowali; jest ich bowiem niewielu i ze zdaniem swojem po cichu się odzywają. Tym zaś, co sądzą, że popularyzowanie wiedzy jest wogóle niemożliwe dla braku przygotowania w słuchaczach, odpowiemy, iż się mylą. Zapewne, lud pospolity nie zrozumiałby wyższego rachunku astronomicznego, formuł i wzorów chemicznych lub wersyfikacyi klasycznéj; ale téż właśnie o to chodzi, żeby o ile można jak najmniéj używać technicznego aparatu, jakim się posługują w laboratoryach, lub na katedrach uniwersyteckich. Mowa najeżona terminami greckiemi, łacińskiemi, formułami i wzorami, zrozumiałemi dla matematyka czy chemika, oczywiście odstraszyłaby nietylko ślusarza ale i wielu z tych, co gimnazya kończyli. Że jednak bez tego uczonego i technicznego aparatu obejść się można, a pomimo tego nie wpaść w trywialną gadaninę i słuchacza pożytecznych wiadomości nauczyć, mamy dowody i u siebie i pośród zagranicznych uczonych.

Zdaje nam się, że popularyzowanie nauki wymaga pewnych warunków głównie ze strony prelegenta, czy autora; przedmiot, o którym się mówi, i słuchacz, dla którego się mówi, stoją na dru-

gim planie. Prelegent zatém lub autor, chcący być popularnym, powinien przedewszystkiém owładnąć przedmiotem. Rzecz-to konieczna dla wszystkich, którzy publicznie, czy prywatnie mówią i piszą. Kto przedmiot zna gruntownie, potrafi go niezawodnie wyłożyć innym—jeden lepiéj, drugi gorzéj, ten wymowniéj, tamten oschléj, zawsze jednak słuchaczowi zostaną w głowie pewne wiadomości, pewne pojęcia o przedmiocie. Warunek ten jeszcze niezbędniejszy jest dla popularyzatora, albowiem musi on się liczyć z najróżnorodniejszymi słuchaczami, a więc musi sam wiedziéć, co jest najistotniejszém w wykładanym przedmiocie, ażeby na istotnie ważne punkty zwrócił uwagę słuchacza i nie znudził go drobiazgami. Przypuszczamy nadto, że prelegent rozporządza odpowiednim głosem, że włada wprawnie mową swoją, że autor pisze jasno i logicznie, a obadwa unikają abstrakcyjnego rozumowania, którego pospolity człowiek nie trawi dobrze. Język, że tak powiem, konkretny, barwny, przykłady i porównania brane z otaczających rzeczy i stosunków zdołają zainteresować i czegoś nauczyć tych ludzi, których mięśnie i żołądek więcéj pracowały, niż nerwy i głowa.

Sądzą niektórzy, iż dla zyskania popularności i dla popularyzowania nauki potrzeba wybierać przedmioty, temata koniecznie zaciekawiające, bo w przeciwnym razie lud nie będzie słuchał, ani czytał najdostępniejszych wykładów. Więc prelegenci dobierają, gdzie mogą dobierać, przedmiotów i tematów, jak im się zdaje, ciekawych o czarach, duchach, lub bohaterach narodowych. Temat, przedmiot mogą w istocie zainteresować słuchacza i czytelnika, ale póty jedynie, póki nie usłyszy prelegenta. On-to bowiem jest tym czarodziejem, który potrafi w najbardziéj obojętny przedmiot tchnąć życie i uczynić go zajmującym. Czyż-to tak zajmujący przedmiot kawałek kredy, węgla itp? A jednak gruntowny znawca przedmiotu i utalentowany pisarz umiał popularnie, a przecież nie trywialnie, o tych martwych kawałkach materyi godzinami mówić i nie nużąc słuchacza, nauczyć go ciekawych wiadomości. Skorupa z przedhistorycznéj urny, nożyk krzemienny, cmentarze i groby—wszystko-to nieciekawe rzeczy dla tego, kto archeologii nie uprawia, a przecież mogą stać się ciekawemi, gdy utalentowany archeolog potrafi nam barwnie odtworzyć ten świat dawno umarły.

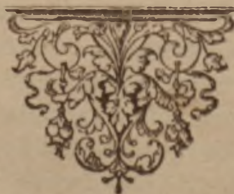
Lecz chociaż temat postawiliśmy na drugim planie, jednakże i on wpływa na popularność wykładu; musi on być popularnym, ale w tém znaczeniu, że interesuje lud w najobszerniejszym zakresie tego wyrazu, nie zaś tylko pewne klasy; musi zostawać w związku z jego potrzebami. Przypuszczam, że lud więcéj interesuje: pokarm, którego używa, choroby, którym najczęściéj podlega, cena żywno-

ści i odzieży, kredyt i lichwa, aniżeli np. postaci Fredrowskich komedyi, obchodzące szczupłe grono widzów teatralnych i krytyków literackich. Jeżeli zatém i przedmiot będzie popularny w powyższém znaczeniu i popularnie t. j. dostępnie wyłożony, nazwiemy i odczyt i prelegenta popularnymi.

Tym sposobem dodatnie znaczenie popularności przyznawanéj ludziom i sprawom polega, według nas, głównie na tém, ażeby ludzie stojący na wyżynach pod jakimkolwiek względem służyli rzeczywiście dobru ludu, a sprawy dotykały jak największéj jego masy. Popularną przed kilku laty była w Warszawie sprawa kas rzemieślniczych, bo dotyczyła tysięcy rzemieślników; popularną w rozleglejszém znaczeniu była przed laty sprawa wyzwolenia murzynów w północnéj Ameryce z niewoli, a włościan naszych z pańszczyny, bo dotyczyły losu milionów ludu.

Z drugiéj strony, ujemne znaczenie popularności widzimy w takich wypadkach, gdy nauczyciel przez zbytnią pobłażliwość na późniactwo młodzieży stara się zyskać jéj miłość, gdy jakikolwiek zwierzchnik przez omijanie prawa skarbi sobie życzliwość podwładnych, gdy dziennikarz, lub autor, schlebiając nałogom i przesądom społeczeństwa, zarabiają na pochwały i prenumeratę.

K.





DZIENNIKARSTWO I DZIENNIKARZE

WE FRANCYI.

I.

Stało się już obecnie oklepanką wysławianie potęgi prasy. Najpowierzchowniejsi nawet spostrzegacze społecznego ustroju zdają sobie sprawę z wpływu jaki nań wywiera dziennikarstwo. W zaraniu naszego stulecia, gdy się jeszcze mglisto rysowała przyszłość prasy, nazwano ją czwartą władzą w Państwie; przy jego schyłku, wobec fantastycznego wzrostu dziennikarstwa, są tacy co idą już daléj jeszcze i windykują dla prasy władzę zwierzchniczą. Jeden z najrozgłośniejszych publicystów angielskich, W. T. Stead, zakreślił niedawno w szeregu *essay'ów*, co narobiły hałasu, cały plan rządu przez dziennikarstwo: *government by journalism*. Po wykluczeniu z téj *oratio pro domo* niezaprzeczalnéj przesady, zostaje jeszcze w tak sformułowanéj opinii i w wielu innych jednokierunkowych, świadectwo, że dziennikarstwo jest już teraz dalsze swéj roli i swéj misyi świadome. Nawet Emil de Girardin utrzymujący, że prasa jest bezsilną i bezwpływową, nie może być uważany jako odszczepieniec od jednolitego kościoła: staczając walki w obronie tego sofizmatu, gonił on za celem praktycznym—zabezpieczenia bezkarności dla przestępstw prasowych.

Zarówno stronnicy jak przeciwnicy dziennikarstwa jednoczą się w uznaniu, że jest ono rysem najbardziéj charakterystycznym epoki współczesnéj, że jest kanałem cywilizacyi i jéj probierzem. Nie para, nie elektryczność ale prasa pozostanie w rocznikach ludzkości znamienną cechą XIX wieku. Tak jak w XV-ym druk i książka nadały nowe tory społeczeństwu, tak rozwojowe stadyum, na którém znajdujemy się obecnie, tylko przy współudziale prasy peryodycznéj urzeczywistnione być mogło. Wiktor Hugo przeciw-

stawiając na stronnicach *Notre Dame de Paris* świstek drukowanego papieru basztom średniowiecznych tumów, powiedział słusznie: „*ceci tuera cela*!“ Wyjmując z kieszeni miedziaka na kupienie dziennika, każdy czytelnik składa rodzaj *votum* publicznego, a w każdym razie jednoczy się i zespala z całym cywilizacyjnym ruchem swéj epoki. Nie jeden woli obejść się raczéj bez obiadu, aniżeli bez dziennika. Będąc zwierciadłem powszechném, odbijającém pod tysiącznemi kątami wszystkie prądy i kierunki społeczne, a jednocześnie barometrem, drogowskazem i rachunkiem sumienia, nic dziw że dziennikarstwo coraz głębsze puszcza korzenie w organizm towarzyski. Gdy, cofnąwszy się w przeszłość, spotykamy w starym Rzymie *acta diurna*, jeszcze w XVII wieku w Wenecyi nic więcéj jak *Fogliettí d'avvisi*, to trudno nam w tych pierwocinach rozeznać antenatów dzienników takich, jakie mamy przed oczami. Hubbard'a *Zeitung u. Bankadressbuch der Welt* za rok 1882 wymienia już 34.274 pism peryodycznych. Na Europę przypadało z nich 19.557, na Francyą—3265. W sześciu ostatnich latach liczby te znacznie jeszcze powiększyć się musiały.

Przyjrzyjmy się bliżéj dziennikarstwu francuskiemu.

Nie będziemy zatrzymywać się nad jego dziejami, odsyłając ciekawszych do ośmiotomowéj wyczerpującéj Historyi Prasy francuskiéj Eug. Hatin, dzieła sumiennego i systematycznego. Przypomnimy tylko mimochodem, że Francuzi chełpią się zrodzeniem na ich niwie pierwszego dziennika: ma nim być *la Gazette*, a datuje się z 1631 r. Wydawca jéj, Teofrast Renaudot, jest protoplastą dziennikarzy: osobistość to była przedsiębiorcza, rzutka, o zadziwiająco szerokim umyśle. Kardynał Richelieu ocenił natychmiast znaczenie tego nowego objawu życia publicznego i udzielił Renaudot'owi monopol wydawnictw peryodycznych. Prześladowania i walki, z jakiemi się spotkał, były zapowiedzią tych, na jakie dziennikarstwo skazane być miało. Gazety wierszowane—Mazarynady—dowiodły niebawem, że ta młoda latorośl przyjęła się na francuskim gruncie, a z pojawieniem się Merkurego, w końcu XVII wieku, ma już Francya pismo peryodyczne w nowoczesném słowa tego znaczeniu; pierwsze codzienne—*Journal de Paris*—pochodzi jednak dopiero z 1777-go roku. Potężny ruch umysłowy, jaki zaznaczył drugą połowę XVIII wieku odbił się, jak łatwo zrozumiéć można, i w prasie peryodycznéj. Szkoła Encyklopedystów wytworzyła wówczas, jako organ krytyki naukowéj i literackiéj, słynny i bez ustanku naśladowany *Journal des Savants*. Epoka rewolucyjna przyniosła w swym odmęcie niezliczoną chmarę dzienników i pamfletów, i w ostatnich dziesięciu latach zeszłego stulecia istniało już we Francyi przeszło sto dzienników.

Napoleon, pragnąc stłumić wszelkie objawy opinii publicznéj, swéj osobie i swéj polityce przeciwne, gniecie dziennikarstwo nieubłaganie żelazną dłonią; najrozgłośniejszym aktem jego despotyzmu był dekret 1811 roku, konfiskujący *Journal des Débats*, dziennik, który po otrzymaniu nazwy *Journal de l'Empire*, liczył już wówczas nie mniéj jak 32.000 abonentów.

Restauracya Burbonów, zmuszona i na polu dziennikarstwa do polityki zasadniczo odmiennéj od rządu, który zastąpiła, zaczyna nie tylko od zniesienia szranek i zapór legalnych ale zapisuje nawet w ustawie konstytucyjnéj swobodę prasy.

Podjęta w imię swobody prasy monarchia lipcowa i tryumfująca przez takową, otworzyła jéj na roścież swe podwoje, ale i ona niebawem, pod wpływem zaburzeń ulicznych, będących wówczas na porządku dziennym, stara się skrócić jéj wędzidło. Szereg procesów prasowych poprzedził słynne prawo wrześniowe z 1835 r. które pchnęło do republikańskiéj opozycyi wiele umiarkowanych przedtém umysłów. Nie można jednak zaprzeczyć, że nigdy dzinnikarstwo francuskie nie stało na wyższym poziomie moralnym niż w owéj epoce. Rozkwit życia parlamentarnego i nieprzejrzany orszak pierwszorzędnych zapaśników piśmienniczych, co wstąpił wtedy w szranki dziennikarskie, otacza prasę prawdziwą aureolą. Mając na oku nie demos milionogłowy, ale światłe koła towarzyskie, nastraja ona swój diapazon do ich umysłowéj równi. W r. 1835, w przededniu organicznego przewrotu, jakiego miał w dziennikarstwie dokonać Emil de Girardin, wszystkie dzienniki francuskie razem wzięte liczyły nie więcéj nad 70.000 abonentów.

Twórcą nowoczesnego dziennikarstwa stał się wyżéj wymieniony Girardin. Pierwszy wpadł on na pomysł stworzenia dziennika takiego, kosztującego rocznie tylko 40 franków czyli o połowę mniéj, aniżeli dotąd, i oparł materyalne istnienie pisma nie na dochodzie z abonamentów, ale na wydzierżawieniu ogłoszeń handlowych. Wiadomo, że śmiała ta inicyatywa wywołała opozycyą gwałtowną w samym klanie dziennikarskim, że wydawca *Presse'y* ściągnął na siebie sromotne zarzuty: narodziny demokratycznego dziennikarstwa skąpane zostały w chrzcie krwawym i zapieczętowane śmiercią w pojedynku Armanda Carrel. Spekulacya Girardina okazała się dobrą. Koszta druku jednego numeru dziennika obliczone być mogą 500 franków; dopiero przy odbiciu 30,000 egzemplarzy powracają się nakłady. Wydzierżawiając ogłoszenia za sumę 150,000 franków, już w dwa lata po przeprowadzeniu swéj reformy wydawca *Pressy* udowodnił, że był umysłem wysoce praktycznym; istotnie w niespełna rok liczył on już 20,000 abonentów,

a dziennik *Siècle*, który poszedł w jego ślady, od razu miał ich 38,000. Stopniowo wszystkie inne dzienniki uorganizowane zostały na tych samych zasadach i statystyka pokazuje nam materyalne ich powodzenie. Podczas gdy w r. 1835 było w Paryżu 347 a na prowincyi 258 dzienników, już w 1845 liczba ich wzrosła do 750 a pomiędzy nimi było czysto politycznych 310.

Nie potrzebujemy się zatrzymywać nad rzecząpospolitą 1848 i 1849 roku. Powstało wówczas do 600 nowych dzienników o efemerycznym bycie, a gdy gen. Cavaignac przyszedł do władzy, zmiótł je jednym zamachem; uwięzienie wielu dziennikarzy, oraz ustanowienie kaucyi 24,000 fr. położyło kres fermentacyi umysłów, odźwierciedlającéj się w prasie.

Daléj jeszcze posunęło reakcyą drugie cesarstwo. W roku 1853 istniało w Paryżu wszystkiego 14 dzienników politycznych. Przy niepodobieństwie zajmowania się doniosłemi zagadnieniami społecznemi, uwaga publiczna i działalność prasyześrodkowały się na drobiazgach. „*Les journaux sont des archives des bagatelles*“ powiedział Voltaire. Niesprawiedliwe to orzeczenie jest całkiem uprawnione w zastosowaniu do dziennikarstwa takiego, jakie się wyrobiło za drugiego cesarstwa, i jakie upadek jego przeżyło. Późniéj rząd Napoleona III, zmienił swą politykę względem dziennikarstwa i pofolgował mu. W roku 1860 było w Paryżu 600, w 1866—800 dzienników; ale mimo tych ustępstw nie mogło cesarstwo pozyskać sobie liberalnéj opinii. Poufny raport policyi z 1867 roku wykazuje, że odbijano 128,000 egzemplarzy dzienników opozycyjnych, a tylko 42,000 rządowych. Zestawienie dwóch tych cyfr pokazuje, jakiemi siłami rozporządzało dziennikarstwo we Francyi przed dwudziestu laty. W przededniu upadku cesarstwa było przeszło 2,000 dzienników.

Obecna rzeczpospolita, rozgospodarowana od lat ośmnastu, wyzwoliła prasę ze wszystkich oków i formalności. Prawo z 1878 r. jest najliberalniejszém z istniejących w tym przedmiocie w Europie. Nie tylko że nie potrzeba obecnie we Francyi upoważnienia do wydawnictwa dzienników, ale nie potrzeba żadnéj moralnéj, lub materyalnéj rękojmi; jedyną formalnością jest zawiadomienie administracyi o tytule dziennika. Ta całkowita emancypacya wywołała, jak się samo przez się rozumie, nawał, powódź nowych wydawnictw. W r. 1879 zameldowano w prefekturze paryskiéj aż 1800 nowo projektowanych wydawnictw. Jeżeli jeszcze podatek ciążący na papierze zniesiony zostanie, co nastąpi przy najlżejszém polepszeniu finansów państwowych, i jeżeli wskutek tego wydawnictwo stanie się jeszcze tańsze, to przewidywać można nową falę przedsiębiorstw

prasowych. Anarchiczne rozbicie się społeczeństwa francuskiego na stronnictwa, grupy, koterye, odcienia i pół-odcienia sprzyja téj obfitości dziennikarskiéj. W kraju demokratycznéj równości dziennik jest mównicą, z któréj powołani i niepowołani, istotnie namaszczeni i fałszywi prorocy, mężowie stanu i warcholy, dojrzali i sowizdrzały, zabierają głos co rano i co wieczór, roszcząc sobie prawo do przemawiania w imię ogółu, w imię opinii publicznéj.

Nieograniczona swoboda prasy francuskiéj, jak każda nieograniczona swoboda, ma w sobie słabe strony i wywołuje nadużycia. Procesy prasowe niemal nie istnieją, a poszkodowana na dobréj sławie, lub na interesach jednostka małe ma widoki we Francyi, ażeby sąd przysięgłych stanął po jéj stronie. Dziennik używa *de facto* bezkarności i widzieliśmy nieraz w ciągu ostatnich lat dziesięciu roznamiętnionych, rozszalałych dziennikarzy, dopuszczających się jak najohydniejszych oszczerstw i napaści względem swoich przeciwników. Opinia ogólna we Francyi nie skarży się jednak dotąd na te nadużycia, oswaja się z niemi, a jeżeli osobistość i powołanie dziennikarzy jako takich straciły na poważaniu, to o reformie prawodawczéj mowy nie ma. Śpieszymy dodać, że nie na wiele by się przydała: potrzebniejsza była by reforma obyczajów, podniesienie moralno-umysłowego poziomu społeczeństwa, a na to bynajmniéj się nie zanosi.

Przebiegłszy pośpiesznie koleje, jakiemi szło dziennikarstwo francuskie, i stwierdziwszy, że po całkowitém wyemancypowaniu stało się za swą działalność odpowiedzialném, przystąpić nam teraz należy do ścisłejszéj jego charakterystyki, uwzględniając stosunki polityczne, finansowe i umysłowe, w jakich się znajduje.

II.

Jaki naród taka prasa.

W dojrzałéj politycznie, silnie uorganizowanéj Anglii liczba dzienników politycznych jest stosunkowo mała; Londyn nie ma ich więcéj nad dziesięć i nie czuje potrzeby ich pomnożenia. Każde stronnictwo ma swój organ: torysi, whigowie, radykaliści, plutokracya City. Kilkakroć sto tysięcy egzemplarzy takiego pisma formułuje codziennie sąd o wypadkach bieżących, a bezimienność artykułów daje im znaczenie i powagę jakiegoś trybunału dziesięciu, albo wyroczni. Stworzenie takiego dziennika wymaga téż milionów kapitału, a potrzeba lat do wyrobienia mu stanowiska. Jak cedry libańskie o rozłożystych koronach, tak te dzienniki-olbrzymy królują w swéj majestatycznéj powadze.

Z inną prasą mamy do czynienia we Francyi, bo i społeczeństwo to inne. Na tym gruncie, od stu lat podkopywanym przez rewolucyą, gdzie wszystkie formy rządu z kolei wznosiły się i upadały, gdzie organizacya religijna kościoła, gdzie hierarchiczno-korporacyjny ustrój państwowy, gdzie arystokracya i jéj przywileje klasowe, albo całkowicie zdruzgotane zostały, albo téż zachwiane w swym bycie raz na zawsze, zatryumfowała równość demokratyczna i ukształtowała społeczeństwo na swoję modłę. Ale jeżeli arena życia publicznego stoi tam otworem dla każdego i jeżeli każdy osobnik może sobie zdobyć stanowisko, wpływ i fortunę własną zasługą, to nie jest on w stanie celu tego dopiąć w odosobnieniu. Potrzeba mu skojarzyć, zespolić swe interesy z interesami i dążnościami jednokierunkowemi i znaleźć w nich archimedesową dźwignię. Najłatwiéj daje się to uczynić za pomocą dziennika. Po szczeblach téj drabiny wybijają się na jaśnię, zyskują rozgłos, popularność, ba i patenty na wielkości narodowe. Stąd takie mnóstwo dzienników we Francyi. Każdy deputowany, każdy senator, każdy polityk ambitny chce mićć swój własny organ, coby mu służył wiernie, a skutecznie. Świat finansowy i przemysłowy używa także prasy do przeprowadzania swych planów i kombinacyi. Nie ujawnia on, rozumie się, swoich egoistycznych aspiracyi, przeciwnie, pokrywa je płaszczykiem powszechnego dobra, a na sztandarze jego połyskują „n i e ś m i e r t e l n e z a s a d y 1789 r o k u“, p r a w a c z ł o w i e k a i o b y w a t e l a“ etc. etc. Widzieliśmy zawziętą opozycyą prowadzoną przeciwko tym lub owym ministrom przez dzienniki niepodejrzywanego ducha obywatelskiego, słyszeliśmy padające pioruny nieokiełznanego patryotyzmu i moglibyśmy byli w szczerość téj walki uwierzyć, gdybyśmy nie wiedzieli, że za kulisami tych szanownych organów stoi zaczajone grono spekulantów, zdążających po prostu do otrzymania finansowéj koncesyi, do przeprowadzenia taryfy celnéj, etc. Rasa Miresów i Fouldów nie zaginęła; w rzeczypospolitéj są pp. Lebaudy, Lalou i *tutti quanti*. Każdy Mercadet zakłada obecnie dziennik do przeprowadzenia swych planów. Trzeba po prostu nie znać potęgi zadrukowanéj bibuły, trzeba chyba nie mićć nędznych kilkudziesięciu tysięcy franków, ażeby nie zostać wydawcą dziennika! Nie zawsze nawet takiéj sumy potrzeba; są przykłady, że i kilka tysięcy obrotowego kapitału wystarczyło do zrobienia korzystnego interesu. Kredyt, tak do pozyskania trudny dla sumiennych nieraz przedsiębiorców w dziedzinie wytwórczości przemysłowéj, okazuje zadziwiającą gotowość do podtrzymywania rodzących się dzienników, przeczuwa w nich kopalnie Potozu nie bezpośrednio ale przez wpływ ich potajemny.

W niektórych krajach prasa jest przekupywana przez rząd, działający pośrednio na opinią publiczną i wprowadzający ją na pożądane przez siebie tory. We Francyi nie ma prasy ministeryalnéj; rząd republikański ma do rozporządzania małe tylko fundusze tajemne, a dzienniki, któreby na ten zasiłek liczyły, przerachowałyby się niezawodnie. Mimo tego pozostawienia prasy saméj sobie, nie można powiedziéć, ażeby była ona zawsze wyrazem niezależnéj i bezstronnéj opinii; interesa wyborcze i intrygi parlamentarne koteryi publicznych z jednéj strony, a z drugiéj spekulacye i przedsięwzięcia finansowe wykoślawiają ją często. Prywata czai się po większéj części po za najbardziéj humanitarnemi głosami dziennikarstwa francuskiego i trzeba prawdziwéj naiwności, ażeby nie dojrzéć rożków, sterczących widocznie. Jeżeli się do tajemnic téj kuchni przeniknie, to sosik jéj mniéj się ponętnym staje.

Charakterystyczną cechą prasy francuskiéj jest, że artykuły dziennikarskie wyjątkowo tylko są bezimienne, zbiorowo wyrażające opinię dziennika; zazwyczaj autorowie podpisują je swemi nazwiskami, lub pseudonymami, które w krótkim czasie przestają być maską ochronną. Skoro dziennik jest szczeblem do wdrapania się na wyżyny, narzędziem do pozyskania popularności i rozgłosu, to samo się przez się rozumié, że idzie tym zapaśnikom o zagwarantowanie sobie całkowitéj indywidualności. Stawiając codzień swe nazwisko przed czytającą masą, staje się dziennikarz po upływie kilku lat, a czasem i miesięcy, wybitną jednostką. Podczas gdy nazwiska największych uczonych, chluby i zaszczytu Francyi, bywają nawet wykształconéj publiczności nieznane, hałaśliwi dziennikarze, nieraz bez najmniejszéj umysłowéj lub moralnéj wartości, stają się bożyszczem tłumu. Idzie redakcyom o pozyskanie jako współpracowników tych nazwisk, co na wedecie stać przywykły i trzeba, na odwrót, zajmować w prasie stanowisko tak poważne, jak je zajmuje np. *Temps*, *Journal des Débats*, *République française*, ażeby módz narzucić swym współpracownikom bezimienność. Jest to dla ich miłości własnéj i dla ich interesów osobistych niezaprzeczonym uszczerbkiem.

Ta osobista odpowiedzialność autora za swój artykuł ma w sobie złe i dobre strony. Dziennik traci na zbiorowéj powadze, to widoczna. Faktyczne, ściśle, jasne, o ile można bezstronne przedstawienie zdarzeń schodzi samo przez się na drugi plan, a na jego miejscu roztacza się adwokacka obrona ze swemi właściwościami, mianowicie jednostronnością, tendencyjnością, działaniem na wyobraźnię, kazuistyczną argumentów szermierką. Nie mogąc zapomniéć o swéj osobistéj roli i następstwach, jakie dlań artykuł po-

ciągnąć może, dziennikarz francuski wyraża często opinie *ad usum Delphini.* Chcąc zająć stanowisko wybitne jak najprędzéj, stara się o nadanie kwestyom podejmowanym jaknajwiększych rozmiarów; rozdmuchuje on skwapliwie zarzewie, rozpłomienia namiętności, pochlebia uprzedzeniom i przesądom masy. Gdy się weźmie na uwagę, że codzień w tak podniesionym tonie przemawia kilka tysięcy głosów i to do społeczeństwa o żywym, wrażliwym temperamencie, to łatwo zrozumieć, dla czego naraz wybucha we Francyi uragan i naród zawisa nad przepaścią.

Ale i dodatnie strony są dotykalne. Nietylko, że odpowiedzialność każdéj jednostki za swoje postępki jest kamieniem węgielnym zbiorowych organizacyi, lecz przedewszystkiém wymagać jéj ma się prawo od tych, co się podejmują kierowania społeczeństwem. I samowiedza téj roli oddziaływa na piszących, oczyszcza ich atmosferę. Z kazalnicy tylko wyższe, podniosłe zasady głosić wolno. Szpetny egoizm kryje się więc pośpiesznie do nory, a dziennikarz walczy za wolność, za światło, za postęp, za ludzkość. Przebaczyć można doprawdy prasie francuskiéj jej deklamacyjną napuszoność i abstrakcyjne uogólnianie zagadnień, w których sobie podoba, gdy się zważy jéj humanitarne aspiracye i tętniące w niéj serce. Przeciwieństwo jéj z angielską i niemiecką, jest widoczne i wypada pod tym względem na jéj korzyść. Jest w niéj życie, tryskające z zetknięcia się bezpośredniego jednostek, jest nieledwie dramatyczny interes.

Innném następstwem téj metody pisarskiéj jest dbałość o formę literacką. Miłość własna autorska gra tu rolę czynną. Odzywając się do publiczności, która posiada attycką wrażliwość na piękno plastyczne, która lgnie do krasomówstwa, przepada za dowcipem, przyklaskuje paradoksom, trzymający pióro starają się zadowolnić ją pod tym względem. Nie wystarcza we Francyi fachowe wykształcenie, sąd trzeźwy i łatwość pióra: wymagane jest mistrzostwo. Najznakomitsze imiona piśmiennictwa francuskiego starają się o pozyskanie oficerskich galonów w kampaniach dziennikarskich i szczycą się niemi. Niektóre artykuły Johna Lemoine, J. J. Weissa, Fouquier'a, H. Maret'a, są arcydziełami piśmienniczego kunsztu. Publiczność nie umié oddzielać formy od treści, nie umié i nie chce. Całkiem inaczéj dzieje się w Anglii, i możnaby przytoczyć setki faktów, świadczących, że brytańskiemu czytelnikowi nie chodzi w dzienniku o nic innego, jak o wiarogodną informacyą. Wykwintna piękność języka, erudycya, podniosłość umysłowego diapazonu, są mu tam nawet nieznośne. Niedawno czytelnicy dziennika liberalnego *Daily News* zażądali od jego dyrekcyi wydalenia

naczelnego redaktora, znakomitego Henryka W. Lucy, dla tego poprostu, że jego cytaty poetów i myślicieli, jego styl wykwintny uznali za niewłaściwy w łamach dziennika! We Francyi znakomitości Akademii, jak Renan, Taine, J. Simon, pierwszorzędni krytycy jak E. Scherer, P. Mantz, J. Lemaitre, F. Sarcey, poeci jak Teodor Banville, Emil Bergerat, powieściopisarze jak P. Bourget, J. Claretie, Delpit etc., stanowią sztab generalny najpoczytniejszych dzienników. *Journal des Debats* uchodził przez lat wiele za najznakomitszy organ prasy europejskiéj, właśnie przez dobór świetnych literackich talentów, co go pracami swemi zasilały; wyrwał mu wprawdzie *Temps* w ostatnich latach to pierwszeństwo, ale sama ta żywość współzawodnictwa i zmienność jego kolei świadczy o znaczeniu, jakie publiczność przywiązuje do strony literackiéj w dziennikarstwie. Ale najwymowniéj dowodzi go powodzenie dziennika *Gil-Blas*. Nie ma on ścisłéj linii wytycznéj w kwestyach politycznych i społecznych, moralność jego jest tak luźną, że możnaby go często o pornograficzne tendencye posądzić, mimo tego, dzięki współpracownictwu wykwintnych pisarzy, trzymających hardo sztandar piękna piśmienniczego, ma szerokie koło czytelników.

Z chwilą gdy Francya przestanie do niego przywiązywać wagę, wypadnie z rąk jéj to ostatnie berło, które jeszcze dzierży, straci hegemonią artystyczno-literacką. A zaprzeczyć się nie daje, że są już pod tym względem zastraszające symptomy. Nowy a ostatni przewrot w dziennikarstwie datuje się od rozpowszechnienia tak zwanych małych dzienników —*petits journaux*—których pojedyńczy numer kosztuje tylko 5 centymów i które zdemokratyzowały prasę. Gdy Emil de Girardin stworzył *La Presse*, dziennik 40-frankowy, dał pierwszy bodziec temu kierunkowi; H. de Villemessant przez swój *Figaro*, popularny i poczytny, wydoskonalił narzędzie publicystyki, a to co w jego dzienniku trąciło zgnilizną, przechodziło niepostrzeżone dla szerokich kół publiczności, mającéj w niém umiejętnie i wybornie redagowane pismo. Lecz gdy Mojżesz Millaud założył przed 25 laty *Petit Journal*, stał się on organem mas. Klasa robotnicza, służący, wieśniacy etc., znajdując w tym dzienniczku strawę umysłową, przystępną dla siebie, rzucili się do niego i niebawem stał się on dla nich nieodzowną potrzebą. Obecnie *Petit Journal* jest najbardziéj rozpowszechnionym dziennikiem nietylko we Francyi, ale prawdopodobnie na świecie. Tłocznie Marinoniego odbijają blisko 1,000.000 egzemplarzy codziennie, a licząc, że trzy osoby czytają każdy numer, ma on 3,000,000 czytelników. To fantastyczne powodzenie tego dzienniczka wywołało naśladownictwo i Paryż liczy obecnie kilkanaście małych dzienniczków na

ten sam model uorganizowanych, jak *Petit Moniteur*, *Petite Presse Petit National*, *Petit XIX Siècle*, *Petite Republique*, etc. Prowincya poszła za tym przykładem stolicy i istnieje *Petit Marseillais*, *Petit Lyonnais*, *Petite Gironde* etc. Każdy departament, każde centrum przemysłowe lub handlowe, ma obecnie swoje 5-centymowe dzienniki. Klientela popularna musiała nadać im charakter popularny. Nie ma tu już mowy o metafizyce politycznéj, o podniosłych teoretycznych dyskusyach, tak samo jak pierwszorzędni, wyrafinowani pisarze, zastąpieni zostali przez niestrudzonych reporterów, regestrujących fakta brukowe, przez romansopisarzy melodramatycznych, posiadających dar zaciekawiania czytelników naiwnych, przez publicystów, co topią źdźbło doktryny i treści wśród powodzi deklamacyi i na efekt obliczonych frazesów. Nie do rozumu, nie do krytycznego zmysłu mas, ale do ich namiętności, do ich instynktów przemawiać zwykli dziennikarze tego kalibru. Łatwo zrozumiéć, że się poziom umysłowy obniża i że ta prasa stanowi gatunek *sui generis*.

Wpływ jéj jednak na całość dziennikarskiéj twórczości jest widoczny, dotykalny. Traci ona coraz bardziéj swój charakter wychowawczy; nie tyle już jéj idzie o kierowanie opinią, o wpajanie w czytelników zasad uznanych za sprawiedliwe i za zbawienne dla społeczeństwa, co o podawanie wiadomości gołych, natychmiastowych, dokładnych, wielostronnych; na miejsce artykułów rozumowanych, obszernych, traktujących kwestye polityczne i ekonomiczne *ex professo*, występują telegraficzne wiadomości, pisane tak zwanym językiem negrów, bez poprawności, bez składni nawet. Redagowanie dzienników, na prowincyi przedewszystkiém, staje się łatwém zadaniem: drukuje się sprawozdanie telegraficzne głównych wypadków, nadesłane ze stolicy; agencya paryska wysyła także jednobrzmiącą korespondencyą do wszystkich z nią w stosunku będących dzienników; gazeta potrzebuje do dopełnienia tylko garści miejscowych wypadków.

Ostatniém słowem postępu na téj drodze jest dziennik bez żadnego kolorytu politycznego, bez żadnych ścisłych opinii, dziennik eklektyczny, istotny bigos hultajski. Istnieje on w Paryżu i nosi nazwę *Le Matin*. Służy on wszystkim stronnictwom politycznym i z jego mównicy przemawiają z kolei koryfeusze wszystkich partyi. Wydawcą jest p. Edwards, Amerykanin, ale ten kwiat amerykański przyjął się wybornie na paryskim gruncie i sprzyja mu ten chłodny sceptycyzm, jaki charakteryzuje duchowy nastrój chwili obecnéj.

Przywykliśmy szydzić z prostodusznego „bourgeois", który czekał na otrzymanie swego zwykłego dziennika zanim wyraził zdanie o tém, co jest słuszne, a co nie jest, i w którego menażeryi obok morskiego węża, wypładzanego przez *Constitutionel'a*, lęgło się całe stado dziennikarskich kaczek. Obecnie ta dobroduszna rasa czytelników znika, a jéj miejsce zajmują ci, co nie po opinie, ale po informacye, nie po teorye, ale po fakta uciekają się do dzienników. Możnaby téj samodzielności sądu, téj emancypacyi z dziennikarskiéj kurateli przyklasnąć, gdyby istotnie wychowanie polityczne społeczeństwa uczyniło tak stanowczy krok naprzód. Ale, jak wiadomo, rzeczy mają się inaczéj. W kraju głosowania powszechnego, gdzie każdy pełnoletni daje głos o sprawach publicznych, oświata narodowa znajduje się jeszcze w stanie niemowlęctwa, a przy osłabieniu wpływu duchowieństwa, przy zakorzeniałéj opozycyi przeciwko warstwom towarzyskim wyższym i oświeceńszym, masa pozbawiona jest przewodnika i idzie na oślep w prawo, lub lewo. Byłoby dla téj masy wysoce pożyteczném czerpać w poważnéj prasie niezbędne dla każdego obywatela wiadomości i znajdować w niéj dopełnienie swych umysłowych braków. Zamiast się jednak do wyższego diapazonu dostrajać, prasa francuska, przeciwnie, okazuje coraz większy pochop do życia z dnia na dzień, w prozaicznéj, a często cynicznéj atmosferze prywaty i skandalów.'

III.

Zdarzyło się może słyszéć czytelnikom o myśli rzuconéj niedawno przez p. Dawida Andersona, publicystę angielskiego, ufundowania akademii dla dziennikarzy. Miała to być szkoła, gdzie pod przewodnictwem doświadczonych i technicznie wykształconych publicystów, kandydaci na dziennikarzy nabieraliby wprawy w pisaniu artykułów dziennikarskich, przebiegając całą chromatyczną ich gamę, od lekkiego *fait-divers*, aż do poważnego, najeżonego cyframi, wspartego erudycyą artykułu wstępnego. Nie wiemy, czy projekt ten się urzeczywistni, a jeszcze mniéj, czy uda się przedsiębiorcy wytworzyć mechanicznie wzorowych dziennikarzy, jak się tego spodziewa. Przyznajemy się nawet do sceptycznéj pod tym względem wątpliwości, któréj umotywowanie zaprowadziłoby nas daleko. Ale jeżeli gdzie, to we Francyi szkoła dla dziennikarzy byłaby wysoce pożądana. Gdy się zna bliżéj koryfeuszów prasy francuskiéj—a piszącego łączą z nią już dwudziestoletnie stosunki osobiste—to się wydziwić nie można dość brakowi ich spe-

cyalnego wykształcenia. Wysyłając w świat syna swego, kanclerz szwedzki Oxenstjerna kazał mu się przeświadczyć osobiście, jak dalece niedołężni ludzie rządzą światem; podobne napomnienie dać by należało tym, co olśnieni blaskiem i zagłuszeni gwarem prasy francuskiéj, schylają czoło przed jéj powagą i jak studiosus od doktora Fausta, żądają od niéj życiowéj wskazówki i klucza do mądrości. Wyjątkowo tylko dać je ona potrafi i więcéj jest tam szumowin i piany, aniżeli jędrnéj a soczystéj treści. Dziennikarzem jest we Francyi każdy, kto ma cośkolwiek do powiedzenia; nietylko, że specyalnego wykształcenia do tego nie trzeba, ale nawet można być na bakier z ortografią: starszy prot poprawia krzyczące błędy. Improwizacya zastępuje głębię rozmyślania, a braku wiadymości dopełnia słownik encyklopedyczny. Znani są Francuzi ze wstrętu do podróżowania, a często wydrwiwano ich nieznajomość geografiii, obcych języków, obcych prawodawstw, zwyczajów, cywilizacyi. Zasklepieni u siebie, uważając się za społeczeństwo wyższe, za jakiś naród wybrany, nie dbali o resztę świata, a dziwolągów, które się w ich dziennikach wskutek tego stanu rzeczy pojawiają, i na wołowéj nie spisaćby skórze.

Ale sprawiedliwość nakazuje przyznać, że zaszła pod tym względem reforma w ich dziennikarstwie w ostatnich latach dziesięciu. Nietylko, że mówić zaczynają Francuzi obcemi językami, ale czytają książki i pisma cudzoziemców, wdrażają się w ich cywilizacye i rozszerzają swój horyzont. Wszystkie poważniejsze dzienniki posiadają swych własnych korespondentów w głównych ogniskach świata, a studya ich, czynione na miejscu, przekonywają często, że gdy bystrość spostrzegawcza Francuzów zwróci się do zbadania całkiem nowych dla nich stosunków, są oni w stanie zrozumiéć je dokładnie i odtworzyć po mistrzowsku. Korespondenci dziennika *Temps* jak Cotouly, Paweł Bourde, Pascal Grousset (Filip Daryl) mogą iść o lepsze z Arch. Forbes, Russellem i innymi pierwszorzędnymi *special* prasy angielskiéj.

Coraz téż więcéj teraz wykształconéj młodzieży bierze się do dziennikarstwa. Od czasu jak p. Boutmy założył Szkołę nauk politycznych, nietylko dyplomacya i rada stanu znajduje w jéj wychowańcach statystów, ekonomistów, prawników etc., ale i dziennikarstwo werbuje tam swój sztab generalny. Następstwa są dotykalne: prasa się specyalizuje, rozkłada systematycznie, nabiera gruntowności. Wiele jest jeszcze do zrobienia, nie przeczymy, i nigdy żywy temperament francuski nie przekształci się na niemieckiego pedanta, zawsze starać się on będzie zatknąć na bagnecie pióropusz pstrokaty; ale gdy się chce syntetycznym poglądem objąć

całą działalność ich prasy, to trzeba przyznać, że coraz jaśniéj pojmuje ona swoje zadanie: oświecać opinię publiczną, podnosić zagadnienia społeczne i przygotowywać dla prawodawcy ich rozwiązanie ostateczne. Gdy osławiony Villemessant ogłosił swoje cyniczne *Mémoires d'un journaliste*, zauważono słusznie, że dziennikarze, o których tam mowa, intrygują, wyprawiają skandale i awantury, są niewyczerpani w farsach i wybrykach dobrego humoru, ale że nigdzie niema najmniejszéj wzmianki o tém, jak pracują i czy pracują. Wprawdzie nie wszyscy dziennikarze należą do tego obozu i nawet w epoce Villemessant'a był obok typu ujemnego, dodatni; ale obecnie zastęp ostatnich wzrósł i liczbą i powagą.

Mimo tego nie ulega wątpliwości, że potrzebaby oczyścić te Augiaszowe stajnie i że przydałaby się większa znajomość swego fachu u mnóstwa dziennikarzy francuskich. Nieoczyszczony i niewsparty należycie wiedzą, żywy i wrażliwy ich temperament płata im figle, prowadząc ich raz po raz na bezdroża. Powiedziano o prasie francuzkiéj, że ujawnia ona narodowe instynkta w ich pierwotnéj formie, że jest przedewszystkiém odstraszającém zwierciadłem wad narodowych. Jest to sąd jednostronny, a zatém fałszywy. Jeżeli nie oswojony z francuskiém życiem czytelnik skarży się na dyletantyzm dziennikarstwa, na wielką ilość improwizowanych artykułów, zdradzających powierzchowną znajomość traktowanych kwestyj, jeżeli zauważy, że w łamach najpoważniejszych organów kwestye handlowe albo nawet czysto miejscowe rozpościerają się ze szkodą ważniejszych nieraz, ogólnie europejskich zagadnień, jeżeli spostrzeże brak równowagi pomiędzy pierwszorzędnemi problematami a błahostkami, drobiazgami, co się coraz bujniéj krzewią, jeżeli dojdzie do wniosku, że przedewszystkiém chodzi Francuzom o zabawkę, o igraszkę, o fajerwerk słów, że kwestya aktorów i teatrów zajmuje tam miejsce widocznie nadmierne, to nie będziemy twierdzili, że to zarzuty niesłuszne. Żywość i wrażliwość temperamentu narodowego, ba, jego lekkomyślność ujawnia się w dziennikarstwie, powtarzać nie przestaniemy i nie będzie można nigdy spodziewać się od Francuzów obiektywnéj, chłodnéj i pedantycznéj prasy.

Lecz nie należy spuszczać także z uwagi innych cech charakterystycznych. Za najcelniejszą z nich poczytujemy patryotyzm prasy francuskiéj. Służyć sprawie narodowéj jest tam dla każdego, trzymającego pióro, obowiązkiem elementarnym, nie ulegającym najmniejszemu wątpieniu. Bywają wprawdzie dowody, że patryotyzm, nawet najpłomienniéjszy, nie wystarcza jako kierownik opinii i że trzeba wesprzéć go na rozważném i głębszém zrozumieniu

potrzeb narodowych, oraz następstw, jakie te, lub owe decyzye za sobą pociągną. Nie wystarcza chcieć dobra ojczyzny, trzeba jeszcze wiedzieć, gdzie prawdziwy jéj interes leży. Przykładów zaś patryotycznego obłąkania nie braknie. Nie potrzeba by schodzić aż do ostatnich lat cesarstwa i przypominać krzyki za wojną z Niemcami, nie mówimy o prasie podtrzymywanéj i inspirowanéj przez rząd, ale o niezależnéj, takiéj, jaka istnieje za obecnych rządów republikańskich. I w téj ostatniéj epoce możnaby spotkać jednogłośność prasy, w odradzaniu wspólnéj interwencyi z Anglikami w Egipcie, co spowodowało utratę dla Francuzów tego kraju i oddało go na pastwę Wielkiéj Brytanii, a następnie możnaby przytoczyć zawziętą opozycyą, jaką napotykała w większéj części organów prasy polityka kolonialna w Indo-Chinach. Potężne to przedsięwzięcie, którego następstwa dopiero za jakie pół wieku staną się widoczne, zostało sparaliżowane przez niepopularność, jaką cisnęła nań prasa.

Ale gdy się wejdzie w głąb nawet téj błędnéj taktyki, to się zrozumie, że prasę zagrzewa tu do walki przekonanie, iż Francya nie powinna sił swych rozpraszać po wszech ziemiach i morzach, ale ześrodkować je dla obrony swego narodowego, europejskiego stanowiska. Hannibalowa przysięga przeciwko wrogowi nieprzejednanemu jest spójnym całéj prasy francuskiéj łącznikiem. Niema ani jednego wyjątku, ani jednego głosu sprzecznego. Gdy idzie o stawienie czoła Niemcowi, prasa francuska bez żadnéj zmowy idzie jednym szeregiem. Iskra elektryczna przebiega ją od Dunkierki do Bayonny, a wychodzi z Paryża.

We Francyi istnieje d z i e n n i k u r z ę d o w y — *Journal Officiel* — ale nie ma dzienników półurzędowych, któreby nie nosząc liberyi, były jednakowoż sługami władzy wykonawczéj. Widzieliśmy prezydentów rzeczypospolitéj, albo ministrów, posługujących się w czasie swego urzędowania, tym lub owym dziennikiem, przesyłających im informacye, broniących w ten sposób swéj polityki. Ale ten naturalny związek pomiędzy mężami stanu a dziennikarstwem nie tworzy jeszcze prasy półurzędowéj; brakuje nacisku tajemniczego i systematycznego prowadzenia opinii w pewnym żądanym kierunku. Nie ma nic śmieszniejszego naprzykład, jak spotykać się ze zdaniem, że *Temps* jest dziennikiem półurzędowym. Wielu ministrów było współpracownikami tego dziennika i nie można się dziwić, że przyszedłszy do władzy, utrzymywali z nim stosunki dawniejsze, nie można się dziwić, że szło im o poparcie organu najpoważniejszego, który ogniskuje najwyższą inteligencyą narodową. Dowodzi najzupełniéj nieznajomości stosunków polityki francuskiéj twierdzenie, że *Temps* jest zawsze po stronie ministe-

ryum, jakiémkolwiek by ono było. Wypada uwzględnić, że gabinety za rzeczypospolitéj reprezentują idee umiarkowane, wykonalne, praktyczne i że stronnictwo umiarkowane, któremu *Temps* służy jako organ, znajduje w nich orędowników swych własnych idei. Nie przeszkadzało to, że dawniéj często dziennik ten prowadził energiczną polemikę z członkami rządu, gdy jego idee i przekonania były inne. Dość jest przypomniéć polemikę względem projektów organizacyi wojskowéj gen. Campenon albo gen. Boulangera dość przypomnieć walkę *Temps'a* w obronie duchowieństwa i kościoła, gdy je prześladowano. W chwili, w któréj piszemy, rządy Francyi przeszły z rąk umiarkowanego stronnictwa republikańskiego w ręce radykalizmu, reprezentowanego przez p. Floquet. *Temps* nie jest już ministeryalnym, jest dziennikiem opozycyjnym.

To, co mówimy o dzienniku *Temps,* da się jeszcze *a fortiori* powiedzieć o innych organach prasy. Są dzienniki jawnie ministeryalne, podtrzymujące mężów stanu, którzy przyszli do władzy, jako wykonawców pewnego, danego programatu; nie ma prasy, przekupywanéj dla dytyrambicznego wysławiania członków rządu.

Nie braknie wszelako temu ostatniemu środków obrony albo informacyi. Jest to dlań pierwszorzędnym warunkiem istnienia w kraju, gdzie rząd ma być wyrazem ogólnéj woli i w bezustannném zetknięciu się z narodem. Posiada on naprzód przy ministeryum spraw wewnętrznych dyrekcyą prasy. Nie należy jéj mieszać z wydziałem prasy, istniejącym przy tém samém ministeryum i posiadającym w swych atrybucyach przestrzeganie obowiązującego prawodawstwa o prasie, utrzymanie archiwów i ześrodkowującego w swém biurze informacye prasy krajowéj i zagranicznéj dla użytku rządu. Dyrekcya prasy jest pośredniczką pomiędzy dziennikarstwem a władzą i urząd ten zajmowali nieraz najpierwsi publicyści, jak Henryk Fouquier, Hector Pessard, Anatol de la Forge, etc. Za reakcyjnych rządów ks. Broglie pełnił te obowiązki okrzyczany Leon Lavedan, lepiéj znany pod pseudonymem Filipa de Grandlieu. Dyrektor prasy ześrodkowuje w swém biurze wszystkie wiadomości nadsyłane z innych wydziałów ministeryalnych i komunikuje je bądź ustnie, bądź w treściwych notatkach dziennikom wszystkich barw i odcieni. Tak samo jak każdy dziennik paryski posyła codziennie specyalnego reportera do prefektury policyi po wiadomości brukowe, bieżące, obracające się około pożarów, wypadków ulicznych, zbrodni etc., tak samo w godzinach popołudniowych dyrekcya prasy jest celem pielgrzymki dziennikarzy, znajdujących tam informacye faktyczne dla swych artykułów.

Ale oprócz tych komunikacyj bezpośrednich i z natury rzeczy ograniczonych do wypadków bieżących, rząd posługuje się do prostowania fałszywych pogłosek, do zawiadamiania o swych planach i projektach, do ogłaszania not i korespondencyj dyplomatycznych biurem Havas. Agencya ta, utworzona jeszcze za rządów Ludwika Filipa przez zbogaconego kupca Havasa, skoncentrowała w swych ręku wiadomości ze wszystkich punktów kuli ziemskiéj. Oparta na potężnych kapitałach, posiadająca korespondentów biegłych i dobrze poinformowanych, zmonopolizowała ona, rzec można, wszystkie informacye w swych biurach. Żadna inna agencya nie jest w stanie wytrzymać z nią konkurencyi we Francyi. Wszystkie dzienniki francuskie odbierają kilka razy dziennie z biur Havasa litografowane depesze i korespondencye. Rząd, który korzysta z tych źródeł informacyjnych, jest także abonentem téj agencyi i ze swéj strony za pomocą tego kanału podaje do wiadomości publicznéj to, co się jego tycze i o czém kraj uwiadomić pragnie. Ponieważ oficyalne źródło tych informacyj jest jawne, zatém opinia posiada możność przeciwstawienia im swoich i wydania wyroku z całą świadomością.

Nie wiemy, czy z téj na pozór bezładnéj ilości przytoczonych szczegółów i rysów, czytelnik potrafił sobie wyrobić ogólne wyobrażenie o prasie francuskiéj. Jeżeli tak nie jest, to część winy przynajmniéj nie ciąży na piszącym. Nie podobna objąć ogólną charakterystyką żywiołów całkiem odrębnéj natury: rysy znamienne jednych nie dają się zastosować do drugich. Sprzeczność i niesystematyczność są tu nieuniknione. Dopóki się zostaje przy poglądach syntetycznych, spotyka się z takiém mnóstwem wyjątków, widzi się konieczność tylu zastrzeżeń i ograniczeń że się nić przewodnia plącze, albo rwie co chwila. Ażeby z zadania naszego się wywiązać, najlepiéj pono będzie przejść do szczegółowéj charakterystyki dwóch typowych organów prasy francuskiéj. *Temps* i *Figaro* zdają się nam odpowiadać celowi. Te treściwe charakterystyki, rysując się na tle ogólném, już naszkicowaném, uprawnią czytelnika do sformułowania sądu o dziennikarstwie na zeznaniu świadków.

IV.

Na zapytanie: jaki jest bezwzględnie najlepszy dziennik francuski, niepodobna dać innéj odpowiedzi jak wskazując *Temps*. Używa on obecnie po 28 letniém istnieniu tak ustalonéj reputacyi, że niedawno jeden z najwydatniejszych mężów stanu angielskich uznał go za niezbędny organ dla każdego dyplomaty i polityka

i przyznał mu wyższość niezaprzeczoną nad najpoważniejszemi organami prasy europejskiéj, niewyłączając angielskiéj. Powstał on za drugiego cesarstwa, a mianowicie w téj jego epoce, gdy wszystkie umysły głębsze zrozumiały niemożliwość pogodzenia cezaryzmu ze społeczeństwem materyalnie i umysłowo wysoce rozwiniętém. Kto posiadał jakąkolwiek wartość indywidualną, należéć musiał do opozycyi: obóz cesarski werbował swych stronników, odwołując się do ich interesu osobistego. W pierwszych szeregach opozycyi stała grupa Alzatczyków, świat przemysłowy o wielkich majątkach, zdobytych własną zasługą stanowiskach, o filantropijnych dążeniach i postępowych ideach, ludzie jak Dollfus, Koechlin-Schwarz, Thierry-Mieg, Schlumberger i wielu innych. Sąsiedztwo z Niemcami podnosiło z jednéj strony ich francuski patryotyzm, z drugiéj dawało ich opozycyi przeciwko rządowi Napoleona III, podstawę realną, naukową; w porównaniu z dowcipkującą, fajerwerkową opozycyą nieprzejednanych wydawać się ona mogła nawet pedantycznie doktrynerską. To poważne grono złożyło znaczny kapitał na dziennik, coby wyrabiał opinią liberalną i nie pozwolił krajowi zapomniéć o tradycyach swobody parlamentarnéj. Tendencye te musiały się jednak objawiać ostrożnie ze względu na ówczesne stosunki prasowe: rząd cesarski patrzył od samego początku niechętnie na *Temps*, oskarżając go o orleanizm. Nie było to uzasadnione. Redaktorowie dziennika nie mieli żadnego ściśle zakreślonego planu dynastycznego: chodziło im nie o ludzi, ale o instytucye szerokie i swobodne, o szerzenie i obronę doktryn politycznych postępowych. Pochodzenie alzackie dziennika zdradzało się w chętném traktowaniu kwestyi metafizycznych i teologicznych, a to nie tylko ze stanowiska protestantyzmu, ale w świetle obiektywnéj wolnomyślności i agnostyzmu.

Stopniowo, powoli, bez hałasu *Temps* wywalczał sobie stanowisko naczelne w dziennikarstwie postępowém. U steru redakcyi stał August Nefftzer. Były uczeń teologicznego fakultetu w Strasburgu, jeden z najbystrzejszych umysłów współczesnych, o dyalektyce jędrnéj a giętkiéj, był on jako kilkunastoletni współpracownik *Pressy* Girardina już wytrawnym publicystą, a nieskazitelność charakteru i purytańska jego czystość dawała każdemu słowu, co z pod pióra jego wychodziło, znaczenie aktu doniosłego. Pod jego dyrekcyą, która trwała aż do r. 1872, gdy go upadające zdrowie zmusiło do odpoczynku—w cztery lata późniéj śmiercią zakończonego—ześrodkowały się siły literackie pierwszorzędne. Nefftzer sam pisywał przegląd polityczny i wiele artykułów wstępnych, a obok niego Edmund Scherer, Andrzej Lavertujon, Pecaut, Collani, Erdan, Hen-

ryk Brisson, Juliusz Ferry etc. Nie było żadnéj wyłączności w jego łamach i podczas kiedy Ludwik Blanc, socyalista, pisywał tam swe słynne korespondencye z Londynu, świadczące o przeistoczaniu się jego dawniejszych doktryn pod wpływem instytucyi i publicznego życia angielskiego, Sainte-Beuve, wówczas senator cesarstwa, chcąc znaleść mównicę swobodną dla swych wyroczni literackich, opuścił urzędowego *Monitora* i przeniósł się jednocześnie do opozycyjnego *Temps.* Dało to dziennikowi walor niezrównany, gdyż nie było większéj od Sainte-Beuve'a powagi krytycznéj. A nie był tam on odosobniony. W łamach *Temps* znajdowały się z kolei prace znakomitych publicystów politycznych, jak hr. de Franqueville, Boutmy, Hebrarda, ekonomistów jak Victora Bonnet i Levasseur'a, prawników jak Laferriera, Faustyna Helie, filozofów jak Renana i Taine'a, historyków jak J. Soury i Loiseleur, estetyków jak Karol Blanc i Ernest Legouvé, krytyków jak Mezières, Janet, a przedewszystkiém Edmunda Scherera, który od śmierci Sainte Beuve'a dzierży niezaprzeczenie berło krytyki. Moglibyśmy wymienić dziesiątki imion wpisanych do złotéj księgi literatury francuskiéj i można powiedziéć, że nie było ani jednego pierwszorzędnego umysłu w obozie umiarkowanym, któryby nie zostawał w bliższych, lub dalszych stosunkach z tym dziennikiem.

Czas wprowadził doń zmiany ale nie wykoleił go nigdy. W ostatnich latach cesarstwa nie dał się on wziąć na wędkę fałszywego liberalizmu rządowego, wiódł zaciętą opozycyą przeciwko plebiscytowi i ministeryum Ollivier'a: polityka, co doprowadziła do lekkomyślnie podjętéj wojny z Niemcami i do ruiny Francyi, miała w nim zawsze zaciętego przeciwnika. Powoli tracił *Temps* swoję germańską ciężkość. Piewszym zaczątkiem tego przeistoczenia były kampanie Juliusza Ferry, z których jedna, wymierzona przeciw despotycznemu prefektowi Paryża, nosiła ten dowcipny tytuł: *Comptes fantastiques d'Haussmann.* Nieprzyjaciele dzisiejsi wielkiego męża stanu nie zapomnieli tego podwójnego kalamburu i twierdzą, że to najpotężniejszy tytuł do jego sławy! Ale istotnie nabrał cechy paryskiéj *Temps*, gdy dyrekcyą jego objął jeden z dawniejszych jego współpracowników, p. Adrian Hebrard. Obecnie senator Tuluzy, dający się rzadko słyszéć na mównicy, chociaż posiada skrzącą i błyskotliwą wymowę południowca, p. Hebrard jest jedną z najpopularniejszych figur politycznego i dziennikarskiego świata. Nie ma cienia skazy na jego honorze i nie splamił się on nigdy żadną z tych pokątnych spekulacyi, lub intryg, co tylu utalentowanych ludzi zmiażdżyły w ostatnich kilkunastu chaotycznych latach. Jest pełen werwy, życia, łatwy w obejściu, sympatyczny, głęboko wykształco-

ny, ale umiejący to pokryć wybrykami dobrego humoru, o bystrym umyśle, umiejący się decydować od razu w chwilach stanowczych, nie ścieśniony fanatyzmem, nie skwaszony zazdrością, p. Adrian Hebrard wprowadził szczebel za szczeblem organ swój na dzisiejszą jego pozycyą. Jest on prawie ciągle prezesem stowarzyszenia dziennikarzy i jego zdanie daje *la* w razie ważnych wypadków politycznych, jak np. w czasie zamachów Mac-Mahona i księcia de Broglie na instytucye republikańskie. Można śmiało powiedzieć, że opinia klasy średniéj, jądra narodowego, kształci się i urabia na tym organie. Posiada on talent przyciągania najznakomitszych piór dziennikarskich. Brat Adriana Jakób Hebrard i kilku deputowanych i senatorów istotnéj wartości piszą artykuły wstępne a Dessnaz, Heim, Hement, Sabatier, dziennikarze pierwszorzędni, są jego filarami. Wyborne korespondencye ze wszystkich stolic europejskich i ognisk cywilizacyjnych, oraz misye specyalnie wysyłanych korespondentów nie pozwalają zastosować doń zarzutu, iż się wyłącznie w sprawach krajowych zasklepia. Tradycya Ludwików Blanc i Erdanów nie zaginęła tam nigdy. Miał późniéj *Temps* braci Coutouly'ch i Barrèra: z obydwóch rzeczpospolita zrobiła ambasadorów, tak się okazali pierwszorzędnymi znawcami i bystrymi spostrzegaczami obcych światów. Mówiliśmy już o Pawle Bourde i Pascalu Grousset, ich godnych następcach. Kronika miejscowa ma nie tylko reporterów, co gruntownie przedstawiają instytucye publiczne i organizacye municypalne, ale w formie kalejdoskopowéj dających obraz życia narodowego. Nie przebrzmiała jeszcze sława takich pisarzy jak August Villemot, du Bouzet, Le Reboullet a nastąpiła po nich inna generacya im równa. Juliusz Claretie opuścił kronikarskie swe krzesło dopiero gdy został administratorem komedyi francuskiéj: spadek po nim objęli po połowie Anatol France, jeden z najdelikatniejszych talentów współczesnych, autor arcydzieła „Sylwester Bonnard“, i Hugo Le Roux, typowy dziennikarz współczesny, realistyczny w swéj metodzie a kunsztowny formą. Teatr ma we Franciszku Sarcey najdokładniejszego znawcę, i najwyższą instancyą krytyczną. Studya, jakie pomieszczają tam pisarze jak Mezières, Scherer, Soury, Legouvé, P. Mantz i wielu innych, dają zbiorowi tego dziennika miejsce trwałe w umysłowym ruchu współczesnym. Najlepsi romansopisarze pisują powieści do odcinka. Pomiędzy nimi niech nam będzie wolno wymienić Edmunda Chojeckiego. Powiedzmy także nawiasem, że jest on jednym ze współwłaścicieli i największych posiadaczy akcyi tego dziennika: który jest niemałą finansową potęgą, odbijając 60,000 egzemplarzy.

Dla obznajmionych ze współczesném piśmiennictwem francuskiém wyżéj wymienione imiona dają świadectwo o literackiéj

wartości dziennika, co ich do wspólnéj pracy sprzęga; dla tych, co śledzą czujném, a nieraz zatrwożoném okiem przebieg rozwoju politycznego Francyi, jest istotnie przedmiotem podziwu ten organ, co nigdy się nie dał obałamucić, wykoleić, co się nigdy nie uniósł interesem koteryi i namiętnościami chwili, lecz służył sprawie publicznéj wiernie a niestrudzenie. Ta postawa umiarkowana jest we Francyi trudniejszą, niż gdzie indziéj. Przy burzliwym charakterze i deklamatorskim temperamencie Francuzów, przy wrażliwości massy, która się łatwo daje wziąć na lep ułudnym a niepodobnym do urzeczywistnienia programatom warchołów—odwoływanie się do rozumu, do praktycznego zmysłu, gaszenie rozgorzałych wyobraźni jest wielce niewdzięczném zadaniem. Nie zdaje się ono jednak ciężyć barkom tych uczciwych ludzi, tych czynnych obywateli, tych światłych umysłów. Dziennikarze z obozu *Temps* zdają sobie sprawę, że dla społeczeństwa, co od lat czterdziestu jest w posiadaniu głosowania powszechnego, nie ma innéj formy politycznéj możliwéj jak rzeczpospolita, ale nie tracąc z uwagi, że jest dotąd w łonie kraju silne stronnictwo monarchiczno-zachowawcze, stara się je przyciągnąć, rozbroić i przekonać, że przez ich udział w życiu publiczném interesa i tendencye zachowawcze lepiéj by były zagwarantowane, aniżeli przez ich systematyczną opozycyą. Ta rola pośrednika, wykluczająca wszelki fanatyzm, zobowiązująca do ustępstw na obie strony, może być należycie oceniona wtedy jedynie, gdy się zmierzy cała przestrzeń przebieżona przez Francyą za obecnych rządów. Jeżeli nie złamała sobie po sto razy karku, wielka część zasługi przypisana być winna takim jak *Temps* organom. Z chwilą, gdy głos jego nie znajdzie echa sympatycznego w narodzie, przyjaciele Francyi będą musieli z trwogą w jéj przyszłość spoglądać. Nic nie stawia stosunków francuskich w bardziéj ponurém świetle, nic nie rodzi większych obaw o przyszłość, jak przewaga liczebna i poparcie, jakie massa daje dziennikom krańcowego radykalizmu przeciwko umiarkowanym. Podczas gdy te ostatnie zachęcają do wzajemnych ustępstw iześrodkowania stronnictw republikańskich na polu ekonomicznych kwestyi i reform wykonalnych, radykalizm podżega bezustannie do kwestyi wojny domowéj, do prześladowań i odsądza od czci i wiary każdego, kto się ośmiela zalecać ostrożność i uszanowanie istniejących praw i interesów, kto nie żąda natychmiastowego i całkowitego wywrotu instytucyi, usankcyonowanych tradycyą i prawem, w imie jakiegoś apriorycznie idealnego typu rewolucyjnego.

Wypadałoby zapewne, dla przeciwstawienia téj prasie, któréj najdoskonalszym wytworem jest *Temps*, a obok którego posta-

wić by się dało kilka innych, jak *Journal des Debats, La Republique française, Le National, La liberté, Paris* itd., wymienić i scharakteryzować bliżéj ten lub ów organ radykalny. Nie widzimy jednak tego potrzeby. Wielu z tych dzienników nie podobna brać na seryo; są to efemerydy, powstające za podmuchem okoliczności sprzyjających, wynoszą na puklerzach bohaterów chwili i strącają ich potém w przepaść i pod kłamliwym pozorem walki o zasady, służą tylko interesom prywatnym. Inne z tych dzienników, jak *Justice, le Radical* itp. są poprostu organami krańcowych polityków jak pp. Clemenceau, Pelletau, H. Maret, Zygmunt Lacroix (Krzyżanowski) i gdy się jest obeznanym z ich mowami na trybunie parlamentarnéj i z ich agitacyą, gdy się mogło ocenić ujemne rezultaty ich działalności politycznéj i szkody wyrządzone społeczeństwu, to się w tych dziennikach nie znajdzie nic innego jak obronę adwokacką ich publicznego zawodu i nużącą *oratio pro domo.*

Wśród radykalnéj prasy francuskiéj jest jedna tylko osobistość wybitna, typowa, a gdy się naszkicuje jéj wstrętną sylwetkę, to zrozumiemy czém są jéj koledzy i towarzysze, jednakowi namiętnościami i brakiem wykształcenia, ale niżsi dowcipem i talentem pisarskim. Mamy tu na myśli Henryka Rochefort'a.

Nie zapomniano jego dziennikarskiego debiutu. Wydalony z biura ratusza paryskiego za kilka dowcipnych artykułów w *Figaro*, Rochefort zaczął wydawać w formie co-tygodniowéj broszurki pamflet pod tytułem *La Lanterne.* Była to zjadliwa, gryząca satyra na drugie cesarstwo, wojna na zatrute sztylety; nie instytucye ale osobistości były tarczą, do któréj strzelał bez przerwy po grubiańsku, bez miłosierdzia, ale z werwą młodzieńczą i genialnością niezaprzeczoną. Ta partyzantka przyłożyła się wielce do napiętnowania drugiego cesarstwa; czém były *Châtiments, Napoleon le Petit*, Victora Hugo w dziedzinie poetyckiéj, tém były w dziennikarskiéj, popularnéj formie jego pamflety. Ale gdy taktykę tę wolnych strzelców przeniósł Rochefort do regularnéj armii, gdy zaczął wydawać wielki dziennik polityczny *La Marseillaise*, pokazały się dotykalnie jego braki. Dowcipy jakkolwiek zadziwiające, wybryki jakkolwiek ekscentryczne nie są w stanie zastąpić *á la longue* argumentów. Można chwilowo oszałomić niemi przeciwnika tak jak piasek sypnięty w oczy kopytem osła jest w stanie oślepić, ale choćby się miało po swéj stronie rozśmieszoną masę uliczną, przyklaskującą arlekinowi, to przywódca polityczny, przewodnik narodu widocznie potrzebuje jeszcze innéj artyleryi do pokonania przeciwnika i ugruntowania nowego porządku rzeczy. Nie tylko Rochefort nie zrozumiał téj potrzeby, ale nie zrozumiał różnicy taktyki

w obec form rządu odmiennych i jak był zjadliwym pamfleciarzem i nieprzejednanym (*Irréconciliable*) za cesarstwa, tak samo nim pozostał za rzeczypospolitéj. Upłynęło lat dwadzieścia, zmienili się ludzie i okoliczności, on jeden się nie zmienił: jak błaznował, gdy był młodzieniaszkiem, tak błaznuje dzisiaj, gdy czupryna na jego mefistofelesowskiéj głowie jest śnieżnéj białości. Zieje on ciągle nienawiścią; jest zawsze niezłomnym i nieugiętym, redagując swego *Intransigeant*. Łatwo zrozumiéć początek téj wojny przeciwko organizmowi społecznemu. Nie posiadając miary ani rozwagi, rzucił się jak szaleniec do obozu komuny, i jako jéj uczestnik został zesłany do Nowéj Kaledonii, skąd uciec mu się udało. Amnestya otworzyła mu wrota ojczyzny, ale powrócił do niéj jako zbuntowany i traktuje odtąd rzeczpospolitą i całą machinę państwową jako wroga. Nie ma ani jednéj jednostki, na którą by nie cisnął błotem, któréjby nie zbryzgał potwarzą. Jego osobiste napaści przyczyniły się głównie do nadania prasie francuskiéj tego tonu polemiki zaciekłéj, jaka razi i oburza nieprzyzwyczajonego do niéj. Gdyby się wierzyło Rochefortom dziewięć dziesiątych Francuzów byłoby rozbójnikami, złodziejami i oszustami. Ani patryotyzm, ani zasługi obywatelskie najpoważniejsze nie są w stanie rozbroić tego surowego Katona. A gdy się wié czém jest osobiście ten nieubłagany moralista, gdy się wié, że prostytucya i wolne stadła rozsiadły się u jego rodzinnego ogniska, że ten poskramiacz zbytku sam bez niego żyć nie może, że ciągnie zyski skandaliczne z wymiany dzieł sztuki, że gra zapamiętale na wyścigach, to można się sceptycznie uśmiechnąć nad jego kampaniami za spartańską polewką i arkadyjską czystością obyczajów! Masa wierzy mu i idzie za nim, nie zdając sobie sprawy, że nie ma w téj głowie jednéj myśli jasnéj, wyrozumowanéj. Kiedyś powiedział, że mu pięć minut wystarczy do rozwiązania kwestyi socyalnéj. Upija się własnemi słowami, wierzy potwarzom, które sam ukuł i bezczelnością swoją, swym cynizmem—imponuje. Przy istniejącém koleżeństwie w prasie nie chcą go jawnie potępić ci, coby uczynić to mieli prawo; drudzy w obawie zawsze gotowéj jego satyry nie śmią płacić mu własną jego monetą, i w skutek tego stanu rzeczy ów opętaniec jest potęgą dziennikarską i masa ludowa przepada za tym rynsztokowym Alcybiadesem. Bez programatu, bez linii wytycznéj, zmieniając kolejno zdania i sympatye, przerzucając się z jednéj koteryi do drugiéj i kończąc obecnie na obłędzie bulanżyzmu, Rochefort jest najdoskonalszym typem dziennikarza, co pozbawiony wykształcenia, bez światła, wiedzie otumanione przez się masy na bezdroża. Gdyby się był ograniczał do pisania krotochwil i fars w rodzaju *la Vieillesse de*

Brididi, byłby na swojém miejscu, ale tylko w tym razie. Nie można nawet na jego usprawiedliwienie powiedzieć, że nie wié sam, co czyni. Azaliż nie powiedział był niedawno, gdy mu wyrzucano, że on to, a nie kto inny postawił Boulangera na wyżynie obecnéj, azaliż nie odpowiedział cynicznie, że ci co robią opinią publiczną mogą ją także odrobić! Jest to istotną klęską dla społeczeństwa francuskiego, że ludzie jak Rochefort błyszczą tam jako gwiazdy pierwszorzędnéj wielkości: atmosfera zwyczajów politycznych, silniejsza od praw samych, zostaje przez nich nieuleczalnie zatrutą.

V.

Najpoczytniejszym z dzienników paryskich jest *Figaro* i w oczach wielu cudzoziemców uchodzi za typ prasy francuskiéj. Uogólnienie to niesłuszne, ale prawda, że *Figaro* jest wzorem, na którym się ukształtowała cała tak zwana lżejsza prasa. Od 22 lat jak *Figaro* stał się gazetą codzienną, ukazał się nie jeden organ, co się starał z nim rywalizować i odebrać mu faktyczny monopol bulwarowego dziennika; piszący przypomina sobie, że był przez czas jakiś współpracownikiem dziennika, który zamiast programu zapowiedział, że chce być *Figarem* u c z c i w y m; ale te i inne próby nie były nigdy uwieńczone pożądanym skutkiem, pod materyalnym względem przynajmniéj. *Figaro* odbija blisko 100,000 egzemplarzy; budżet jego sięga milionów; płaci wielkie procenta i tłuste dywidendy; sypie pieniędzmi, jest literacką, a jeżeli nie narodową to przynajmniéj brukową paryską potęgą. Ta fama i ten sukces wystarczają mu i nie kusi się o co innego.

Wiadomo wśród jakich okoliczności drobny, z razu tygodniowy dzienniczek rozrósł się i rozwielmożnił. Cesarstwo, zmiażdzywszy życie publiczne narodu, nałożywszy hamulec na prasę polityczną, chętnie spoglądało na nadanie opinii innych prądów na zaprzątanie jéj innemi zagadnieniami. Wykluczona z forum i z agory młodzież rzuciła się do buduarów pół świata, do płochych rozrywek i stało się zadaniem prasy służalczéj utrzymywać ją w téj gorączce zmysłowéj, drażnić jéj instynkta, rozbudzać ciekawość do fatałaszek i do skandalów. Rozwolnienie obyczajów, sceptycyzm i dyletantyzm: oto wypłody tego kierunku. Nie pytało się o nie cesarstwo i nie zadawało sobie trudu przewidywać następstw: żyło z dnia na dzień i gdy hulała i weseliła się Francya, pozwalała gospodarować u siebie klice awanturników. *Figaro* pojął, że może zapewnić sobie powodzenie, stając się podrzędnym i niby niezależnym współdziałaczem rządu w téj jego taktyce ogłupiania i demoralizowania

narodu, i rzucił się *con amore* do dzieła. Jego wydawca i naczelny redaktor Henryk de Villemessant był osobistością jakby umyślnie na ten cel przykrojoną. Cynik, bez sumienia i skrupułów, intrygujący na prawo i lewo, grający komedyą religii i legitymistycznych opinii dla pozyskania sobie klas arystokratycznych, chwytany po tysiąc razy na fałszach, co się od przywłaszczenia nazwiska rozpoczęły, a posuwały się dalej, niż to prosta przyzwoitość powiedzieć pozwala, Villemessant szedł po wytkniętej drodze z czołem, co się rumienić nie umiało, do góry wzniesioném. Syt lat i dostatków umarł w 1879 r. i jak Aleksander macedoński zostawił spuściznę swym generałom. Umiarkowali się oni w spekulacyach i nie można powiedzieć, ażeby dzisiajszy *Figaro* był takim samym stekiem brudów jak za czasów jego twórcy; są w nim artykuły pisane *bona fide* a nie dla płatnéj reklamy—ale forma pierwiastkowa tak się głęboko wyżłobiła, że nie podobna się z niéj całkowicie wyzwolić. I obecnie jeszcze *Figaro* jest dziennikiem skandalów. W formie lekkiéj, barwnéj, często wykwintnéj, zawsze zajmującéj, traktuje on szczegółowo i z namaszczeniem kwestye podrzędne i drobiazgi a istotnie ważne zbywa pobieżną wzmianką. Bożkiem jego jest *actualité*, wypadek chwili: za nim uganiają się jego reporterowie, o nim piszą obszernie jego kronikarze, nie ma przedpokoju, do którego by się nie wdarł, lokaja, od któregoby nie posłuchał zwierzeń. Byle przyciągnąć i zainteresować czytelników, w środkach i narzędziach nie przebiera. Był z kolei wyznawcą rozmaitych opinii politycznych, bonapartystą, legitymistą, zaciekle klerykalnym i umiarkowanym; obecnie pod piórem p. Magnard swego dyrektora z pobłażliwym sceptycyzmem spoziera na rzeczpospolitę; nie ma wątpienia, że się stanie bulanżystą jeżeli okoliczności na tryumf tego stronnictwa się złożą i jeżeliby mógł swój byt i dochody zabezpieczyć w ten sposób. Samo z siebie wynika, że służy rozmaitym finansistom do popierania złotodajnych spekulacyi giełdowych; nie ma wynalazcy, artysty, specyalisty, któryby mu haraczu nie złożył. Są artykuły na pozór nic nie znaczące, nie wymieniające nieraz imienia osoby, któréj interesom służą, a przynoszą one kasie dziesiątki tysięcy franków. Przy ustalonéj reputacyi, że jest organem wyższego towarzystwa, klas zachowawczych, duchowieństwa, armii, etc. wyzyskuje on swoje stanowisko i każe swój wpływ opłacać. Jego pojęcia o moralności są luźne i zastosowane do osób. Bez wahania pali on na stosie swych wczorajszych bohaterów i służy nowym bogom. Jedną ze specyalności *Figara* jest teatr. Nie tylko że podaje szczegółowe sprawozdania krytyczne ale nie ma zakulisowéj plotki, nie ma najpodrzędniejszego szczegółu, tyczącego się aktorów, któregoby nie

podniósł i skrupulatnie nie zaregestrował. Jemu to przypisać należy, że w dzisiejszéj Francyi, tak jak w Bizancyum przed jego upadkiem, publiczność cała dzieli się na błękitnych i na zielonych, że aktorzy i aktorki zajmują miejsce wybitne w towarzystwie, że ich popularność jest szersza aniżeli największych znakomitości narodowych, że się zaciera poczucie stosunkowości zawodów i zatraca zmysł moralny.

Nie widzimy potrzeby szczegółowo charakteryzować współpracowników *Figara*. Są wpośród nich uzdolnieni pisarze, pracujący tam dla wielkich korzyści materyalnych, jakie im to zapewnia; są błyskotliwe kronikarskie talenty, które po wystrzeleniu fajerwerku powracają do swéj zasadniczéj nicości; są pióra napiętnowane przedajnością i cynizmem, gdzie talent literacki nie jest wstanie zasłonić moralnéj zgnilizny. Wyciągać tych współpracowników z półcienia, w jakim się obracają—nie wypada, i nie wypada ich każdego indywidualnie czynić odpowiedzialnym za ujemność organu. *Figaro* jest instytucyą a figaryzm tém surowiéj napiętnowany być winien, że rozniósł zarazę nie tylko po Francyi, ale i po innych krajach, napozór całkiem od niéj niezależnych.

Dr. M. E. Trepka.





ALMANZOR

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

(Z DZIEJÓW HISZPANII).

ZMIANA.

Burgos. Sala w pałacu. Przepych królewski. Awa siedzi u stołu z prawéj strony z książką do nabożeństwa, koło niéj leży na stole królewski dyadem. Inez siedzi naprzeciw, koło okna, zajęta robotą na krośnach. Chwila milczenia.

Awa (*opuszczając na kolana rękę z książką*).
Gdzie hrabia?

Inez. W parku—bawi się z sokołem,
Który mu w darze przywiózł król Leonu...
(Podchodzi do okna).
Ptak osobliwy! duży czub nad czołem
Śmiesznym go czyni. Tak przywykł do tronu,
Jakby w królewskiéj zrodził się koronie:
Sypia na berle i jada na tronie.
O! jak się puszy!—Widzę go w téj chwili...
(Odskakuje od okna).
Ach!... obrzydliwy!...

Awa. Sokół?

Inez. Gdzie tam—hrabia!

Awa. Pocieszną jesteś!

Inez. Ale temu pani
Jest winna—nigdy hrabiemu nie zgani
Swawoli żadnéj— —
(Zerka w okno i zakrywa oczy).
Ach!

Awa. Co on wyrabia?

Inez (*trzepocąc rękami*).
O zgroza! bezwstyd!... poskoczył do Lili
I pocałował!—
(Zła — siada do krosien).

Awa. Rozpustnik zuchwały—
Nie słucha twoich rad, Inez. Ot!... może
Lepiéj gdy miłość wcześniéj stępi strzały.
Im późniéj serce się zbudzi—tém gorzéj,
Bo więcéj pragnień z latami się zbiéra,
Więcéj za szczęściem nieznaném tęsknoty— —
Wtedy, gdy miłość swe skrzydła rozpostrze,
Skrajne jéj drogi, błyskawiczne loty,
Więzów nie zniesie i pójdzie na ostrze,
I choć ją zgnębią, złamią—nie umiéra!
O! wówczas rozum nie jest serca panem,
Gdy ono szałem wszystkich lat zapłonie—
Nie stłumisz uczuć kotłujących w łonie,
Wichrem zaszumią i buchną wulkanem.
Inez. Madonno! jakie straszne to być muszą
Zachcenia wtenczas. Święty Atanazy
Czuwaj nad moją nieśmiertelną duszą,
Któréjś z opieki nie puścił przenigdy...
A miałam zręczność... upaść kilka razy— —
Awa. Czy nie słyszałaś ty nigdy wyrazu
„Kocham“ z ust męzkich? Słodkie: kocham!
Inez (*wstaje zirytowana*). Nigdy!
Awa (*podnosząc na nią oczy*).
Nie ca-ło-wa-łaś?
Inez (*z tajoną złością*). Nigdy—ani razu!
(Zerka w okno i rzuca się).
Ach!... obrzydliwość!
Awa. Dla czegoż ciekawie
Za okno sali biegasz wciąż oczyma?
Inez. Ale bo hrabia w niczém miary nié ma,
Już pocałował raz czterdziesty prawie,
To może zrobić wrażenie!
(Siada przy krośnach, zerkając co chwila).
Awa. Sam hrabia?
Inez. Gdzieżby się Kryspin zapodział? To zgroza,
Co o nim w mieście gadają. Ograbia
Ze czci niewiasty, właźliwy jak koza—
Gdzie nic nie zrobi językiem, ugryzie,
Zamkniesz drzwi, oknem—okno, szparą wlézie!
Dobry towarzysz dla młodego pana!
Awa. Sam wybór zrobił—
Inez. A twój wybór, pani!

Awa. Byłam małżonką, nigdy nie kochana—
Koronę wziąć mię zmuszono. Pijani,
Mojego męża sprośni godownicy,
Niekochanego nigdy oblubieńca
Wwiedli przemocą do ślubnéj łożnicy,
Gdy szat godowych zrzucić ani wieńca
Nie miałam czasu. Pjany mąż dogodził
Pragnieniom krwi swéj podburzonéj winem.— —
Hrabia jest gwałtu nie miłości synem;
Czy mam go kochać, że mi się urodził?...
Zresztą—tam jakaś cząstka krwi méj była,
Możebym serce znalazła—Bóg świadkiem!
Ale—

Inez. Co pani?

Awa. Jam go nie karmiła
Mlékiem swéj piersi—mamek poddostatkiem
Miał—mąż dostarczał!

Inez. Brzydki mąż był pani!

Awa. Dziś się przed nami dwie drogi roztacza:
Żaden cierń ostry stóp jego nie rani...
A mnie?... Ja nie wiem, co tam los przeznacza!
Przyjaciół nie mam;—wszak to nie tak dawno
Jak mi radzono, by mu tron zostawić.

Inez (*wpatrzona w okno*).
On rajców zgromił—

Awa. Nie bądź-że zabawną—
Panować!... jemu?—gdy on się chce bawić!

Inez (*zrywa się nagle*).
Pfe!... wpół ją złapał!

Awa (*wstając*). Inez! idź do hrabi—
Powiédz, że dość téj szaleńczéj zabawy.
Czy go i dzisiaj nawet tu nie zwabi
Dzień uroczysty, w którym państwa sprawy
Pójść inną muszą, niż dotąd, koleją?
Tłumy zaległy ganki i ulice,
Ciesząc się błogą pokoju nadzieją—
On się z sokołem bawi! Czas nareście
Poczuć się godnym krwi królów—przyłbicę
Wziąć i w rycerskim, jak przystało, stroju
Pod tryumfalnym łukiem róż i laurów,
U bram stolicy przyjąć króla Maurów,
Groźnego władcę—dziś dawcę pokoju.

Inez. Idę —

(Idzie i zatrzymuje się w pół sali).

Awa (*d. s.*). Dla czego milczy dzwon wieżowy
I mnie radosnéj nie niesie nowiny?
Czy czas się opóźnił?...

(Patrzy na klepsydrę).

Klepsydry godziny
Tak wolno płyną... Ach! wy nie jesteście
Mém sercem!

(Spostrzega Inezę — marszczy brwi).

Inez tu jeszcze? czy nowy
Rozkaz mam wydać?

Inez. Może pani każe
Wyłajać Lilę?

Awa. Dziś nie jestem skłonną
Do gniewu... Dzisiaj—ja się nie odważę
Karać za miłość. Takie przewinienie
To grzech codzienny... Idź Inez!

Inez. Madonno!
A ja mówiłam wciąż: na pokuszenie
Nie wwodź mię Panie!...

Awa. Idź! ja nie skończyłam
Modlitwy—zawsze modlę się trzy razy
Na dzień— —

(Inez wychodzi—Awa oparta o poręcz krzesła, roztwiera książkę),

Awa. „Najpierwszą kocham cię miłością
Ukrzyżowany...“

(Opuszcza słowa).

Nie—nie! Te wyrazy
Nie dla mnie dzisiaj. Ostatnią zmówiłam
Na jego ustach modlitwę...

(Machinalnie podnosi książkę do oczu i rzuca ją na stół).

Daremno!
Nie świętym szałem serce me uderza— —
Dzwonią mi głośniéj od tych słów pacierza
Ust pocałunki, gdy żegnał się ze mną
I tulił dłoń mą i pieścił warkocze
W czystéj miłości uniesieniu błogiem...
Grzesznaż to miłość?—On przed moim Bogiem
Uchyli czoło, swe czoło urocze!...
I dzisiaj? komu stolica zawdzięcza
Ten strój odświętny? ten gwar, którym dzwoni?
Czy tych proporców różnobarwna tęcza

Nie jest potężném dziełem mojéj dłoni?
To cud—cud wielki! O! jam nie marzyła,
Że w mojém sercu taka wielka siła;
Że olbrzym taki do mych stóp się stoczy!
I gdy mię kusił serdecznemi słowy,
Ja—zapatrzona w jego cudne oczy,
Myślałam tylko: to m ó j dzień godowy!..
I trwożna, senna—niby arfy struna—
W ramionach jego drżałam rozemdlona—
Nie wieści dobréj witałam zwiastuna,
Tuliłam tylko kochanka do łona.

(Dzwon bije).

Ach! dzwon uderzył... Raz—drugi—i trzeci— —
Niby szum morza zawrzał lud szalony...
Co za gwar! wrzawa!.. Biją wszystkie dzwony
Śpiew ich potężny wichrem burzy leci
Do progów moich —

Głosy (*z ulicy*). Niech żyje!

Awa. Niech żyje!

Śpiesz! ja ci słodsze powtórzę wyrazy—
Dzwon mego serca głośniéj milion razy
Od wszystkich dzwonów téj stolicy bije!—

(Dzwony powoli milkną. Wchodzi Sancho-Garcia w rycerskim stroju).

Sancho. Mamo! ty tutaj?..

Awa. Czy już?

Sancho. Bierz koronę—

Król Maurów wjeżdża na zamkowy dworzec.

(Awa drżącą ręką bierze diadem).

Ty drżysz jak biały stolicy proporzec
Na wieść szczęśliwą. O! tłumy szalone
Niech do nóg twoich upadną, dziękczynne
Modły ślą tobie!.

(Bierze ją za rękę).

Awa (*usuwając dłoń*). Pozwól — —

Sancho (*smutnie*). Wciąż to samo—

Myślałam, że dziś dla mnie serce inne
Mieć będziesz — —

(Awa nakłada koronę).

Jaka ty cudowna, mamo!

Awa. Czy mi do twarzy w tym złotym diademie?

Sancho. Ty zawsze piękna! czy weźmiesz codzienny
Strój, czy królewski płaszcz swój drogocenny,
Co kitą strusich piór całuje ziemię!

Awa (*z uśmiechem*).

Mógłbyś mnie kochać, gdybym ci nie była
Kim jestem?

Sancho. Mamo! po co mówić o tém—
Ja dziś bym leżał u twoich stóp, miła!
W rozkosznym półśnie, półmarzeniu złotém!

(AWA całuje go w czoło. SANCHO tuli dłoń jéj do piersi, miłośnie w twarz matki patrząc. Uderzają trąby).

Przybył!..

(Podbiega do okna).

Gród zawrzał jakby tysiąc ulów
Brzękło... Wojsk naszych chylą się sztandary—
Mistrz ceremonii prezentuje królów...
Pocieszny!

Głos Mistrza Ceremonii (*mówi jednym głosem przystając tylko gdzie kropki*). Sancho-Abarca, Nawarry
Król, z swém rycerstwem. Hrabia Barcelony
I cnych hidalgów przy nim zastęp liczny,
Władca rozległych ziem i pan dziedziczny
Sławnego grodu. Młody król Leonu
Alfons z porządku Piąty—Arragonu
Pan za nim. Dalėj téj ziemi grandowie:
Hrabia Urgelu i Juan di Possem,
Cuevo, Ladesma, Fridrique Sandowali—
Gonzalw, Bertrando, Luc—opiekunowie
Hrabi Kastylii i króla Leonu.

Sancho. Wymienił wszystkich rozpaczliwym głosem.
Spieszmy! gość przeszedł próg witalnéj sali.

(Podaje ramię Awle—wychodzą).

(Po chwili wchodzi INEZ zaperzona, za nią zmieszana LILI).

Inez (*biorąc z krosien motek nici i plącząc niemiłosiernie*).

Musisz mi, panna, rozmotać te motki
Splątanych nici.

Lili (*wychwytując jéj z rąk*). Inez! nie plącz więcéj

Inez (*wydzierając napowrót*).

Myśl ustatkuje się, gdy będą ręce
Zajęte pracą i dla tego plączę—
Tak!

Lili Co to znaczy?

Inez. Te—nie inne środki
Są dla waćpanny jak tarcze obrończe
Przeciw... prze—(*kaszle*)

Lili. Inez!.. (*d. s.*) Ona zwaryowała!
Inez. Niechaj waćpanna na tym stołku siada,
Na bok nie patrzy, nie wstaje, nie gada,
Póki by nici tych nie rozplątała.
Zbawczy to środek jest przeciw rozpuście
W czém się panienka lubuje, jak widzę—
O któréj mówić wzdrygam się i wstydzę.
Lecz pannie ona, jako widzę—w guście?!..
(Z furyą).
Motki! gdy godność jéj przed złem nie trzyma!
Lili. Inez—tyś chora!..
Inez. A ty rozpuszczona!
Lili. Co ja zrobiłam takiego?
Inez. Co ona
Zrobiła?.. Jeeezu!—Panna wstydu niéma
Dać się w dzień biały całować hrabiemu,
Gdy ja przy krośnach z tego okna patrzę
W płomieniach cała, że aż mię sandały
Paliły w pięty!.. całować—w dzień biały?
Przed moim nosem?.. Waćpanna nie zatrze
Wrażenia, jakie na mnie ta rozpusta
Wywarła, gdyś się garnęła ku niemu
Jak sroka pod płot—jak sroka!.. i usta
Dałaś—w dzień biały:
Lili. Cóż ja zrobić miała,
Gdy hrabia bardzo chciał?
Inez. Więc panna da-ła?
Lili. Raz tylko—
Inez (*podskakując*). Motki!
(W drzwiach staje Kryspin).
Kryspin. Inez grzmi!
Inez (*rzucając się*). Szkarada
Stanie się —
(Do Lili).
Za mną, panienko—zbierz sznurki!
(Biegną ku drzwiom, w których spotykają hr. Sancho).
Sancho (*rozszerzając ramiona*).
Prrrr... co się stało?
Kryspin. Spłoszyłem przepiórki
Niby krogulec, gdy w ich stadko wpada.
Sancho (*do odwróconéj Inez*).
Inez mię dzisiaj dniem dobrym nie wita?
(Inez nie rusza się. Sancho zwraca się do Lili).

No—to ty, Lili?..

(Lili odwraca się).

Nic to!.

(Podbiega i całuje ją w gors przez plecy).

Inez (*z przerażeniem*). Sodomita!

Sancho. Teraz chcę, by się zgodą zakończyło
Wszystko — —

(Podbiega do Inez).

Masz!

(Całuje w policzek).

Inez (*przysiadając*). Ach—ach!..

(Sancho podbiega do Kryspina — Lili wyrzuca motki przez okno i ucieka. Inez podnosi się,—przykładając dłoń do twarzy).

Jak przyjemnie było!

(Wychodzi, patrząc czule na hrabiego).

Sancho (*spluwając*).
Tfu!..

Kryspin. Nibyś w żebro pocałował rybę — —
Dziwna ochota! Wolałbym mospanie
Śmierdziela w ogon uszczypnąć przez szybę,
Albo sam na sam zejść się niespodzianie
Z ropuchą.

Sancho. A ba! czy to się nie zdarzy
Zachcenie jakieś nierozważne, głupie
I mądréj głowie? Człek gębę oparzy
Nie raz, Kryspinku—

Kryspin (*powoli*). Lecz na dobréj... zupie.
Teraz—stój malcze! ja siądę—wymaga
Tego powaga wieku i znaczenie.
Stój! i na moje słowa miéj baczenie,
Myśląc, że ciebie ojcowska dłoń smaga.

Sancho. Nic nie rozumiem—

Kryspin (*siadaj*). Zaraz, paliwodo,
Zrozumiesz wszystko.

(Sapie. Wchodzi Nuradyn, niewidziany przez obecnych).

Nuradyn (*d. s. we drzwiach*). Więc—dzisiaj na szali
Położyć wszystko! Jeśli mnie zawiodą
Marzenia dumne—niechaj świat się wali,
Ja... (*spostrzega*)—a!

(Staje na boku).

Sancho. Cóż milczysz? mów, bo zacznę zie- [wać.

Kryspin. Czy ten, co ciebie spłodził—naturalnie,
Siak czy tak—zawsze twój ojciec rodzony — —

Mógł się, niecnoto, po tobie spodziewać,
Że ty—z rozumem Seneki, z urodą
Prawie, że moją—tak skręcisz fatalnie
Jego nadziejom szyję. Rozpuszczony
Podświnek z ciebie! Twoi guwernerzy
Na hece waści patrzyli z daleka,
I gdyby nie mój wpływ, czuła opieka,
Stałbyś na drodze, z któréj się należy
Zejść—wprost pod stryczek. A jednak daremnie
Prostuję stopy twoich nóg dziecinnych,
Choć wciąż ci gadam: Patrz na mnie, bierz ze mnie
Przykład skromności i wielu cnót innych!

Sancho. Skończ, bo ucieknę!

Kryspin. Milcz, chłystku, gdy mądre
Rady ci daję, bo jesteś u stoku
Przepaści. Owóż—czy miejsce w téj chwili
Tutaj dla ciebie, by całować flądrę
Taką jak Inez, mając przy swym boku
Rumiany buziak, śliczny buziak Lili?
Pocoś opuścił komnatę, gdzie króle
Przez swego gościa oćwiczeni wczora,
Dziś kropicielską dłoń ściskają czule,
I wznoszą czarki na cześć Almanzora?
Zamiast w ich rzędzie być, znosku Kastylii,
Łapiesz podwiki i wiercisz się z niemi?

Sancho. Bo wolę stokroć jasne oczy Lili
Niż smutny uśmiech zhołdowanéj ziemi.
Wolę z sokołem na mojém ramieniu
Przebiegać dzikie, piaszczyste obszary,
Niż kark uchylić w niemém uwielbieniu
Przed wielkim mężem lecz wrogiem méj wiary.
Jam nie ubliżył prawom gościnności,
Przyjąłem książąt jak przystało na to.
Lecz śmiech ich dla mnie nie śmiechem radości,
Bo bratobójczy kryją nóż pod szatą.
Pokój?.. ha! oni są w sumieniu czyści,
Almanzor może nie dobędzie broni,
Ludów nie zdławi miecz Maurów—lecz oni
Prysną na siebie jadem nienawiści—
I miecz kastylski o pałasz zadzwoni
Hrabi Urgelu, a pan Barcelony
Może zdobywcze swe pragnienie ziści

I płatnych zbirów rozpuści zagony
W kraje Asturyi. Ja—z pogodném czołem
Bawię się z Lilą i bujam z sokołem!

Kryspin. Miałeś tron w łapie! trza było bez względu
Na nic—wziąć tronik i wielkie zamiary
Wykonać. Gdybyś miał mój rozum stary
Nigdy takiego nie zrobiłbyś błędu.—
Ja—wlazłbym na tron.

Sancho. Ta ręka niezdolną
Była wbrew woli matki iść nikczemnie—
I tak jéj serca nie mam. Jakiś blady
Duch między nami stanął od niedawna...
Dzisiaj się lękam tylko....

Nuradyn (*d. s.*) Cze-go?

Sancho (*kończąc*). Zdrady.

Nuradyn. Czas zacząć...
(Podchodzi),
Zdrady?.. Czyjéj, jeśli wolno
Zapytać, hrabio?
(Kryspin podnosi się zaniepokojony).

Sancho (*marszcząc brwi*). Zszedłeś mię tajemnie—
A więc wiedz—waszéj!

Nuradyn. To sztyletu pchnięcie—
Odbić potrafię!..
(Rzuca się z puginałem).

Sancho (*odbija raz, wskroń go raniąc*).
Znaj kastylskie cięcie!

Kryspin (*uciekając*).
Jak lew odważny—jak ja!
(Wybiega—Sancho wychodzi szybko).

Nuradyn (*dotykając zranionéj skroni*). Ręka wpawna!..
(Po chwili).
Chciałem go zabić i posłać wieść głuchą
Na plac stolicy między lud mu wierny—
Ciekawe ucho znaleść i w to ucho
Szepnąć: „Almanzor!" sam będąc pancerny
Maską oblicza, która raz „tak" mówi
A „nie" raz drugi; lecz ktoby się baczniéj
Chciał przyjrzéć—z oczu i uśmiechu lica
Wyszła by cicha, groźna tajemnica:
„Almanzor!" Pewny wygranéj kto zacznie
Bój krokiem wstępnym. Zdrada okazana
Jawnie, w niejedną mściwą dłoń Hiszpana

Nóż by wcisnęła zabójczy. Tą dłonią
Ja bym kierował upojony wonią
Krwi i zwycięstwa. Do króla komnaty
Szedłbym i mówił: tam! a potém zgrozy
Okrzyk bym wydał i z tygrysa rykiem,
Wpadłbym pomiędzy wojsk naszych obozy,
I strasznéj zbrodni oszalały krzykiem,
Z włosem w nieładzie, szatą w pół okryty
Zagrzmiał bym z piersi całéj: król zabity!
Śmierć giaurom!—Komu drogie jego życie
Było, ten ze mną stanie w jedném kole...
Oto korona jego—na mém czole,
Oto w méj dłoni jego miecz... Słyszycie!
(Pauza).
Genialną miałem myśl!.. Ręka chybiła
Parta gorączką krwi nazbyt wzburzonéj...
A teraz? może o téj niespełnionéj
Zbrodni tu szepną? — Nie! wypadków siła
Sknebluje usta tym dwom. Milczéć muszą!—
Nie trącą dzieła świetnego pokoju.
Bezsilni, dzisiaj nie staną do boju,
Rąk przeciw sobie nie wyzwą, co duszą!
Zmienią się w groby! Ale raz powzięta
Myśl nie sprowadzi mnie z przeznaczeń ścieszki———
Hrabia paść musi, wojna się rozpęta,
Ujrzym, kto z krwawéj wystąpi zamieszki
Zwycięzcą!..
(Zwraca się).
Słyszę chód—kochanków para
Spragniona słodkich uścisków tu śpieszy———
(Staje za kolumną zakrywającą go po ramię. Wchodzą Almanzor i Awa).

Awa. Widzisz jak drżałam, że złocona czara
Z dłoni mi padła. W biesiadniczém kole
Nie moje miejsce dzisiaj,—mnie nie cieszy
Przymierza święto ale ta radosna
Chwila, ta uczuć powrócona wiosna,
To serce, które drży mi pod purpurą,
Ta tajemnica miłośna, przed którą
Zaparte mają drzwi nawet najszczersi:
Że mogę usta złożyć na twém czole,
Do twojéj mężkiéj przygarnąć się piersi!
Czy ty mię kochasz?—Ja jestem strwożona

Gdy nas jest troje: ja—ty i milczenie.

Almanzor. Po co ci słowa moje?.. masz spojrzenie!

Awa. Ale ja jestem twoich słów sprągniona! —
Nie skąp jednego, co w sobie zawiera
Nieziemskie szczęście i raju zachwyty—
Które unosi ducha... pod błękity,
Kąpie go w słońcu i niebo otwiera.—
To słowo jedno ma w sobie słodycze
Upajające nektaru i drżenie
Kwiatu pod wiosny tchnieniem i słowicze
Dźwięki i piersi wezbranéj westchnienie—
Jednego słowa ja jestem spragniona!·
(Garnie się ku niemu).

Almanzor (z *uśmiechem*).
Dwie mam kochanki ..

Awa (*odrywając twarz od jego piersi*). Co mówisz?— —

Almanzor. Nie kłamię— —
Jedna mi sama chyli się w ramiona,
Drugą obejmie moje silne ramię.

Awa (z *cichem westchnieniem*).
Królestwo moje!

Almanzor. Żali niepowszedną
Rzecz powiedziałem tobie, żeś zadrżała
Jak nić pajęcza?

Awa. Jabym ci oddała
Całą tę ziemię—cóż królestwo jedno?!..
A jednak... nie chciéj czego ja nie mogę
Dać... Patrz! królowa—uginam kolana—
Nie chciéj!.. (*klęka*).

Almanzor. Królowo! wstań—znam twoją [trwogę,
Lecz czy przystoi mi żona bez wiana.
Lada pachołek w dar się zabezpiecza
Poślubnych godów—a cóż ja? w koronie?
Którego ostrze niestępione miecza
Każe wypłacić dług należny żonie.
Gwałtu nie pragnę, nie dobędę noża,
Na mord nie pójdą wojsk moich szeregi— —
Ja chcę jak cichy, wielki przypływ morza
Wznieść się do brzegów i wylać nad brzegi.
Jam gość pokoju i niosę mir światu,
Tyś lwa uśpiła, on czuwa uśpiony—
Brylantem jesteś mego majestatu,

Lecz brak mi kilku pereł do korony.
Ty pieśń miłosną zagrałaś na strunach
Mojego serca i serce ci wtórzy—
Twoję pieśń śpiewam—ja, co na piorunach
Umiałem tylko grać i wichrach burzy!..
Więc lwa nie drażnij, bo zbudzić się może
I znowu zechce pić z krwawego zdroja—
Chodź do mnie, Awo!.. daj usta!..
(Całuje ją).
Tyś moja!

Awa (*zarzucając ramiona mu na szyję*).
Och! jak ja ciebie kocham, Almanzorze!..
(Zostaje chwilę w uścisku—nagle Awa cofa się zasłyszawszy kroki wchodzącego LUCA).

Luc. Gdzie jest król Maurów?
Almanzor. Do mnie?
Luc. Lud spragniony
Ciebie—do waszéj mości śle mię w posły— — —
Rycerstwo idzie w turniejowe gony,
Wstrząsa kopiami. Ujrzysz widok wzniosły,
Gdy dzida z dzidą, miecz z mieczem się zetrze
A pióropusze zamiotą powietrze
Z szumem nie małym. Sznury przeciągnięto,
W otwarte szranki zapaśnicy płyną.

Awa (*do Almanzora*).
Znów mi cię biorą! —
Almanzor (*całuję rękę*). Pamiętaj, hrabino,
Że w twojéj mocy przedłużyć to święto.
(Wychodzi—Luc za nim).

Awa (*sama—po chwili milczenia*).
Czy to możebne?.. Ja z serca ofiarę
Uczynić mogę i wyrzec się... Boga — —
Ale mojego ludu oddać wiarę,
Krzyż w poniewierkę rzucić?... Jaka trwoga
Ściska mi serce!.. czy nie dosyć grzechu
Już, że go kocham, wiary mojéj—wroga!
(Po chwili).
Nie dawno... wczora—u spowiedzi byłam,
Sypałam złoto na katedr ołtarze — — —
Ja się modliłam... ach! ja się modliłam,
Żeby Bóg z ust mu nie strącił uśmiechu,
Gdy jaśniejącą szczęściem twarz pokażę.
I on przyjechał i na usta moje

Położył ogień swoich ust i czoło
O pierś mą oparł... Co? i ja się boję
Złamać rąk ludzkich tajemnicze koło,
Które mnie więzi, gniecie, nie pozwala
Całą swobodą szczęścia tchnąć w powietrze?..
Ja go nie złamię—to jego miecz zetrze,
Jego pożądań niewstrzymana fala
Niesfornych tłumów porywy ostudzi— —
Wyrzec się szczęścia... dla kogo?... Dla—ludzi?!...

(Ciszéj).

A Bóg?... ja Boga się boję!... On słyszy
Każdy głos duszy wymówiony w ciszy,
Lękliwy każdy myśli szept... On słyszy —
I piekło straszne ma!... Lecz kto odgadnie,
Co leży w duszy Almanzora na dnie,
Gdy ja go tulę?... Może pociągnięty
Szeptem ust, rajskie pijąc z nich rozkosze,
W miłosném drżeniu uzna, że ten święty
Bóg, krzyż którego na swych piersiach noszę!
Czy on nie mówił, że posępna cisza
Klasztorów naszych podnosi mu ducha?
Że śpiew organów stłumiony, pieśń mnisza
Cudną harmonią płyną mu do ucha—
Czy on nie mówił?—A w walce zaciętéj,
Gdy zagrażała padłym miastom zguba—
Nie uczcił grobu Świętego Jakóba,
Darów nie posłał naszéj Pannie Świętéj?
O! błogosławić będą mnie zbawione
Ludy—i papież...
A mój syn?... co powie,
Że ja mu z czoła ściągnęłam koronę,
Koronę, którą nosili przodkowie
Hrabiów kastylskich?! Myśl plącze się, ginie
W pomroce jakiejś... Jak we wnętrzu ula
Tu szumi—czarna noc skrzydła rozpina— — —
A tak szczęśliwą byłabym... gdyby nie
Ten syn...!

Nuradyn (*podchodząc*). Dla wiary poświęca się syna —

Awa (*drgnąwszy*). Kto to powiedział?

Nuradyn. Ja—w imieniu króla!

(Awa chwieje się i siada na fotelu—Nuradyn staje za nią, opierając się o poręcz).

Nie mdléj, hrabino, a rad przyjaciela
Króla posłuchaj, którego nie straszą
Widziadła senne; co każdą myśl waszą
Rozumié, czuje, bada, w was się wciela,
I jako dobry wioślarz wśród powodzi
Zna drogi, które wiodą do przystani—
Tak ja poznałem—obym nie znał, pani!
Ścieszki, jakiemi nędzny syn twój chodzi.

Awa (*wstając z dumą*).

Do kogo to mówisz—i jakie masz prawo
Sądzić tu, u mnie, hrabiego Kastylii?

Nuradyn (*nachylając się*).

Przypatrz się pani dobrze—mam skroń krwawą...
Hrabia jest zbójcą—ten świadek nie myli.

Awa (*drżącym głosem*).

Jak? mów!...

Nuradyn. Przed chwilą, wracając z bankietu,
Szedłem przez szyję kurytarza ciemną.
Nagle cień jakiś mignął się przedemną
I blisko piersi błysnął ostrz sztyletu...
Odbiłem cięcie. Puginał jak piłka
Zwinął się, raniąc mi skroń, co krwią broczy—
Hrabia się zbliżył, spojrzał w moje oczy
I cichym głosem wyszeptał: omyłka!

(Awa kurczowo chwyta się za poręcz i powoli siada.—Nuradyn staje za nią, opierając się o tył fotela.)

Czy myślisz, że on w swéj cichéj pokorze
Nie zna historyi twych miłosnych przygód?
Oddany cały zabawom, wśród wygód
Pańskiego życia zdrad nie kuje może?...
Pilnuj się, pani! Ten rozpustny malec
Uśpić potrafi najczujniejsze oko— —
Już mi coś szepnął mój serdeczny palec:
Ohydny spisek knuje się, wysoko
Sięga pan hrabia! Plany źle tajone
Do wiedzy mojéj doszły jeszcze wczora —
Tu pachnie mordem...

(Awa zrywa się).

Przez pierś Almanzora
Cios ma uderzyć prosto w twą koronę!

Awa. Podłość!

Nuradyn. Ohydne—potworne zamiary!

Wężowe żądło liść różany stulał— —
Drażnią go nasze rozpięte sztandary,
I święte dzieło nawrócenia króla.
Wczas zdjąłem maskę i wyszła z niéj—zdrada! — —
Syn twój żyć nie ma. Ale dla ukrycia,
Dla krwi hrabiowskiéj szacunku—wypada,
Żebyś go sama pozbawiła życia.
Świadkiem—ja tylko! i rzucim zasłonę— —
Niech żadna wieść się tych murów nie czépi—
Broń Almanzora—siebie i koronę...
Jutro—przy uczcie. Im prędzéj tém lepiéj!

(Odchodzi powolnym krokiem i zatrzymuje się w połowie sali.)
(Długie milczenie.)

Awa (*na pół przytomnie*).

Co? co? co?... Głos-że to duchów ponury
Wpadł tu przez kryte zamku kurytarze
I szepnął słowo okropne?... Ja muszę...
(Robi gwałtowny ruch naprzód).
Ha!... słyszę kroki... Posadzek marmury
Dzwonią... Tam król śpi!... idą tam—do niego— —
(Z krzykiem).
Nie zabijajcie!....
(Ogląda się).
Co ze mną się dzieje?...
Dzień biały... Cisza!...
(Trze czoło).
Przez Boga żywego,
To własne myśli moje w tym czerepie
Plączą się—krwawe sumienia złodzieje!...
Co on powiedział?

Nuradyn.

Im prędzéj—tém lepiéj!
(Awa pada. Nuradyn podchodzi. Po chwili).
Omdlała.—Szatan tajemnicze kreśli
Znaki w przeznaczeń księdze. Teraz pora
Między tłum rzucić podejrzeń upiora— — —
(Magnetyzując ją wzrokiem).
Spełń, com rozkazał—bądź sługą méj myśli!

AKT TRZECI.

(Noc. — Chata czarownicy. — Drzwi z lewéj strony prawie przy saméj ścianie, z prawéj piec piekarski, na którego wierzchu śpi duży, czarny kot; — sowa siedzi na kołku przykuta do łańcucha. Po chwili drzwi się otwierają i wchodzi z kijem w ręku GIGZA, nie stara jeszcze, lecz potworna kobiéta).

Gigza (*rozglądając się, krzyczy*).
Kiks!... Już się zaszył gdzieś szczur ten smarkaty,
I nie rozpalił ognia nawet... Kukła
Przebrzydła...
(Stawia kij w kącie).

Kiks (*ze strychu*). Gigza!... ja tutaj!

Gigza. Do chaty
Zaraz mi, jeśli nie chcesz, bym ci stłukła
Boki ożogiem. Wyłaź, mopsie, bo cię
Tém pocałuję!...
(Bierze kociubę).

Kiks (*złażąc ze strychu*). Nie całuj, matuchno—
Już dzisiaj rano był ten kij w robocie
I żebra wszystkie policzył, aż puchną
Dotąd i bolą.

Gigza (*bierze miotłę i zamiata izbę*).
Nasienie szarańcze,
Sobacze ziarno, małpy kuséj płodzie!
Ja lat czternaście o chłodzie i głodzie
Sprawuję podłe rzemiosło i tańczę
Po śmieciach ludzkich, by ciebie psi synu
Pomiędzy pany postawić, boś z gminu
Nie urósł: z prostéj dziewkiś się narodził,
Ale szlachetną masz krew—pan cię spłodził.
Cha, cha, cha,—niech mu piekło nie odmyka
Wrot do ucieczki z ognistego żaru...
Całował, pieścił z miłości nadmiaru
Przysięgał... później... Później w nos dał byka
I precz na śmiecie. Historya znajoma!
Zrazu smakuje figa, wślad oskoma
Za zęby chwyta i spluwa się w błoto.
Powiłam ciebie w konopiach, zżutemi
Ziarnkami grochu karmiłam niecnoto,
Bo piersi wyschły a ludzie téj ziemi

Do ladacznicy zwrócili się tyłem...
Głód—nędza—i ty! Więc brzydkie rzemiosło
Podsunął dyabeł. Nie było mi miłem
Zrazu... lecz późniéj... ty byłeś mi synem,
Śmierdziuchu jeden! Powodzenie rosło—
Płacono hojnie za podłe usługi
I złota wyrósł trzos jeden i drugi.

Kiks. Gigza! gdzie ono?

Gigza. Pod piecem—wiédz o tém!
Kiedyś, gdy pędem wylecę kominem
Weźmiesz je —

Kiks. I co?

Gigza. Pamiętaj być panem,
Zwodzić kobiety i wota do Rzymu
Słać każdorocznie, żeby Ojciec Święty
Miał cię w opiece, bo może uczynki
Twoje z sumieniem nie wyjdą do rymu
I niebo zamknąć zechce czart przeklęty.
Do Pana Boga wtedy upominki
Twoje przemówią. Roskosz czerpaj dzbanem,
Bo życie krótkie—a tych, którzy z potem
Czoła pracują, możesz tłuc kolanem
W tył i ustawom ludzkim iść na przebój...
Wszystko ci wolno i piekła się nie bój;
Bo niebo nawet kupisz sobie—złotem!
Pamiętaj kręglu!

(Kiks śmieje się głupowato. Gigza zamiata, po chwili opierając się na miotle).

Gdzie kot?

Kiks. A tam—zmruża
Ślepie na piecu.

Gigza. Jeść dawałeś sowie?

Kiks. Zjadła trzy figi niechaj sama powie— —

(Słychać szum wiatru).

Gigza. Wiatr dmie — drzwi przymknij! — Będzie grzmot [i burza!
Gdzie jest ropucha?

Kiks. Na moim sienniku
Spać się układła. Tłukłem ją łopatą
Lecz zejść nie chciała.

Gigza. Jak ty śmiałeś, smyku
Dotknąć Jędrusię! (*bije go miotłą*)—masz za to, masz [za to!

Przeklęty dzieciak! Hajda do roboty—
Zapalić zaraz ogień na kominie,
Drzazgi masz suche —

(Kiks rozpala ogień).

Ogień lubią grzmoty,
Może téj chaty nakoniec nie minie
Piorun. Wyprzątnąć niepotrzebne graty,
Kilimkiem nowym nakryć stół i stołek,
Na ogniu z zielskiem postawić kociołek
I ślépie zamknąć! Dziś do naszéj chaty
Pewien gość przyjdzie—oznajmił przez posła
Zaufanego.—No! ogień już gotów—
Zaczną się chorzy schodzić. Do rzemiosła
Bierz się swojego, Gigzo—i obrotów
Kuglarskich!...

(Rozkłada karty i bierze ropuchę, którą sadza na stół).

Chodź tu Jędrusia—przez karty
Zaczarowane stawiaj krok uparty
Gdy zażądają wróżbę...

Kiks. Gigza!... kroki— —

Gigza (*siada przy stole*).

Nie ona jeszcze. Za godzinę małą
Brytana spuścisz z łańcucha, niech boki
Szarpnie każdemu, ktoby chciał zuchwałą
Nogą tu stąpić. Gość oczekiwany
Sam na sam zostać musi tylko ze mną
I przez niczyje oko być widziany
Nie może.—Popraw łuczywo—za ciemno
Pali się... (*d. s.*) Ho! ho! coś się burzy, plącze—
Na rynku miejskim od ucha do ucha
Biega wieść jakaś posępna i głucha
Jak piorun, co ma uderzyć. Psy gończe
Już węszą ścierwo. Dokonać się skrycie
Zamach ma krwawy—zginąć jedno życie,
Czyje? nie wiedzą jeszcze do téj chwili:
Król Saraceński czy hrabia Kastyli?—
Gdyby mię teraz jakiś grand zapytał
O losy świata—rzuciłabym karty...
Wróżba się pełni. On wzrokby otwarty
Miał ze zdziwienia: w kabalarki czytał
Znakach to...

(Drzwi się uchylają, w których staje Dziewczyna)

Dziewczyna. Kiks! Kiks!...
Kiks. He?
Dziewczyna. Czy matuś w domu?
Gigza. Jakaś pannica albo dziéwka z miasta,
Zbyła się lub się chce pozbawić sromu— —
(Głośno).
Jestem!
Dziewczyna (*podchodząc*). Daj napój miłosny!
Gigza. Czternasta
Z rzędu z tém samém dziś do mnie żądaniem—
(Daje flaszkę).
Masz!
Dziewczyna. Czy skuteczny?
Gigza. Pięć kropel esencyi
Dasz kochankowi jutro przed śniadaniem—
Zabłyśnie gwiazda pierwsza, on się skręci
Jak wąż u twojéj piersi.
Dziewczyna (*rzuca pieniądz na stół*).
Masz denara!
(Podnosi flaszkę z podskokiem).
Oh! oh! oh!... czekaj niewdzięczny Anzelmo
Pokochasz Mildę!...
(Wybiega).
Gigza. Każda z nich ma bielmo
Na oczach, leci do światła i marzy
O niebie, aż to niebo ciche sparzy,
Piekielnie sparzy.
(Rzuca Kiksowi pieniądz).
Masz—matka się stara
Dla ciebie, bąblu!...
Kiks (*podrzuca pieniądz*). Dzen—dzen— —
Gigza. Nie zgub, gapie!
Bo pieniądz wezmę i jeszcze po łapie
Dam!...
(Kiks przysiada pod piecem. Gigza wpatruje się w okno, podnosząc się nieco).
Co to?... Gwiazda z ogonem!... źle wróży —
Błysnęła nagle na niebieskiéj szybie...
To przepowiednia wojny, krwawéj burzy,
Lub śmierci królów.
Kiks. Matuniu—ktoś dybie!
Gigza. Nie ona jeszcze— —
Głos Kryspina. Saneczku! ni kroku
Nie pójdę daléj— —

Głos Sancha. Boisz się?
Głos Kryspina. Tam żaba
Jest—ja żab żadnych nie znoszę widoku,
A cóż ropuchy? Za fagasa, draba
Weź mię—nie pójdę!
Gigza (*wstając*). Hrabia?... a to czego?
Głos Sancha. Czyżbyś ty stchórzył—zuch taki?—nie wierzę!
Głos Kryspina. Na Saraceńskich stu królów uderzę,
Zmierzyć się mogę z babą na łopacie,
Lecz przeciw żabom kroku nie postawię.
Sancho (*wchodząc*).
Jesteście, stara?
Gigza. Przybycia waszego
Dziwna zagadka! Siadajcie—co macie
Do powiedzenia?
Sancho. Tyle—co nic prawie;
Lecz, słysząc o was, że robicie cuda,
Przyszedłem, więcéj ku własnéj zabawie,
Spytać cię wróżko, czy ci się nie uda
Coś z kart wyczytać.
Gigza. Wróżba ci zbyteczna
Gdy tak z niewiary spowiadasz się szczerze—
Możesz iść, hrabio!
Sancho. Ale wierzę—wierzę!
(Zbliża się do stołu—ropucha nadyma się—Sancho cofa się).
Pfe!
Gigza (*głaszcząc ropuchę*).
Siedź, Jędrusiu—sza, siedź!
Sancho (*siadając*). Jak jéj imię?
Gigza. Jędrusia—
Sancho (*do ropuchy*). Aha! wcale się przyjemnie
Wabi, panienka—
(Ropucha nadyma się).
No—no, tylko proszę,
Tak się serdecznie nie wpatrywać we mnie,
Bo zwomituję!
Gigza. Jędrusiu—bądź grzeczna!
Sancho (*rozglądając się*).
A kot gdzie—nie ma?
Gigza. Tam—na piecu drzémie!
Sancho. Kci—kci!...
Gigza (*podnosząc się*). Co robisz? to gra niebezpieczna—

Ten kot nie wasz kot! Kiks—odemknij wrota,
Pan hrabia wyjść chce.

Sancho Bierze cię ochota
Za drzwi mię wypchnąć, a kto wie? potrosze
Wytłuc łopatą. Siedzę już jak wilcze
Małe, gdy wycie posłyszy ogarów——
Nie dmij się! Drwiny, pustota—to narów
Mój—

Gigza Waż gdzie jesteś!—

Sancho. No milczę już—milczę!

Gigza. O co mię miałeś pytać? czas ucieka— —

Sancho. Powiedz mi Pytio... ale rozłóż karty
Do dya...

Gigza. Mów—hrabio!

Sancho (*ruszając ramieniem*). A więc... Zdaje mi się,
Że ten z Maurami pokój dziś zawarty
Stałą nie świeci pogodą, lecz mgli się,
Plącze i niebo zasnuwa chmurami
Czarnemi. Zapach krwi węszę zdaleka— — —
Zbyt rozjaśnione błękity nie cieszą
Rozpoznawczego wzroku. Mgły się zwieszą,
Uderzy piorun!... Lecz może sny roję—
Chcę wiedzieć, jakie padną wróżby twoje.
Powiedz, bajarko, co jutro nas czeka?
Pytam:—czy żadna nie wisi nad nami
Klęska?... to chciałem...

Gigza (*bierze go za rękę i prowadzi ku oknu*).
Patrz!

Sancho (*poważnie*). Gwiazda z ogonem!
Kiedyż to ona zabłysła na niebie?

Gigza. Dziś—

Sancho Co ma wróżyć?

Gigza. Nie wiesz?

Sancho. Pytam ciebie— —
A!

Gigza. A—!

Sancho Gadają ludzie, że przed zgonem
Królów się zjawia—

Gigza. Więc gdzie są oznaki
Pokoju? W gniazdach swoich nie śpią ptaki
Ale w noc cichą zrywają się społem
I kracząc, lecą długiém, czarném kołem

Na pola puste. Mówią, że cmentarze
Dzwonią umarłych głosem; blade twarze
Hrabiów kastylskich w rodowych kaplicach
Wyjrzały z trumien; w kilku błyskawicach
Dojrzano miecze krwawe, pełne grozy—
Padły na nasze, czy Maurów obozy,
Ja nie wiem! W skrzydło nietoperze biją
Jak dzwony—krzyczą puszczyki—psy wyją,
Dzisiaj... ta gwiazda!

Sancho. Ta gwiazda na niebie—

Gigza. Wojna!

Sancho (*szybko*). Masz złoto!... Wróżko—żegnam ciebie.

(Wychodzi prędko).

Gigza (*biorąc rzucone pieniądze*).
Ha—ha!... du-ka-ty!... W moc czarów uwierzył
I rad był.—

(Rzuca złoto Kiksowi).

Pod piec schowaj zmokły bobrze!...
Gorący młodzik! wiedziałam ja dobrze,
Na jakiéj dudce zagrać... Ktoś uderzył
W drzwi— —

Kiks (*patrząc przez otwór*). Dama jakaś—

Gigza (*wstając*). Idź! spuść psa z łań-
[cucha—

(Kiks idzie ku drzwiom).

Nie tędy, fajdo! strychem!—Przed wrotami
Stań i żywego nie puszczaj mi ducha,
Ktoby się wedrzéć chciał siłą—szczuj psami!
To gość ostatni.

(Kiks wyłazi przez strych—Gigza siada w fotelu.—Wchodzi Awa drżąca i blada).

Awa (*wstrzymując się—d. s.*) Ja tutaj!... i czego?
Przyszłam po kroplę trucizny dla syna...
Nie!... jéj nie wezmę... To coś okropnego
Myśl sama o tém! Wrócę się— —

Gigza (*wstając*). Hrabina—

Awa. Ja—tak, ja!... (*d. s.*). Chciałabym dziś nie być sobą—
Wrócę.—Nie sposób!... ale ja pół słowa
Nie szepnę—(*z mocą*)—rzekłam: tak!... Jużem gotowa
Była do zbrodni... A!—lżéj mi— —

Gigza (*podchodząc*). Co z tobą
Pani!

Awa (*przychodząc do siebie*).

Nic—o nic!—Raz pierwszy w noc ciemną
Wyszłam tak bardzo daleko od siebie
Sama—nie chciałam, żeby kto szedł ze mną...
Szum wiatru trwożył mnie i ta na niebie
Gwiazda— —

Gigza.

Ta gwiazda cicha, jasno-płowa,
Głuchem milczeniem swojém więcéj gada,
Niż wszystkie wróżby.

Awa (*usiadłszy—d.s.*)

Nie powiem pół słowa
Z czém przyszłam (*gł.*)—Słyszysz?!

Gigza.

To, pani, deszcz [pada
I wiatr o skalne ociera się zręby
Z głuchém jęczeniem—

Awa.

Brrr!...

Gigza.

Dzwonią ci zęby— —

Awa.

Zimno mi— —

Gigza (*biorąc okrycie—d. s.*)

Chciałabym jéj myśl odgadnąć—
To coś jest!... Ona—hrabina—tu, u mnie?
Czyste sumienia patrzą nieco dumniéj,
Nie pozwalają twarzom ludzkim bladnąć
Tak bardzo. (*gł.*)—Pani! okryj swoje nogi
Choć tém... Nie dziwno, że trzęsie cię febra...
Słomę na dachu rozrzucił wichr srogi,
Przez ściany włazi i szczypie za żebra—
Nędza!

Awa.

Nic tobie nie przynoszą rady,
Które udzielasz?

Gigza.

Et! licha znachorka
Ze mnie. Czasami grosz wpadnie do worka
Za wróżbę jaką—ot!

Awa.

A trucizn... jady—
Masz... mówią— — —

Gigza (*wpatruje się w jéj twarz—po chwili*).

Pani! ty coś chcesz odemnie!—

(Awa milczy. Gigza bierze flaszkę i podaje).

To pokrzyk——straszna trucizna!...

(Awa ujmuje podany przedmiot, patrząc przed siebie martwemi oczyma, ściska flaszkę konwulsyjnie, nagle rzuca na ziemię).

Awa (*podnosząc się*). Precz! na co
Ty mi podałaś to?... Czy wyszło ze mnie
Coś... coś strasznego?—Niech inni ci płacą
Złotem i z rąk twych ohydną śmierć łudzą
Z przymarzłym, zimnym na ustach uśmiechem,
Nie ja! Kto tobie dał prawo być echem
Milczących wołań? zgadywać myśl cudzą?—
Czy jesteś sumień zgnębionych probierzem
I nie wezwana pełnisz drugą wolę?...
Ja ci zapłacić mogę, lecz pręgierzem
I rozpalonėm żelazem na czole!
Czy ja mam tutaj coś, jak zbrodzień z galer
Zbiegły, że możesz iść i deptać po mnie,
Pluć w twarz?...
Gigza (*ponuro*), Hrabino! z czémżeś przyszła do.. mnie?
Awa (*opuszczając ręce*)
Z czém...
(Slada wpółbezwładnie).
Gigza (*d. s.*) Wiatr powionął—osypał się szpaler
Pomarańczowych kwiatów.
Awa. Czy mówiłam
Co?
Gigza. Ty nic pani—nic! to ja mówiłam—
Pytałam z czém ty dzisiaj do mnie przyszła?
Awa. A tak!... Chodź—siadaj! zapomnij, co było...
Gdy pomyślałaś źle o mnie, to wyłam
Tę myśl!... Coś mi się dziś strasznego śniło,
Miałam goraczkę... Siadaj! już mi lepiéj!— —
Czoło mam zimne, burza myśli wyszła
I zostawiła tylko ślad głęboki...
Echo piorunem drży, ale obłoki
Już czyste... Ja—tak! po proroctwom przyszła.
Mówią, że znasz się na gwiazdach, co nocną
Godziną biegną po niebieskim sklepie;
Że czasem ciebie wiatr na barki chwyta
I lecisz—wtedy bije piorun burzy
I czasem ziemia zatrzęsie się mocno.
Ja przyszłam ciebie spytać... tak! co wróży
Ta straszna gwiazda z ogonem na niebie?
Gigza. O tę chwościarkę drugi dziś mię pyta— —
Awa. Drugi—kto drugi?
Gigza. Twój syn—

Awa (*podnosząc głowę*). Był u ciebie?
Gigza. Ale mu wróżby na nic—na tém zna się
Lepiéj odemnie. Przepowiednie krwawe
Snuje i mówi, że się spełnią w czasie.
Awa. Krwawe proroctwa!
Gigza. Przez źrenice łzawe
Nie patrzał—oko mu się nie mrużyło
Na ten znak groźny.
Awa (*d. s.*). Więc prawdąby było,
Że on... Co daléj!
Gigza. Dokładniéj odemnie
Umiał zapuszczać wzrok w wyroków ciemnie,
I sam wydawał się wyrocznią drugą,
Która przeczuwa pierwéj nim zobaczy,
A późniéj oko szeroko roztula
I widzi rzeczy przyszłe. Patrzał długo
Na niebo—gdym go spytała: co znaczy
Ta gwiazda dziwna?—Powiedział: śmierć króla!
Awa (*zrywając się*).
Piekło!
Gigza (*wstaje*). Co tobie? pobladłaś jak chusta—
Trzęsiesz się... Siadaj!... chwiejne stawiasz kroki
I nurzasz myśli w opętanych szale!
Awa. Niechaj się pełnią przeznaczeń wyroki!
Milczało serce, teraz mówcie usta
Słowami gromu! Pod suchą powieką
Łzy już nie staną, niemi nie przepalę
Piersi wzburzonéj—rzucona daleko
Myśl... wrócić musi!....
(Zrywa pas z siebie).
Weź ten pas!— jak żmija
Dławi mi piersi i zostawia blizny
Na białém ciele... Ja nie chciałam—ale...
Stało się!... daj... daj...
Gigza. Co ty chcesz?
Awa (*z wysiłkiem*). Trucizny!
Ha!...
Gigza. Pomyśl—pomyśl—
Awa. Skończyłam z sumieniem!
Wiédz... tak! trucizny chciałam, co zabija
Szybciéj niż piorun!
Gigza (*podając*). Masz!

Awa (*chowając w zanadrze*). Teraz milczeniem
Stań się ty—słyszysz? i skamieniéj w duchu
I nie bądź do siejb złych plotek pochopna.
Stało się!.. kiedyś do twojego słuchu
Doleci może jakaś wieść okropna —
To pomyśl o téj, co w szale boleści
Wiła się tutaj, godna czci... bez cześci!

(Wybiega.—Gigza patrzy na nią ponurym wzrokiem—słychać przeciągły grzmot).

Gigza. Zagrzmiało strasznie!.. Czy niebo się zlękło
Myśli téj bladéj kobiety i jękło
Gromem ogromnym, że lodowe dreszcze
Mnie przeszły?.. Jeszcze grzmi!.. jeszcze grzmi!.. jesz-
[cze!—

ZMIANA.

Sala biesiadna. Stół postawiony w podkowę—naczynia złote, kielichy w koło. Awa stoi oparta o róg stołu, trzymając w opuszczonéj ręce puhar duży, większy od innych—koło niéj na stole dzban. Długie milczenie.

Awa (*opuszczając kielich na ziemię*).
Nie mogę... sił mi braknie!.. Czuję w sobie
Spór dwojga istot, dwa sumienia w walce — — —
Miałam rzecz straszną popełnić w téj dobie,
Rzecz straszną!.. Taki grzech nigdy nie skalał
Kobiety żadnéj... Brrr!.. sine mam palce—
Płyn czarny białą dłoń moją powalał
I świeci plamą może już nie zmytą...
Co ze mną stało się dziś?.. Awo!.. ty to?..
Czy własna twoja świadomość nie kłamie
Pojęcia siebie?.. Dzisiaj... dzień biesiady — —
I mego syna ma runąć—trup blady — — —
Taka ohydna zbrodnia! taka plama!..
(Milczy).
Przed chwilą tu był—ujął mnie pod ramię
I rzekł: puhary nalej matko sama—
Niechaj czerwone wino się potoczy
Szeroką strugą!..
(Rozszerza oczy).
Dla czego czerwone? — —
Szkoda, że ja mu nie spojrzałam w oczy
Myśli bym jego odgadła tajone...
Czerwone wino—nie krew to czerwona?..
(Z mocą).

I ja się waham i z sumieniem łamię,
Będąc o strasznéj zbrodni uprzedzona;
Gdy tu zagraża życiu Almanzora
Każda godzina i dojrzéwa skrycie
Zamach występny?.. nie!..
(Porywa opuszczony kielich).
Życie za życie!
Niech się raz stanie, bo gdy minie pora
Żałować będę!..
(Podchodzi do stołu, bierze dzban i naléwa wino).
Płyń czerwona strugo!
Wypełń po brzegi kielich godowniczy — —
(Stawia puchar na stole).
Stało się!.. Teraz—może sen na długo
Spędziłam z oczu... Ten znak tajemniczy,
Co wczora błysnął kometą na niebie,
Do stanowczego przynaglił mię kroku...
O Przeznaczenie!.. uprzedziłam ciebie.
Wykonawczyni strasznego wyroku!
Minie dzień jeden—i drugi—i trzeci,
Pokryje wszystko fala zapomnienia — —
Może bezdenny tylko głos sumienia
Tłumioną iskrę pamięci roznieci
I szeptać będzie o téj strasznéj chwili
Dnia dzisiejszego...
(Uderza dzwon trzy razy).
Zabrzmiał dzwon zamkowy—
Śpieszą do uczty... Pij, hrabio Kastyli
Czerwone wino—twój puhar gotowy!..
(Wchodzi Inez).
A! mdło mi... Inez—daj rękę!..

Inez (*podbiegając*). Co pani?..

Awa. Nie! jakiś dziwny miałam zawrót głowy.

Inez. Pośpiesz, hrabino! za chwilę wezwani
Współbiesiadnicy przestąpią próg sali — —
Cały dziedziniec od kopyt łoskotu
Dudni, by echem przeciągłego grzmotu,
Gdy szybki piorun złotą iskrę spali.

Awa (*zatrzymując się*).
O jakim mówisz piorunie?

Inez. Czy może
Złe porównanie? taki huk na dworze

Jak w czasie burzy... Śpiesz pani! Podwoje
Sali rozwarto. Nasz mistrz ceremoni
Złotą buławą o marmury dzwoni — —
Śpiesz się, hrabino! weź diadem—zmień stroje!

(Wyprowadza Awę.—Bocznemi drzwiami wchodzi po chwili Luc.)

Luc (*sam, idąc powoli*).

Jako dowódzca zamkowéj załogi,
Pomimo pytań panów i zdziwienia,
Wydałem wojskom rozkaz: broń do nogi
I—baczność!—Tchórzem nie jestem podszyty,
Ale wieść krąży dziwna w murach miasta— —
Zkąd ona? domysł próżny! lecz z kamienia
Nie wyszła. Każdy dzieciak, dziad, niewiasta
Szepce o zbrodni. Jakiś zamach skryty
Ma się dokonać—imię Almanzora
Miesza się... Wieść ta biega już od wczora.— —
Fałsz to czy prawda, lecz oko otworzę
Jak mozajkowa Opatrzność na ścianie
Katedry. Krzyknę—sto mieczów wnet stanie — —
Nie cierpię Maurów!

(Słychać kroki i brzęk buławy).

Idą!—Miejsce moje
Przy boku hrabi—o niego się boję!—

(Staje za krzesłem Sancha).

(Wchodzi Mistrz Ceremonii w purpurze, ze złotą buławą w ręku, przejęty swoją godnością. Za nim Almanzor, koło niego Sancho-Garcia—dalej: król Sancho-Abarca lat 50-ciu, Alfons V, Nuradyn, Gonzales, hrabia Urgelu, hrabia Barcelony, panowie z orszaku królów chrześciańskich i Almanzora).

Sancho (*do Almanzora przestępując próg*).

Dostojny władco Maurów, Almanzorze,
Zechciéj przestąpić téj komnaty progi —
Za tobą dąży poczet królów mnogi,
Książąt i hrabiów i panów téj ziemi
Ze swém rycerstwem, z orszakami swemi,
Których podbiłeś nie siłą oręża
Ani groźnemi swych wojsk zastępami:
Witamy w tobie szlachetnego męża,
Dawcę pokoju—wejdź i usiądź z nami!

Almanzor. Dzień ten pamiętny i dla mnie zostanie — —
Mam prawo sądzić, że świętość przymierza
Zdołasz dotrzymać i ty, młody panie!

Rycerskie serce w piersi ci uderza—
Wiem to i cenię.—
Ty, królu Nawarry,
Nie będziesz na mnie więcéj rozżalony.——
A i ty, mężny hrabio Barcelony,
Możesz z rozwalin dźwignąć gród swój stary...
Ja pierwszy z pochew nie wyjmę pałasza—
By tak się stało w tém przezorność wasza
I wasza wola.

Sancho-Abarca. Twoja wola raczéj—
Myśmy dążyli i doszli do celu
Upragnionego.

Hr. Urgelu. Moje orle gniazdo
Odpocznie równie.

Almanzor. Znam wasz gród na skale—
Piękny, gdy nocą błyśnie ogniów gwiazdą
Na gór ramionach.

Sancho-Abarca (*d. s.*) O! hrabio Urgelu,
Teraz ja z tobą zagadam inaczéj—
Rachunki mamy!

Hr. Urgelu. Jak potok się zwalę
Z drużyną moją rycerską na ciebie,
Nawarski królu! Braknie w moim chlebie
Zboża z twych łanów.

Król Alfons (*do Almanzora*). I królestwo moje
Żąda spoczynku po niedawnéj burzy.
Pełnych lat nie mam lecz znam już, co boje—
Walczyłem z tobą a to mi posłuży
Za znak rycerski. Dzisiaj w waszém kole
Chętnie do zgody swoję dłoń podaję—
Święć się, pokoju!

Hr. Barcelony (*d. s.*) Jeśli ja pozwolę—
Ziemi małego skrawka mi nie staje,
Dać mi go musisz!

Almanzor (*do Alfonsa*) Znam cię, książe młody!
Walczyłeś mężnie na murach Leonu—
I ciebie, stary wodzu, Gonzalesie,
Młodego króla opiekunie dobry!
Więcéj już rumak ciebie nie uniesie
W szeregi nasze, odpocznie miecz chrobry
Stępiony w walce na murach Leonu.

Gonzales (*ponuro*).
Których już niéma!

Almanzor. Czas naprawi szkody,
Cierpliwość tylko postaw u stóp tronu
I straż rozsądku. Krew walecznych cenię,
Lecz dotrwaj w słowie—bo, pomnij, mój panie,
Że gdzie Almanzor swoją stopą stanie,
Tam tylko może panować—wspomnienie!

Nuradyn (*d. s.*) Za pyszne słowa! ja porządek zmienię...
Zostawię tylko we wspomnieniu świata
Zbladłe twe imię, pyszny potentacie!
Pierzchnie twa sława jak dym, co ulata
Z kadzielnic złotych; jak cień, co na murze
Niknie, gdy słońce twarz ukryje w chmurze — —
Na miejscu twojém w purpurowéj szacie
Kto inny stanie, moc twoję przełamie
Pokorne jeszcze ale silne ramię.
Nie spałem.—Wyszły krwawéj wieści posły
I woń rozniosły mordu. Zamiar lisi
Udał się... Groźny miecz nad tobą wisi—
Burgos uwierzył—mnie skrzydła urosły!

Sancho. Czas zacząć ucztę!.. Mistrzu ceremoni
Na znane miejsca rozsadź godowników.

(Mistrz ceremonii daje znak Almanzorowi, następnie innym gościom i rozsadza biesiadników. Sancho podchodzi do Luca).

Cieszysz się Lucu?

Luc. Że już nie zadzwoni
Hiszpańska szabla? że o słuchy nasze
Pieśń nie uderzy bojowych okrzyków
I rdza zielona powlecze pałasze?..
Gdyby to trwały pokój był! Lecz wiem ja,
Że jakaś nędzna zdrada tu się kryje—
Mniéj straszny piorun, co błyska i bije,
Niż huk powolny wulkanu z podziemia.

Sancho. Nie wstyd ci, stary, wierzyć płochéj baśni.
Którą wytworzył lud głupi i ciemny?
Wiem, że szept jakiś popłynął tajemny—
Lecz bądź spokojny—prędko się wyjaśni
Zagadka strachu.

Luc. Byle w upominku.
Po grzbiecie nie wziąć!

Sancho (*d. s.*) To Kryspin niecnota
Musiał rozpuścić wieść o pojedynku
Dziwnym, zaiste!

Luc. Ja, hrabio, otwarcie
Powiem ci: trzymam rękę u brzeszczota
I straż wzmocniłem przy zamkowéj warcie.

Sancho (*uderza go po ramieniu*).
Czépek dać tobie!

Luc. Takich wieści, hrabio,
Gmin bez podstawy pewnéj nie wytwarza;—
Może być źródło mętne—to się zdarza,
Lecz wasze żarty wcale nie osłabią
Podejrzeń moich. Wolę w każdym razie,
Zło przywidując, trzymać miecz dobyty:
Niech cios na czujném oprze się żelazie
I w samę porę zostanie odbity.
Za złe mi nie bierz!

Sancho. A no—wola twoja,
Wypatruj chmury na pogodném niebie.

Mistrz Ceremonii. Miejsca zajęte—czekają na ciebie,
Hrabio.

Sancho. Chodź Lucu!
(Zbliża się do stołu i staje).
Gdzież jest matka moja?
Bez niéj, panowie, nie zaczniem biesiady—
Przymierza święto z jéj to wyszło dłoni — —
Puhar o puhar bez niéj nie zadzwoni
Ni win cypryjskich popłyną kaskady...
Proś matkę moję, mistrzu ceremoni!

Mistrz Ceremonii. Pani hrabina oznajmić kazała,
Że uczty dzisiaj nie podzieli społem — —

Nuradyn (*wstając*).
A!

Sancho. Co to znaczy? Dwa miejsca za stołem
Próżne zostaną: moje i jéj!

Nuradyn (*d. s.*). Strzała
Dobiega kresu! — —

Sancho. Panowie! czy chcecie
Zaczynać bez niéj?

Almanzor (*do Mistrza ceremonii*).
Niech waćpan uprzejmie
Poselstwa w mém się imieniu podejmie,
Bo pozostanie puste miejsce trzecie.

(Wstaje—wszyscy za nim. Mistrz ceremonii poważnym krokiem wychodzi. Długa chwila milczenia. Mistrz ceremonii wraca).

Mistrz Ceremonii (*stając w drzwiach*).
Hrabina!
(Usuwa się na bok. Wchodzi Awa krokiem chwiejnym, za nią kilka dam ze świty).
Awa. Jestem... pośpieszam wezwana—
Rozkaz twój, królu, przybiegł wichrem do mnie
I rozprostował ugięte kolana
Przed Bogiem moim!
(Do zbliżającego się Sancha).
Prowadź!
Sancho (*prowadząc ją do stołu*). Tu—koło mnie
Twe miejsce, matko!
Almanzor. Dla czego, hrabino—
Przyszłaś dopiéro na nasze wezwanie?
Awa. O!.. Almanzorze!
(Siada między nim a synem, który stoi).
Luc (*nagle*). Kto nalewał wino?
Awa. Ja!. Jakie straszne rzuciłeś pytanie! — —
Luc. Straszne? dla czego?
Sancho. Lucu! czyś oszalał?
Złéj wieści dałeś posłuch nie roztropnie—
Kto bądź lał wino, trucizny nie nalał,
Mając zły zamiar, zamiaru nie dopnie.
Czy ci nieznane są zwyczaje nasze,
Że dłoń niewieścia rozléwa napoje?
Ręka méj matki napełniała czasze,
Z czystego dzbana złote lała zdroje.
Siądźcie, panowie! Nalane do koła
Stoją puhary win słodkich jak miody.—
Wznieśmy chwilowo zasępione czoła,
Uderzmy w rozgwar biesiadnéj swobody!
Drugiéj nam takiéj nie doczekać chwili,
W któréj się łączą odwieczni wrogowie
W uścisku bratnim — —
Nuradyn (*wstając*). Pij, hrabio Kastyli—
Dźwięcznym toastem każdy ci odpowie.
Sancho. W górę kielichy!
Almanzor. Czyj toast wznieść mamy?
Sancho. Pytasz? więc dajesz mi prawo wyboru—
Chce ceremoniał kastylskiego dworu,
Żeby pierwszeństwo zawsze miały damy.
Tutaj zaś, królu, widzisz w naszém gronie
Tę, z dłoni któréj kraj dziś pokój przyjmie—

Z puharem pełnym ja zwracam się do niéj,
Drżącemi usty wymawiam jéj imię.
Z świętém uczuciem, po nad brzeg wezbraném,
Dostojni goście w waszém kole stoję—
I—tym praojców złotym roztruchanem,
Królowo—matko! piję zdrowie twoje!

(Pochyla kielich do ust, Awa podnosi się gwałtownie).

Awa. Stój! .

(Chwieje się oparta dłońmi o stół).

Sancho. A co tobie?... masz oczy zasnute
Mgłą jakąś...

(Awa drży, patrząc nieprzytomnie przed siebie—Sancho stawia kielich. Z najwyższą trwogą).

Ona obłąkana... Boże! !

Awa (*bierze powoli postawiony puchar*).
Dla mnie... to wino!..

(Wypija).

Sancho. To... wino?!..

Awa. Zatrute...
Więcéj nie pytaj... Przebacz—Almanzorze!

(Pada z jękiem krótkim, wszyscy zrywają się z ław).

Gonzales. Zdrada!

Luc (*dobywając miecza*). Śmierć Mauron!

Nuradyn (*przypadając do swoich*). Z pochew puginały!

(Broń wyjęta, c ekają hasła Król Alfons z dobytym mieczem podchodzi do Almanzora).

Król Alfons. Dostojny gościu! więc zaczynasz zdradą?..
Niech się więc miecze na mieczach pokładą,
Ujrzę czy jesteś w pojedynku śmiały
Bez wojsk swych liku ty, który na wstępie
Pośród nas stajesz jak widmo złowieszcze — —

(Rzuca się z furyą).

Wyjdź! bo przebiję—!

Almanzor (*odbijając potężnie raz*). Hola! młody sępie—
Nie tobie z orłem potykać się jeszcze!

Luc. Za mną! hiszpański miecz łatwo przewierci
Arabskie żebra i serca dostanie!—

(Rycerstwo dwóch obozów uderza na siebie. Sancho wpada między walczących).

Sancho. Do pochew miecze! gdzie uszanowanie
Walczyć przed wielkim majestatem śmierci?

(Walka ustaje.—Sancho do Almanzora).

Pogański królu! już zdawna wieść głucha
O krwawéj zbrodni w tych murach się lęgła..,
Dziś—tajemnica jak grom, co wybucha,

Twarz swą odkryła i wyszła z za węgła
Na światło dzienne. Grot celu nie doszedł,
O moją pierś się otarł i tam poszedł!...
Nie chciałem wierzyć mimo ostrzeżenie
Wiernych sług moich i proroctw tajemnych—
Dziś—wiem o wszystkiém!... Na dym i płomienie!
Potworna zbrodnia wypełzła z nor ciemnych
I zostawiła tutaj znak widomy
Krwawego przejścia. Opętany szałem
Mógłbym pierś twoję rozpruć puginałem
I mieczów tysiąc zamienić na gromy,
By w twarz ci trzasły, i wynieść dwie trumny,
I twoję rzucić na urągowisko
Zaciekłym tłumom—lecz jestem za dumny
W pierś niepancerną uderzać; tak nisko
Nie mnie się chylić!...
(Ciska rękawicę pod nogi Almanzora).
Rzucam ci wyzwanie!
Bezpieczny możesz owych sal przejść progi
Ale nim słońce raz trzeci powstanie
Stolicę twoją zbudzi krzyk pożogi
I groza wojny!

Almanzor
Dość tych słów obrazy—
Ciężką obelgę odrzucam ci w czy!
Kto bądź tu winien—ja, jestem bez zmazy!...
Wiédz, że nie chciałem, lecz krew się potoczy
Szeroką strugą. Nie jest mi wiadomy
Występek, który ubielił nam twarze...
Chciałem pokoju, ty zbudziłeś gromy
Plunięciem w twarz mi. Téj plamy nic zmaże
Nic—krom krwi tylko!
(Do Nuradyna).
Podaj rękawicę!—

Nuradyn (*z dziką radością*).
Wojna!

Sancho, Alfons i **Abarca**. Toż—wojna!

Almanzor.
I ja z nią nie zwlokę—
Lecz zamiast koni miejcie błyskawicę,
Zamiast twierdz waszych—z granitów opokę!
Jako szarańcza, co leci za morza,
Niepowstrzymanym, nieprzerwanym lotem,
Na któréj skrzydłach napis: kara boża!

Trwoży świat więcéj, niż piorun swym grzmotem, —
Pójdą wojsk moich krociowe zastępy
Przez rzek łożyska i waszych pól łany—
A kędy przejdą, ciał waszych kurhany
Wyrzuci ziemia za niemi, miast strzępy
Kamienne w dzikie porosną powoje!—
I lata miną! Po wiekowych dobach
Spróchnieją kości wasze w cichych grobach,
Lecz dzieci wasze będzie imie moje
Po nocach budzić!—Chciałeś—krew pociecze!
Teraz mojemi nie wzgardźcie radami:
Żołnierzom każcie wziąć podwójne miecze
I podwójnemi okryć pierś tarczami.
Za mną—kto Maurem!

(Wychodzi—Nuradyn i Maurowie za nim).

Sancho. Ruszaj na zagładę!...
Gwiazdo! co wczora zabłysłaś na niebie,
Straszny kometo—w tém okropném dziele
Zniszczenia, wojny, krwi—poznaję ciebie!

(Do książąt).

Synowie ziemi téj, swych krzywd mściciele!

(Kładzie dłoń na czoło matki).

Zaprzysięgnijcie na to czoło blade—

(Dobywa miecz).

Na ten miecz złóżcie przysięgę wraz ze mną,
Że bratobójczéj zaniechacie wojny,
Która nam hańbę i niewolę daje—
Że każdy stanie jak jeden mąż zbrojny
Do walki krwawéj!—Wiem, przyszłość jest ciemną
I wróg potężny przeciwko nam staje...
Lecz gdy połączym rozstrzelone siły,
Rozpalim serca miłością ojczyzny,
Za każdą bliznę oddamy dwie blizny,
Nieulękłego porazimy wroga,
A jeśli padniem—wielkością mogiły
Zbudzimy gromy milczącego Boga!

Król Alfons (*uderzając mieczem o miecz Sancha*).
Ja miecz swój rzucam na twój miecz—

Sancho-Abarca. Ja równie—

(Zwraca się).

Hrabio Urgelu, podaj mi dłoń zgody!

Hr. Urgelu. Dłoń masz—i miecz mój!...

Król Alfons (*do hr. Barcelony*). A ty?

Hr. Barcelony. Gaszę głownię

Zawiści wstrętnej. Oto, królu młody,

Przysięga miecza!

(Wszyscy rzucają miecze na miecz Sancha),

Sancho. Niechaj dzwon z wieżycy

Oznajmi miastu o królewskim skonie.

(Luc wychodzi—Sancho, patrząc na Awę).

O matko moja! ja część tajemnicy

Twojego serca odgadłem.

Sancho-Abarca. Na konie!

Przed nami staje mąż bezpowiekowy,

Który swe imię krwią zapisał światu—

Hrabio Kastylii, żegnam cię!

Sancho (*podając rękę*). Bądź zdrowy!

Abarca i Alfons. Gdzie się spotkamy?

Sancho. Na polach Calatu!—

(Wychodzą wszyscy prócz hr. Kastylii. Uderzają dzwony żałobnie, jak po umarłych. Sancho drżąc łkaniem, rzuca się do stóp Awy).

(*D. n.*) *Kazimierz Gliński*





O NAJNOWSZYCH PRÓBACH KLASYFIKACYI NAUK.

(*Dühring*, *Wundt, Masaryk i inni*).

Znakomity postęp nauk doświadczalnych w ciągu bieżącego stulecia wytworzył specyalizacyą, jakiéj nie znano za czasów dawnych. Już nie tylko oddzielne nauki, ale ich działy i pojedyncze nawet pytania mają swych specyalistów, którzy skrzętnie gromadząc wciąż nowy materyał, powiększają rosnący niepomiernie zapas spostrzeżeń, twierdzeń, hypotez i teoryi. Specyalizacya taka, o ile z jednéj strony wzbogaca dziedzinę poznania, o tyle z drugiéj utrudnia wzajemne porozumiewanie się już nietylko pomiędzy pracującymi w różnych naukach, ale i pomiędzy badaczami w téj saméj gałęzi wiedzy. Jeżeli to ostatnie zdanie było już prawdziwém dla Comte'a, który wygłosił je na jednéj ze swych lekcyi, to prawdziwość jego odczuwamy daleko silniéj dziś, wśród zastraszającego ogromu badań naukowych, wpływających codziennie do skarbnicy wiedzy.

Nad sposobami zaradzenia wynikającéj stąd niedogodności myślano wielokrotnie i filozofii oddawna przyznawano rolę łącznika pomiędzy różnemi działami wiedzy. Zwłaszcza filozofia pozytywna Comte'a miała zadanie to spełnić w całéj rozciągłości. Ale i przed Comtem filozofia poczuwała się zawsze do tego obowiązku i czyniła mu zadość, co prawda, nie zawsze z należytém powodzeniem. Głównie bowiem przeważał pogląd, że filozofia, jako podstawa wszystkich umiejętności, poprzedza je i podaje im gotowe pojęcia i prawdy zasadnicze. Nowoczesny rozwój nauk, w znacznym stopniu od filozofii niezależny, wykazał bezskuteczność podobnych usług i dziś stosunek filozofii do innych nauk rozumieć należy zupełnie odwrotnie: najprzód idą nauki specyalne, po nich zaś dopiero filozofia, zbudowana na podstawie metod i wyników teoryi nau-

kowych. To też dziś filozofia wchodzi w ściślejszy, niż kiedykolwiek, związek z pojedyńczemi umiejętnościami i stosunek swój do nich coraz bardziéj ustala. Nie zrzekając się bezwzględnie, jak Comte, wysokich swych dążeń do wytworzenia jednolitego poglądu na wszechświat, odpowiadającego potrzebom umysłowym i etycznym człowieka, filozofia nowoczesna usiłuje przeważnie stać się nauką wiedzy w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu. Badanie źródeł naszego poznania i podstaw zasadniczych każdéj nauki, wyśledzenie związku pomiędzy prawdami, teoryami i metodami nauk, rozwój ducha ludzkiego w jego różnorodnych przejawach, indywidualnym, społecznym i transcendentalnym—oto szereg zagadnień filozoficznych. Każde z tych zagadnień ma stronę, że tak powiem, historyczną, która należy do zakresu nauk szczególnych, i stronę należącą do dziedziny filozofii, która ją bada z ogólnego stanowiska całości objawów przyrody i ducha ludzkiego. Tym sposobem, postęp filozofii jest ściśle zależny od postępu nauk, z drugiéj zaś strony, przy takim związku nauk i filozofii, doskonalenie téj ostatniéj nie może pozostać bez wpływu na rozwój poszczególnych umiejętności.

Z powyższego pojęcia filozofii wynika, że klasyfikacya wiedzy, tj. utworzenie układu wszystkich nauk według pewnego planu, stanowi jedno z jéj zadań. Racyonalna klasyfikacya powinna: 1) odpowiadać danemu stanowi i rozwojowi nauk; 2) opiérać się na ścisłém zbadaniu zadania, metod i teoryi każdéj poszczególnéj umiejętności; 3) uwzględniać stosunek każdéj nauki do innych nauk bliższych i dalszych; 4) nie pomijać żadnego z ważniejszych kierunków pracy teoretycznéj, 5) wskazywać jasno drogę od każdego ogólniejszego działu nauk do jego rozgałęzień.

Uczynienie zadość tym warunkom, ze względu na różnorodność przedmiotów badania oraz metod i dróg dochodzenia prawdy, nie jest rzeczą łatwą, i dlatego każda klasyfikacya, mimo głębokość i rozległość wiedzy jéj twórcy, nosi zawsze na sobie piętno subiektywnego stanowiska. Bądź-co-bądź, twórca klasyfikacyi powinien być w pewnéj mierze wszechstronnym znawcą wiedzy ludzkiéj; wszechstronności téj wszakże nie należy rozumiéć w ten sposób, by w każdéj gałęzi nauk był on specyalistą. Jeżeli zjawisko podobne było możliwe w czasach dawnych, to dziś, przy niezmiernym rozroście wiedzy, jest ono bardzo mało prawdopodobne; konieczną jest jednak rzeczą by filozof, podejmujący zadanie klasyfikacyi nauk, posiadał gruntowną znajomość ducha metod naukowych, a zwłaszcza metod umiejętności ścisłych, bez czego nie może być mowy o donioślejszém działaniu w dziedzinie ogólnéj teoryi wiedzy. Jak dawniéj,

nikt, nieobeznany z geometryą, nie miał wstępu do akademii Platona, tak dziś badacz, nie znający podstaw i zasad wiedzy matematyczno-przyrodniczéj, nie może rościć prawa do tytułu filozofa.

Do każdéj klasyfikacyi należą zwykle tablice, szeregujące pojedyńcze gałęzie umiejętności, ich działy i t. p. Jest to unaocznienie planu, według którego dana klasyfikacya pojmuje związek umiejętności. Tablic takich nie należy wszakże utożsamiać z samą klasyfikacyą, wymagającą wyrozumowanych wyjaśnień, dotyczących zasadniczych związków, podobieństw i różnic. Tablica może uwidocznić pewną część związków, o które nam idzie, ale nie uwidocznia wszystkich, i dlatego żadne zobrazowanie systemu wiedzy ludzkiéj nie może być wolne od zarzutu, że pomija różne strony wzajemnego stosunku nauk.

Klasyfikacya wiedzy ludzkiéj ma szczególny interes dla tych umysłów, które nie zadawalniając się zasobem wiedzy nabytéj w jednéj lub w kilku dziedzinach nauk, pragną go odnieść do całości wiedzy ludzkiéj i dojść wogóle do racyonalnego poglądu na całość zagadnień, przedstawiających się badawczemu umysłowi. Porównanie klasyfikacyi z rozmaitych epok rozwoju wiedzy posłużyć może do scharakteryzowania zmian w poglądach zasadniczych na stosunek wzajemny nauk. O bezpośrednim wpływie saméj klasyfiacyi na postęp nauk, mówić trudno; bo chociaż dzieje tychże wykazują przykłady, że klasyfikacya, zdając niejako sprawę ze stanu umiejętności, wskazywała na nowe potrzeby i na nowe drogi myśli, których wyrazem miały być nowe nauki, (jak to np. było z cynematyką u Kanta i Ampère'a), to jednakże zjawisko takie było zazwyczaj równocześnie wynikiem potrzeby, odczuwanéj przez specyalistów, zajmujących się danym przedmiotem (jak Carnot i Wroński w powyższym przykładzie).

Daje klasyfikacya nauk i pewne korzyści praktyczne, na które zwrócił już uwagę Ampère. Na przyjętym i uznanym podziale umiejętności oprzéć można podział najwyższych instytucyi naukowych (akademii i uniwersytetów) na wydziały i sekcye, rozkład kursów i planów nauk, układ encyklopedyi metodycznych i systematycznych, katalogów książek w bibliotekach i t. p.

Klasyfikacya nauk ma swoję historyą, która sięga czasów Platona i Arystotelesa; w krótkości dotknąć możemy tylko tego przedmiotu, który wymagałby oddzielnego traktowania, a zwłaszcza dopełnień, gdyż niektóre nowsze próby, jak np. Wrońskiego, Żebrowskiego itd. w dziejach klasyfikacyi zwykle są pomijane. Przedstawilibyśmy próby te w artykule niniejszym, gdyby nie należały właściwie do systemów opartych w znacznéj części na filozofii transcendental-

néj, z obecnego naszego przeglądu wyłączonéj. Zauważymy wszakże mimochodem, że klasyfikacya Wrońskiego w części odnoszącéj się do podziału nauk specyalnych jest daleko bardziéj szczegółową, niż każda inna, bo układa w system wszelkie zagadnienia danéj wiedzy i, co rzecz szczególna, jeden i tem sam szemat stosuje prawie bez zmiany do każdéj nauki

U platoników filozofia, w któréj zlewała się wszystka wiedza starożytna, dzieliła się względnie do trzech przyjmowanych wówczas władz ducha: rozumu, spostrzegania zmysłowego i woli—na dialektykę, fizykę i etykę. Arystoteles również na trzy części dzielił całość wiedzy: na nauki teoretyczne (analityka czyli logika, metafizyka i fizyka), praktyczne (etyka i polityka) i poetyczne (sztuka i technika). Ta trichotomia przeszła do Bakona, który całą wiedzę podzielił na trzy grupy: historyczną, poetyczną i filozoficzną, odpowiadające jakoby trzem władzom umysłowym: pamięci, wyobraźni i rozumowi, a następnie w każdéj grupie pomieścił nauki wówczas znane oraz nowe przez siebie pomyślane. Słusznie twierdzi Wundt, że nie tyle ta klasyfikacya ile dzieło: „*De dignitate et augmentis scientiarum*", w którém jest podana, stanowi najcenniejsze świadectwo genialności mędrca angielskiego. W dziele tém bowiem wypowiedział Bakon mnóstwo poglądów ogólnych i sformułował wiele zagadnień, które dziś jeszcze nie postradały wartości. Sądzę, że dzieło to uważać można za pierwszą i świetną próbę takiéj pracy, jaką zapragnął stworzyć później Ampère w swojéj matezyologii (niewydanéj), jaką uskutecznił Comte w swoim kursie filozofii pozytywnéj, jaką pragnął widzieć Wroński w swojéj „Reformie wiedzy ludzkiéj", jaką dali Dühring w dziele, „*Logik und Wissenschaftslehre*" i Wundt w swojéj „Logice" (tom I *Erkenntnisslehre*, tom II *Methodenlehre*").

D'Alembert w klasyfikacyi swojéj „*Système figuré des connaissances humaines*" pomieszczonéj w „*Discours préliminaire*" w wielkiéj Encyklopedyi, oparł się całkowicie na Bakonie, zmienił tylko porządek trzech grup (pamięć, rozum, wyobraźnia) i uwzględnił ówczesny rozwój nauk matematycznych, dość lekceważonych przez Bakona. Po za tém zresztą układ jego nie przewyższa klasyfikacyi bakonowskiéj; owszem główne wady téjże, jak zaliczenie do jednego działu przedmiotów zasadniczo różnych (historya, astronomia, technika), rozszczepienie przedmiotów jednolitych (astronomia w grupie pamięci i w grupie rozumu), utworzenie nowéj nauki o „zboczeniach natury", do których zalicza d'Alembert zarówno potwory organiczne jak i meteory itd., pozostały bez zmiany w słynnéj klasyfikacyi z XVIII stulecia.

Z podziałów wiedzy w naszym wieku najbardziéj znane są klasyfikacye Ampère'a, Comte'a i Spencera. Pierwszy z nich pragnął dać klasyfikacyą naturalną, podobną do téj, jaką za jego czasów stosowano w zoologii i botanice. Podział nauk na 2 królestwa (nauki kosmologiczne i noologiczne), 4 podkrólestwa (kosmologia właściwa, fizyologia, noologia właściwa, nauki społeczne), 8 działów, 16 poddziałów, 32 nauki 1-go rzędu, 64—2-go, 128—3-go itd., przeprowadził on nadzwyczaj dowcipnie i uwidocznił w tablicy, która jako obraz ładu i symetryi świadczy o wysokiéj pomysłowości autora, ale nie odpowiada wcale zasadniczemu warunkowi naturalności; cztery bowiem punkty widzenia tak zwany autoptyczny, kryptoryczny, troponomiczny i kryptologiczny, które miały warunek ten urzeczywistnić, tylko z pewném do prawdy naciąganiem stosować się dają; stąd takie błędy, jak postawienie geometryi molekularnéj obok geometryi syntetycznéj i analitycznéj w rzędzie matematyki czystéj, cynematyki zaś w rzędzie nauk matematyczno-fizycznych itd., stąd nieusprawiedliwione tworzenie różnych umiejętności. Mimo to klasyfikacya Ampère'a stanowi interesującą próbę szczegółowego i systematycznego podziału nauk, a przytém ma tę zasługę, że wprowadza nową umiejętność, cynematykę do systemu nauk (pierwszeństwo w téj rzeczy należy się Wrońskiemu). Większą, jak sądzę, zasługę Ampère'a stanowi wspomniany już wyżéj pomysł ułożenia metodologii nauk. Określił on dokładnie treść téj zamierzonéj pracy, do któréj dzieło jego o klasyfikacyi miało tylko wstęp stanowić. Jego „matezyologia“ zawrzéć miała pojęcia ogólne każdéj z nauk, wskazać drogi, jakiemi należy je studyować i posuwać, podać nowe odkrycia, cele i główne wyniki prac najznakomitszych uczonych, streścić poglądy na podstawy wiedzy, wykazać źródła sprzecznych poglądów oraz sposoby ich pogodzenia itd.

Klasyfikacya Comte'a, najlepiéj znana ze wszystkich, jest prawie współczesną Amperowskiéj. Podział umiejętności na sześć wielkich działów: matematykę, astronomią, fizykę, chemią, fizyologią i fizykę socyalną (socyologią) cechuje wielka prostota; przejście od jednego działu do drugiego—oparte na zmniejszającéj się abstrakcyi, a zwiększającéj „konkretności“ przedmiotu, i jednocześnie na tém, że każda z następujących umiejętności potrzebuje dla swego rozwoju pomocy poprzedzających. W systemie Comte'a nie są wcale, albo mało uwzględnione nauki psychiczne, filozofia zaś, jako równoważna całemu systemowi nauk, nie ma oddzielnego miejsca. Wundt w krytyce tego systemu twierdzi, że większy lub mniejszy stopień abstrakcyi nie może być wcale brany za charakterysty-

kę danéj nauki ani za podstawę do umieszczenia jéj niżéj lub wyżéj w hierarchii wiedzy; co się zaś tyczy zależności nauk, to klasyfikacya Comte'a i pod tym względem nie jest zupełnie uzasadnioną, tak np. po matematyce mogłaby również dobrze następować fizyka jak i astronomia. W szczegółowym podziale saméj matematyki zalicza Comte rachunek (algebrę, analizę) do nauk abstrakcyjnych, geometryą zaś wraz z mechaniką do nauk konkretnych; tymczasem geometrya w dzisiejszym swym rozwoju jak i ta część mechaniki, któréj przedmiotem jest teorya ruchu (bez względu na siły) zaliczoną być winna do téj saméj kategoryi wiedzy, do jakiéj należy analiza.

Spencer udoskonalił klasyfikacyą Comte'a, dzieląc umiejętności na czysto-abstrakcyjne, abstrakcyjno-konkretne i konkretne, do pierwszych zaliczając: logikę i matematykę, do drugich: mechanikę, fizykę, chemią, do ostatnich: astronomią, geologią, biologią, psychologią i socyologią. Widzimy, że matematyka należy całkowicie do nauk abstrakcyjnych, że logika i psychologia znalazły tu uwzględnienie, że jednak filozofia, jako umiejętność różna od całego układu umiejętności, nie istnieje podobnie, jak u Comte'a. Podział umiejętności na trzy działy wyżéj wymienione nie usuwa wszelako zarzutu, jaki Wundt uczynił podziałowi Comte'a: zasada bowiem podziału według stopnia abstrakcyi nie jest ani prawdziwa ani wystarczająca.

Przechodzimy do głównego przedmiotu tego artykułu, a mianowicie do przedstawienia najnowszych klasyfikacyj. Rozpoczynamy od Dühringa. Filozof ten, znany z licznych prac specyalnych w rozmaitych dziedzinach wiedzy, jak w matematyce, fizyce, ekonomii politycznéj, filozofii itd. poświęcił temu przedmiotowi rozdział IV swojego dzieła: *Logik und Wissenschaftslehre* (Lipsk, 1878). Na czele całego systemu umiejętności stawia Dühring logikę i matematykę, które są podstawą wszelkiéj wiedzy i wszelkiego umiejętnego badania przyrody. W „filozofii rzeczywistości“ Dühringa doniosłość tych nauk ma być większa, niż w każdéj innéj filozofii; nie tylko bowiem w dziedzinie myśli mają one rolę kierowniczą, ale są zarazem „logiką i matematyką przyrody saméj“; w filozofii téj, dziedziny myślenia i bytu mają jeden fundament logiczny i matematyczny, tak, że subiektywnym i świadomym działaniom logicznym odpowiada logiczna, lubo nieświadoma, twórczość przyrody, prawdom zaś matematycznym—ściśle matematyczne związki pomiędzy przedmiotami i zjawiskami przyrody. Rozwijając myśl tę, dochodzi Dühring do wniosku, że cały „system rzeczowy“ przyrody i system wiedzy ludzkiéj muszą miéć i mają jeden plan wspólny. Po logice i matematyce następuje „umiejętność przyrodnicza mecha-

niczna i rozumowa" (*mechanische und rationelle Naturwischenschaft*), do któréj należą: mechanika (statyka i dynamika), fizyka i astronomia i chemia. Po nich idą nauki o funkcyach organicznych, a między niemi fizyologia, jako nauka „względnie najbardziéj rozumowa", potém zaś nauki przyrodnicze opisowe. Wszystkie przytoczone nauki stanowią wielki dział wiedzy o przyrodzie (*Naturwissen*); drugi wielki dział tworzy u Dühringa wiedza o kulturze (*Culturwissen*), do któréj zalicza: medycynę, prawnictwo, wiedzę wojenną, nauki państwowe, ekonomią polityczną i etykę. Psychologia jest pominięta; co się zaś tyczy filozofii w znaczeniu metafizyczném, to Dühring całkowicie ją ze swego systemu wyrzuca. Filozofią zastąpić ma teorya umiejętności (*Wissenschaftstheorie*) tj. umiejętność, która, opierając się na logice, zajmuje się rozdziałem i klasyfikacyą nauk, badaniem stopnia ich ścisłości i stosowalności praktycznéj, dziejami i rozwojem wiedzy w zależności od geniuszu pracowników oraz ducha urządzeń, wydzielaniem pierwiastków ogólnie kształcących z materyału czysto technicznego, wreszcie środkami i szansami logicznego i systematycznie uorganizowanego udzielania i przyswajania wiedzy. Logika wraz z teoryą poznania i opisana teorya umiejętności wyczerpują całkowicie u Dühringa zadanie filozofii. Wszelka inna mglista metafizyka dawnych systemów filozoficznych, rzekome cele i zadania badań filozoficznych wyłączają się z dzisiejszego pojmowania zakresu wiedzy. Gdyby nazwa filozofii—powiada Dühring—nie była tak utarta i tak ściśle związana z najdawniejszemi dociekaniami umysłu ludzkiego, to zarzucenie téj nazwy mogłoby przynieść nawet pożytek, bo wyłączyłoby raz na zawsze z dziedziny téj wszelkie mrzonki i spekulacye, przekraczające zakres ludzkiego badania. Nie wynika stąd wszakże, by wraz z nazwą miała być wyrzuconą i sama umiejętność lub aby tak jak u Comte'a rozpłynąć się miała w systemie nauk specyalnych. Może każda umiejętność—mówi daléj Dühring—filozofować w swoim zakresie, ale po nad temi wszystkiemi dociekaniami istniéć musi umiejętność ogólna, która związki wzajemne pomiędzy niemi bada, a jest to właśnie zadaniem teoryi umiejętności.

Pogląd ten nie różni się w zasadzie od poglądu będącego podstawą klasyfikacyi Wundta (*Ueber die Einteilung der Wissenschaften, Philosophische Studien*, tom V, zeszyt I, 1888. Por. téż dzieło *Logik*, tom II, Lipsk, 1883); w wykonaniu wszakże obie klasyfikacye są różne. U Wundta mamy przedewszystkiém podział wiedzy na dwa systemy: system pierwszy nauk specyalnych (*System der Einzelwissenschaften*), system drugi—nauk filozoficznych.

W ystemie nauk specyalnych zupełnie osobne miejsce zajmują nauki matematyczne, zwane naukami formalnemi; po nich następują nauki realne czyli doświadczalne, które rozpadają się na nauki przyrodnicze i duchowe. Przyroda i duch nie oznaczają tu wcale przedmiotów różnych, lecz tylko różne, wzajem dopełniające się abstrakcye, wywołane w nas przez przedmioty zewnętrzne; świat przyrody i świat ducha — jest to jedyny świat naszego doświadczenia, gdyż jak nie ma przedmiotów duchowych, któreby nie były przedmiotami przyrody, tak z drugiej strony warunki szczególne, przy których spostrzegamy zjawiska duchowe, nie upoważniają nas, zdaniem Wundta, do tego, by przedmioty, które mają dla nas znaczenie przedmiotów natury, uważać jako pozbawione wszelkiego związku ze światem duchowym.

Przechodzimy do szczegółów klasyfikacyi Wundta i rozpoczynamy od pierwszego działu umiejętności formalnych tj. matematycznych. O istocie i znaczeniu matematyki napisano wiele rozpraw, a mimo to przedmiot ten przedstawia jeszcze dość punktów spornych. Wundt, opierając się na wynikach nowoczesnych badań matematycznych, rzucił jaśniejsze światło na tę sprawę.

Istnieją dwa przeciwne poglądy na istotę matematyki. Według pierwszego empirycznego, matematyka jest jedną z umiejętności przyrodniczych, twory jéj powstają wyłącznie pod wpływem doświadczenia, są abstrakcyami z doświadczenia i o tyle tylko mają znaczenie i wartość, o ile znajdują zastosowanie, zwłaszcza w badaniu przyrody. Według poglądu przeciwnego, który nazwę racyonalistycznym, twory i pojęcia matematyczne są tworami czystego rozumu, od doświadczenia niezależnemi, a znajdują zastosowanie w badaniu przyrody, jako formy konieczne stosunku ducha ludzkiego do świata zewnętrznego. Pogląd pierwszy, jeżeli ma być konsekwentny, z trudnością uzasadnić może stosowanie takich pojęć: jak nieskończenie mała, niewymienność, ciągłość i t. p., a zupełnie zarzucić musi pojęcie przestrzeni wielowymiarowéj, krzywizny przestrzeni itp.; drugi znów pogląd nie przyjmuje pod uwagę tego ważnego faktu, że prawdy zasadnicze analizy i geometryi, oraz pewniki i postulaty, zwłaszcza geometryczne, tylko na drodze doświadczalnéj do świadomości naszéj doszły i w doświadczeniu uzasadnienie swe znajdują.

W rzeczy saméj, matematyka powstała na drodze doświadczenia; jéj pierwsze i dalsze nawet pojęcia, jéj twory najprostsze, pewniki i wymogi w doświadczeniu źródło swe mają; lecz pod wpływem téj pierwszéj pobudki, umysł ludzki może rozpocząć pracę w dziedzinie

pojęć i tworów matematycznych, od doświadczenia niezależną. Twórczość w matematyce, ulegając tylko ogólnym prawom logiki, panującym na całym obszarze wiedzy, prowadzić może do nowych form, nie będących wprost abstrakcyami z tworów lub zjawisk przyrody, do działań i konstrukcyi, których analogon nie koniecznie znajdujemy w przyrodzie. Matematyk nie zawsze pyta, czy i o ile tworom jego odpowiada rzeczywistość przyrody; dla niego rzeczywistością może być także logiczny związek pomiędzy konstrukcyami i prawdami oraz układ prawd, do których dochodzi. Rzeczywistość w matematyce jest więc wyidealizowaniem i uogólnieniem rzeczywistości przyrodniczéj, jest możliwością, którą matematyk podnosi do godności rzeczywistości; ona to daje mu formy, w które zawrzéć może i te przypadki, jakie napotyka w badaniu przedmiotów i zjawisk doświadczenia, ile razy te ostatnie do traktowania matematycznego się nadają. Przy takiém pojmowaniu charakteru matematyki, najbardziéj oderwane jéj pojęcia bezwartościowemi nie są, jeżeli w dojściu do nich i badaniu ich związków kierowniczką jest logika i jeżeli badaczowi przytomna jest myśl, że jego pojęcia powstały na drodze uogólnienia rzeczywistości, że możliwość stosowania ich do badania zjawisk wyłączoną nie jest. Z tego to powodu uznać musimy wartość najnowszych badań nad rozmaitościami wielowymiarowemi i nie możemy zgodzić się na potępiający wyrok, jaki na nie wydał Dühring, nazywając je logicznemi absurdami, patologicznem zboczeniem umysłu ludzkiego itd.

Własności formalne, będące przedmiotem matematyki, mogą się stosować już to do wszystkich przedmiotów doświadczenia i do wszystkich utworów pojęciowych, powstałych za pomocą konstrukcyi logicznych, i wtedy należą do umiejętności formalnych ogólnych; już to do liczby, przestrzeni i ruchu w przestrzeni, i wtedy należą do umiejętności formalnych specyalnych. Własności formalne ogólne odnoszą się już to do ilości już do porządku (jakości), stąd mamy dwa działy nauk formalnych ogólnych. Całkowity podział matematyki przedstawia Wundt w następującéj tablicy:

Nauki formalne czyli matematyczne

I. Nauki formalne ogólne.

a) Nauka form ilościowych. Nauka o wielkościach.

1. Nauki o działaniach nad wielkościami. Algebra.

2. Teorya związków pomiędzy wielkościami. Teorya funkcyj.

b) Nauka form jakościowych. Teorya rozmaitości.

II. Nauki formalne specyalne.

a) Nauka o liczbach.

1. Arytmetyka. Nauka o działaniach nad liczbami.
2. Teorya liczb. Nauka o liczbach i związkach pomiędzy niemi.

b) Nauka przestrzeni.

1. Geometrya syntetyczna. Nauka o powstawaniu form przestrzennych z elementów.
2. Geometrya analityczna. Teorya zastosowania pojęć wielkościowych do utworów przestrzennych.

c) Nauka o ruchu.

1. Cynematyka syntetyczna. Nauka o składaniu ruchów.
2. Cynematyka analityczna. Zastosowanie ogólnych pojęć wielkościowych do zagadnień ruchu.

Tablica ta uwzględnia najnowsze badania naukowe. I tak: algebra występuje w niéj jako ogólna nauka wielkościowa w znaczeniu Grassmanowskiem; teorya funkcyi obejmuje wszystkie gałęzie rachunku wyższego (nieskończonościowego); teorya rozmaitości jest nową nauką, powstałą na podstawie badań Riemanna, Helmholtza, Kleina i innych; mimo to tablica wykazuje też pewne braki, a mianowicie:

1) brak w niéj rachunku prawdopodobieństwa, który ściśle pod żadną z podanych kategoryi nie podchodzi. Rachunek ten pośredni pomiędzy logiką i matematyką ze względu na swoję metodę i zastosowanie stanowi oddzielną gałąź badań matematycznych; a znaczenie jego wzrosło ostatecznemi czasy wskutek zastosowań do badań fizykalnych (np. w teoryi cynetycznéj gazów (1).

2) W tablicy nauk ogólnych mamy dwie grupy a) i b), w tablicy zaś nauk specyalnych —trzy: a) b) c), analogia zatém zachowana nie została. A jednak analogia taka istnieje, jeżeli uwzględnimy najnowszą gałęź matematyki, pominiętą przez Wundta, a mianowicie t e o r y ą p r z e k s z t a ł c e ń, która dzięki znakomitym badaniom Lie'go i Kleina, stanie się prawdopodobnie nową i ważną umiejętnością. Gałąź ta, zdaniem mojém, odpowiada grupie *c*) w tablicy II), a mianowicie teoryi ruchu; w saméj rzeczy, według najnowszych poglądów, ruch w przestrzeni odpowiada pewnéj grupie przekształceń w rozmaitości ogólnéj.

Zauważę tu, że gdyby szło o rozwój historyczny wymienionych gałęzi matematyki, porządek byłby, wogóle mówiąc, odwrotny; najprzód bowiem rozwinęła się większość nauk specyalnych a zwłaszcza geometrya syntetyczna (Euklidesowa), arytmetyka, algebra; geometrya analityczna powstała prawie równocześnie z algebrą; późniéj nieco teorya funkcyi i rachunek różniczkowy. Na-

---

(1) Piękne i nowe zastosowanie rachunku prawdopodobieństwa do teoryi układów mechanicznych wskazał przyjaciel mój, Władysław Gosiewski, w świeżo ogłoszonéj rozprawie (Prace matematyczno-fizyczne, 1888, str. 97), oraz w ogólniejszéj jeszcze pracy, mającéj być przedstawioną Akademii Umiejętności w Krakowie.

uka o ruchu, traktowana była jako dział fizyki lub mechaniki, i dopiéro w bieżącém stuleciu, jako cynematyka, stała się nauką formalną. Zresztą w rozwoju historycznym nauk niełatwo oddzielić momenty powstania rozmaitych działów, a to skutkiem wzajemnego oddziaływania odkryć w różnych dziedzinach. Powiemy tylko, że charakter czysto formalny przyjęły badania matematyczne dopiéro w najnowszym czasie, skutkiem czego nauki formalne ogólne są w metodach swych w wysokim stopniu zależne od nauk specyalnych. Być może, iż w pochodzie swym umysł ludzki potrafi kiedyś wznieść się na stanowisko zupełnie niezależne w tych naukach, dziś jednak nie ma do nich innéj drogi, jak przez nauki specyalne; nie zmniejsza to naturalnie w niczém ich wartości, owszem wiąże je ściśle ze światem doświadczenia.

Przechodzimy do podziału nauk przyrodniczych, które u Wundta rozpadają się najprzód na nauki o procesach (zjawiskach, przebiegach) w przyrodzie i na nauki o przedmiotach przyrody. Pierwsze składają się z nauki ogólnéj o procesach, którą Wundt nazywa d y n a m i k ą; nauki specyalne zaś składają się z dwóch umiejętności f i z y k i i c h e m i i. Podział szczegółowy przedstawia następująca tablica:

I. N a u k a o g ó l n a.

Dynamika.

a) Dynamika mas.

1. Dynamika ciał—w uważaniu mas za całości.

2. Dynamika cząsteczkowa: nauka o ruchu cząsteczek.

b) Dynamika eteru.

1. Eterdynamika. Ogólna teorya ruchów eteru.

2. Teorya środków złożonych: eter w związku z materyą ważką.

II. Nauki specyalne.

a) Procesy w przyrodzie, bez względu na różnice jakościowe cząsteczek ciał: Fizyka.

1. Zjawiska przyrody w ich związkach wzajemnych: Fizyka ogólna.

2. Zjawiska przyrody w szczególności (Ciężkość, dźwięk, ciepło, światło, elektryczność): Fizyka specyalna.

b) Procesy natury, z względem na różnice jakościowe cząsteczek ciał: Chemia.

1. Związki wzajemne sił fizykalnych i chemicznych: Chemia ogólna.

2. Związki chemiczne w ich formach szczególnych: Chemia specyalna.

Tablica niniejsza, odpowiadająca tablicy 2-éj w systemie Spencera (*Classification des sciences*, 1881, str. 26), odbiega znacznie od téj ostatniéj, nie wydaje się ona nam wszakże zupełnie zadawalającą. Przedewszystkiém nie spotykamy tu nazwiska mechaniki, któréj część cynematyczną włączono wprawdzie do nauk formalnych, ale pozostałą część dynamiczną rozszczepiono na dynamikę mas i na dynamikę eteru. Rozszczepienie podobne właściwsze byłoby, jak

sądzę, w dziale nauk specyalnych; w tablicy zaś Wundta treść nauk ogólnych i nauk specyalnych zachodzą na siebie: Istotnie, z trudnością przyszłoby Wundtowi ułożenie szczegółowego programu kursu każdéj z umiejętności, którą do powyższéj tablicy wprowadził.

Nauki przyrodnicze, zajmujące się przedmiotami natury, dzieli Wundt na trzy grupy:

1. Nauka o ciałach niebieskich: Astronomia.

2. Nauka o ziemi, jako całości: Geografia.

3. Nauka o pojedyńczych przedmiotach ziemskich, do któréj należą:

a) historya naturalna systematyczna: mineralogia, botanika, zoologia;

b) nauka specyalna (orografia, hydrografia, geognozya, geografia roślin, zwierząt i człowieka).

Pozostają jeszcze nauki przyrodnicze, zajmujące się procesami przyrody, odbywającemi się w przedmiotach przyrody:

1. Fizyka, chemia ciał konkretnych: Astrofizyka, geofizyka (z klimatologią i meteorologią), fizyka i chemia minerałów; fizyka i chemia organizmów: fizyologia ogólna, fizyologia roślin i zwierząt.

2. Historya rozwoju przedmiotów natury: kosmologia, geologia, historya rozwoju organizmów.

Pewne uwagi nastręcza pomieszczenie astronomii w dziale nauk, zajmujących się przedmiotami natury wraz z geografią, systematyką przyrodniczą i geografią specyalną. Astronomia, która w systemie Comte'a zajmowała pierwsze miejsce po matematyce, spada tym sposobem w hierarchii wiedzy. Ale zauważyć należy, że ma ona w systemie Wundta odmienne znaczenie; u Comte'a zawierała ona wszystko, co odnosi się do ogólnych praw ruchu i wzajemnego oddziaływania ciał niebieskich; u Wundta jest ona systematyką ciał niebieskich, po wydzieleniu pewnych jéj działów, już to do dynamiki, już do astrofizyki itd. Wogóle powiedzieć można, że w tablicy nauk przyrodniczych pragnął Wundt uwzględnić dzisiejszą specyalizacyą wiedzy. lecz ponieważ oddzielne umiejętności nie są dotąd ściśle odgraniczone, przeto i tablica powyższa nie odznacza się należytą prostotą.

Drugi dział umiejętności realnych, tj. umiejętności duchowe, rozpada się w sposób następujący:

A. Umiejętności o procesach duchowych.

I. Nauka o procesach duchowych w samowiedzy ludzkiéj: Psychologia w znaczeniu ściślejszém (psychologia indywidualna).

II. Nauka o procesach duchowych pod szczególnemi warunkami:

a) Procesy duchowe pojedyńczych istot i gromad: Psychologia zwierząt i psychologia ludów.

b) Procesy duchowe w stosunku do procesów cielesnych: Nauki psychofizyczne.

1. Nauka o związkach wzajemnych między zjawiskami cielesnemi i duchowemi: Psychofizyka.

2. Nauka o organizacyi psychofizycznéj pojedyńczych istot i ich gromad: Historya naturalna psychofizyczna zwierząt, antropologia, etnologia.

B. Umiejętności o wytworach duchowych.

I. Umiejętność o wytworach duchowych w ogólności: Filologia.

II. Umiejętności o pojedyńczych klasach wytworów duchowych: Ekonomia narodowa (polityczna), polityka, systematyczna nauka prawa, teologia systematyczna, teorya sztuk, specyalna metodyka umiejętności.

C. Umiejętności o rozwoju wytworów duchowych: Nauki historyczne.

I. Dzieje ogólne:

Dzieje indywidualne (Biografie), Historya ludowa, Historya powszechna albo historya świata.

II. Historya pojedyńczych klas wytworów duchowych:

Historya gospodarstwa. Historya państwa i prawa. Historya religii. Historya sztuki. Historya pojedyńczych umiejętności.

Powyższa tablica daje powód do uwag, z których pozwolimy sobie uczynić następujące:

Socyologii, która w systemie Comte'a zajmowała miejsce w hierarchii wiedzy, a która, jak u Gumplowicza (System socyologii, Warszawa, 1888), jest umiejętnością o zupełnie nowéj klasie zjawisk socyologicznych, opartych na hypotezie wzajemnego oddziaływania grup czyli gromad pierwotnych, (z odsunięciem na plan dalszy pierwiastku indywidualnego), nie znajdujemy tu bezpośrednio: części jéj składowe rozdzielone zostały pomiędzy rozmaite nauki. Uderza również zestawienie w jednym rzędzie ekonomii politycznéj, teologii systematycznéj i metodologii specyjalnéj, i w ogóle rzec można, że układ nauk duchowych, już to ze względu na istotną komplikacyą różnorodnych przedmiotów, już to ze względu na niedawne powstanie różnych nauk, nie doszedł jeszcze do należytéj prostoty.

Przechodzimy teraz do systemu filozofii. Znaczenie filozofii w systemie Wundta wyjaśniliśmy już wyżéj; pozostaje więc zaledwie dodać, że w podziale jéj ujawnić się musi odpowiedniość do tych pytań, które były przedmiotem umiejętności specyalnych.

I tak, naukom formalnym t. j. matematycznym w systemie nauk szczególnych odpowiada w systemie filozofii logika formalna, czyli formalna nauka poznania, któréj prawa są niezależne od treści przedmiotów. Naukom realnym odpowiada realna nauka poznania, do któréj należą:

a) Historyczny rozwój poznania, czyli ogólna historya wiedzy.

b) Logiczny rozwój poznania (teorya poznania), złożona:

1. Z czystéj teoryi poznania, czyli teoryi poznania w znaczeniu ściślejszém.

2. Ze stosowanéj teoryi poznania, czyli metodologii.

Wymienione nauki stanowią pierwszą zasadniczą umiejętność filozoficzną, którą Wundt nazywa ogólnie teoryą poznania (w znaczeniu obszerniejszém); drugą umiejętność zasadniczą stanowi nauka o zasadach (*Principienlehre*), składająca się:

I. Z ogólnéj nauki o zasadach, czyli metafizyki.

II. Ze specyalnéj nauki o zasadach, na którą składają się:

A. Filozofie przyrody:

1. Ogólna filozofia przyrody.

2. Specyalne filozofie przyrody: kosmologia ogólna, biologia ogólna.

B. Filozofia ducha:

1. Ogólna filozofia ducha, albo psychologia filozoficzna.

2. Filozofie oddzielnych wytworów duchowych: Etyka, filozofia prawa, statystyka, filozofia religii.

3. Teorya duchowego rozwoju ludzkości: Filozofia historyi.

Pozostaje jeszcze wyjaśnienie stanowiska logiki w systemie Wundta. Logika jest nauką ogólniejszą od matematyki, gdyż bada własności formalne wszystkich pojęć i dla tego w innych systemach poprzedza matematykę; Wundt zaliczył ją do systemu nauk filozoficznych, właśnie dla jéj ogólności, która ją stawia na czele każdéj teoryi poznania.

Masaryk (*Versuch einer concreten Logik*, Wiedeń 1887; toż samo dzieło wyszło i po czesku) nadaje filozofii prawie to samo znaczenie, co Wundt; jest ona dla niego, obok umiejętności specyalnych, najogólniejszą umiejętnością, jest „wszechwiedzą ludzką" (str. 128); logika i metafizyka są dwiema naukami filozoficznemi: logika formalną, metafizyka—realną. Umiejętności specyalne klasyfikuje Masaryk w sposób następujący:

Najprzód dzieli umiejętności na teoretyczne i praktyczne, teoretyczne zaś na abstrakcyjne i konkretne w ten sposób, że każdéj nauce abstrakcyjnéj odpowiada nauka konkretna oraz umiejętność praktyczna. Widzimy to na poniższéj tablicy:

I. Arytmetyka.	Geometrya	Sztuka rachunkowa i miernicza. Geometrya opisująca. Teorya sztuk przemysłowych i naśladowniczych.
II. Mechanika (fizyka i chemia).	Astronomia, akustyka, hydrostatyka, hydrodynamika, aerostatyka, kosmografia (astro-geo - oceanografia), kosmologia (astro-geologia) itd.	Technologia w najszerszém znaczeniu tego wyrazu.
III. Biologia.	Botanika i zoologia.	Wychowanie fizyczne i lecznictwo. (Fitotechnika, Zootechnika, medycyna, hygiena).
IV. Psychologia. Socyologia.	Etnologia, nauki państwowe, ekonomia polityczna (statystyka), historya (ogólna i szczególna).	Wychowanie charakteru i umysłu (Pedagogika i dydaktyka).
V. Nauka języka.	Historya języka (gramatyka).	Polityka, etyka—jako umiejętność życia wzorowego. Gramatyka praktyczna.
VI. Estetyka.	Teorya sztuki.	Estetyka praktyczna.
VII. Logika abstrakcyjna.	Logika konkretna (klasyfikacye i organizacye wiedzy).	Logika praktyczna.

Należy dodać, że umiejętności w trzech ostatnich rzędach poziomych 1-éj kolumny, a mianowicie nauka języka, estetyka i logika wraz z odpowiadającemi im naukami w dwóch pozostałych kolumnach nie należą, według Masaryka, do hierarchii umiejętności; ustawienie tych trzech nauk w tablicy wydaje się niezupełnie uzasadnionem.

Pod względem planu zasadniczego klasyfikacya Masaryka nie różni się od klasyfikacyi Comte'a, ale ustępuje jéj, zdaniem naszém, pod względem prostoty i konsekwencyi. Matematyka została rozszczepioną na umiejętności: abstrakcyjną i konkretną, co jak wiemy nie zgadza się z istotą téj nauki; zresztą dla czego geometryą zalicza Masaryk do nauk konkretnych, gdy mechanikę wraz z fizyką i chemią zalicza do abstrakcyjnych; dla czego biologia pomieszczona w rzędzie abstrakcyjnych, gdy astronomia zaliczona do konkretnych i t. d.?

Logika konkretna w systemie Masaryka ma odpowiadać ogólnéj metodologii w systemie Wundta, a zadanie jéj polega na sprowadzeniu wszystkich umiejętności do jednolitéj organizacyi; całe dzieło Masaryka jest właśnie poświęcone temu przedmiotowi. Masaryk mówiąc o Logice Wundta, czyni mu zarzut, że w dziele tém nigdzie nie podaje zasad swojéj klasyfikacyi i organizacyi wiedzy i że nie widać, dla czego zaczyna od matematyki, a nie od lo-

giki. Rozprawa Wundta o klasyfikacyi wiedzy odpowiada na te zarzuty i usprawiedliwia zajęte przez tego uczonego stanowisko. Inne zarzuty Masaryka, skierowane przeciw Wundtowi, są natury drugorzędnéj i zdaje się, że w części zwrócić by je można przeciw systemowi ich autora; istotnie, wartość pracy Masaryka polega, zdaniem naszém, nie tyle na klasyfikacyi dość wadliwéj, ile na wyjaśnieniach i dopełnieniach treści dogmatycznéj i historycznéj, których autor mnóstwo zawarł w swém dziele. Na pogląd jego na matematykę zgodzić się trudno, lecz przyznać należy, że praca cała, ułożona na podstawie obszernych studyów, przedstawia bardzo interesujący obraz rozwoju umysłowego w wielu dziedzinach wiedzy ludzkiéj i traktuje wiele pytań nader racyonalnie.

Zwracamy się do próby klasyfikacyi nauk, którą ogłosił niedawno p. Bol. L. w artykule p. t. „Klasyfikacya nauk i socyologia", ogłoszonym w dodatku do „Przeglądu Tygodniowego" za sierpień r. 1888. Klasyfikacya nauk, według p. L., ze względu na cel swój może być filozoficzną albo pedagogiczną. Obie one różnią się zasadniczo od siebie. Zadaniem pierwszéj jest uszeregowanie nauk w porządku, najodpowiedniejszym do filozoficznego objęcia ich w całość. Szereg nauk winien odpowiadać naturalnemu postępowi myśli, rozpoczynać się więc ma od nauki najbardziéj abstrakcyjnéj i prowadzić do coraz konkretniejszych (myśl Comte'a); klasyfikacya pedagogiczna, przeciwnie, powinna rozpoczynać się od tego, co najłatwiéj daje się objąć zmysłami i podnosić się ku coraz wyższym szczeblom abstrakcyi. Poczyniwszy krótkie uwagi nad systemem Arystolelesa, Bakona, Comte'a i Spencera, przechodzi p. L. do wyłożenia zasad własnego układu, który stara się oprzeć na najnowszych zdobyczach wiedzy nowoczesnéj w dziedzinie nauk fizycznych, a mianowicie na zasadzie zachowania energii i przemienności sił (Zauważymy tu, że istotnie zasady te stanowią jedno z pierwszorzędnych narzędzi badania w fizyce, ale nie można ich poczytywać za powszechnie stwierdzone prawo natury). Na czele klasyfikacyi filozoficznéj stawia p. L. logikę, czyli „metodologią", która kreśli najogólniejsze zasady, dające umysłowi punkt oparcia w pracy umysłowéj. Za taką zasadę uważa przedewszystkiém jednostajność przyrody, bez któréj żadne doświadczenie do pozytywnych rezultatów doprowadzić nie może Na drugiém miejscu kładzie matematykę, jako konieczną do ocenienia stosunków ilościowych, wielkościowych i położenia przedmiotów. Logika i matematyka stanowią razem n a u k i m y ś l e n i a t. j. rząd pierwszy nauk.

Rząd drugi stanowią nauki abstrakcyjne, do których L. zalicza: cynematykę (mechanikę teoretyczną), fizykę, oraz chemią

nową czy przyszłą umiejętność, biopsychikę, któréj przedmiotem być ma nowa odmiana ruchu, wynikającego z oddziaływania wzajemnego istot żyjących, ujawniającego się w niezbadanych dotąd zjawiskach hypnotyzmu.

Następują nauki abstrakcyjno-konkretne, do których zaliczają się: kosmologia, geologia, organologia, socyologia. Geologią pojmuje autor w obszerném, ogółowém, nie zaś w specyalném znaczeniu; organologią zaś dzieli na biologią i psychologią.

Tym czterem naukom abstrakcyjno-konkretnym odpowiadają cztery grupy dalszego rzędu nauk konkretnycb.

Astronomia.

Meteorologia, geografia, geognozya, geogenia.

Paleontologia, botanika, zoologia, antropologia.

Statystyka, etnografia, ekonomia polityczna, historya.

Wymienione dotąd nauki stanowią dział umiejętności teoretycznych; dział drugi stanowią nauki stosowane czyli praktyczne, jak: mechanika, technologia, marynarka, meteorologia praktyczna, miernictwo, inżynierya itd. Wreszcie na drugim biegunie tych wszystkich umiejętności stoi filozofia, jako streszczenie i uwieńczenie wiedzy ludzkiéj.

Dodaje jeszcze p. L. uwagę o znaczeniu klasyfikacyi filozoficznéj dla socyologa. Tak samo jak filozof, ma socyolog potrzebę oznaczenia najwłaściwszego punktu zapatrywania się na zjawiska, będące przedmiotem jego badania, i dlatego w studyach swych odbyć musi drogę metodyczną, wskazaną przez klasyfikacyą filozoficzną.

Układ powyższy, zbliżony myślą przewodnią do układu Spencerowskiego, przewyższa go w tém, że logika i matematyka wydzielone zostały z nauk abstrakcyjnych i utworzyły rząd nauk myślenia (formalnych), i że z drugiéj strony wyznaczono osobne miejsce dla filozofii, pominiętéj w układzie Comtowsko-Spencerowskim. Co się tyczy nowéj nauki zwanéj biopsychiką, to zdaje nam się, że właściwszém byłoby zaliczenie zjawisk będących jéj przedmiotem do psychofizyki, nauki mającéj ustalone miejsce w systemie Wundta, zwłaszcza, że zadanie i zakres téj proponowanéj umiejętności nie są dostatecznie określone.

Praca Adryana Naville'a: „*De la classification des sciences, Étude logique*“ ogłoszona została przed kilkoma miesiącami (Genewa, 1888). Naville dzieli wszystkie nauki na trzy grupy:

1⁰ Nauki realne albo nauki o bytach (*Les sciences du réel ou sciences des êtres*). Historya.

2⁰ Nauki o warunkach koniecznych możliwości albo nauki o prawach, Teorematyka.

3º Nauki o ideale albo o prawidłach działania. Nauki regulujące (normujące, *sciences regulatives*).

Pierwsza i druga grupa dzieli się każda na cztery wzajem odpowiadające sobie działy, które Naville zestawia w następującéj tablicy:

Historya.		*Teorematyka.*	
1. Liczby i związki liczbowe w bytach i w zjawiskach faktycznych.	Statystyka	1. Prawo liczb i związków możliwych.	Arytmologia
2. Formy i związki form w bytach i w zjawiskach faktycznych.	Uranografia, geodezya, krystalografia.	2. Prawa związków możliwych wielkościowych. *a*) w figurze jakiejkolwiek *b*) w ruchach jakichkolwiek.	 Geometrya Mechanika
3. Procesy materyalne faktyczne w przedmiotach i w bytach rzeczywistych. Historya ciał nieżyjących. Historya ciał żyjących; klasyfikacya, opis, anatomia, fizyologia, historya gatunków.	Astronomia, geologia, meteorologia, mineralogia, itd. Botanika, zoologia, antropologia fizyczna.	3. Prawa zjawisk materyalnych możliwych na zasadzie natury stałéj pierwiastków materyalnych rzeczywistych. *a*) bez zmiany składu cząsteczkowego. *b*) ze zmianą tegoż Prawa specyalne możliwości fizycznych i chemicznych, mających za warunki budowę organiczną i ruch życiowy.	 Fizyka Chemia Biologia
4. Procesy psychiczne faktyczne dusz rzeczywistych i związane z niemi procesy fizyczne. Obyczaje zwierząt. Opis i klasyfikacya ras ludzkich. Biografie. Historya społeczeństw; ich losy i rozmaite rodzaje działalności. Badanie faktów historycznych ogólnych. Kierunki historyi i próby przewidywania przyszłości ludzkiéj.	Zoologia, antropologia psychiczna, Historya języków, nauk, pojęć, instytucyj religijnych, politycznych, cywilnych, obyczajów itd. Geografia polityczna, Filozofia historyi.	4. Prawa zjawisk psychicznych możliwych na zasadzie natury dusz, którą nam daje poznać doświadczenie przez prawo działania wzajemnego dusz i ciał. Prawa specyalne możliwości biologicznych i psychologicznych, mających za warunek organizacyą społeczną.	Psychologia Psychofizyka Socyologia.

Nauki o ideale albo o prawidłach działaniach dzielą się na dwie grupy:

1. Nauki regulujące o wynalazku.	
Teorye celów dobrych, ich hierarchii.	Etyka
Teorye środków albo teorye sztuk.	
a) sztuk, mających na celu zadowolenie bezpośrednie.	Estetyka, teorya gier.
b) sztuk mających na celu użyteczność przez przekształcenie materyi nieorganicznych lub nieżyjących,	Teorye przemysłu i sztuki inżynierskiéj.
przez przekształcenie ciał żyjących,	Teorye uprawy ziemi, medycyna, hygiena, gimnastyka.
przez przekształcenie dusz.	Teorya wymowy, wychowanie, administracya, polityka.
2. Nauki regulujące o poznaniu albo teorye umiejętności.	Logika, krytyka rozumu, metodologia.

Klasyfikacya Naville'owska, słabsza od wyżéj rozpatrzonych, trichotomią swoją przypomina bardzo system Arystotelesa lub Bakona; jéj

szczególną właściwość stanowi zaliczenie nauk takich jak: fizyka, chemia, biologia, psychologia, psychofizyka i socyologia do teorematyki czyli do nauki o możliwościach czyli postawienie ich obok matematyki. Nie ulega wątpliwości, że wszystkie te umiejętności, jak z jednéj strony opierają się na doświadczeniu, tak z drugiéj w części swéj teoretycznéj operować muszą pewnemi pojęciami, jak: siła, atom, cząsteczka, dziedziczność itd., które są pewnemi formami lub możliwościami oraz opierać się muszą na pewnych hipotezach zasadniczych. Mimo to jednak w dzisiejszym stanie wiedzy zaliczenie tych wszystkich umiejętności do rzędu nauk formalnych jest jeszcze przedwczesném. Filozofia w tym układzie wymieniona nie jest; zastępuje ją: logika, krytyka rozumu i metodologia, które Naville zalicza do nauk regulujących. Są one bezwątpienia takiemi ze względu na zastosowania, ale mają prócz tego znaczenie teoretyczne, skutkiem którego należyć winny do działu 2-go, tj. do teorematyki.

S. Dickstein.





ARCYDZIEŁO KOMEDYI POLSKIÉJ.

STUDYUM LITERACKIE.

W naszych czasach podział utworów dramatycznych na różne rodzaje zdaje się tracić wszelką racyą bytu. Prawdziwa tragedya jest dziś wielką rzadkością; komedya zazwyczaj nie ogranicza się téż do właściwéj sobie sfery, lecz wkracza w dziedzinę patosu dramatycznego; przytém tendencya, panująca dziś tak wszechwładnie w utworach literackich, odejmuje produkcyom muzy komicznéj ich swobodny i wesoły charakter i przyodziewa je w poważną a często nader posępną szatę—satyry.

Ta przemiana i zlewanie się niejako różnych form twórczości dramatycznéj nie od dziś się datuje. Już w dziełach Shakspeare'a, tego ojca nowoczesnego dramatu, znika odrębność dawnéj tragedyi klasycznéj; żywioły komiczne i tragiczne mieszają się tam dowolnie; wzniosłość graniczy nieraz z pospolitością. Jednakże w teatrze Shakspeare'a komedya zachowuje jeszcze zupełnie odrębne stanowisko i różni się zasadniczo od tragedyi i dramatu.

Molière we Francyi a Fredro u nas, rozwijali daléj tę formę dramatyczną. Dzisiaj zdaje się ona ulegać zanikom. Komizm panuje teraz wszechwładnie tylko w pospolitéj formie, tak zwana wyższa komedya przedstawia zawsze mieszaninę dramatycznych i komicznych żywiołów.

Takie przetwarzanie się form poetycznych nie jest jakiémś zjawiskiem anormalném i ujemném; formy te bowiem nie mają w sobie nic absolutnego; są one wynikiem każdoczesnego kierunku twórczości poetyckiéj, która zależna jest znowu od całéj sumy życiowych warunków, ulegających nieustannéj przemianie i rozwojowi. Jak niemożliwym byłby dziś epos w rodzaju homerycznym,

tak i forma starej tragedyi greckiéj nie może się nadawać do przedstawienia życia nowoczesnego.

W starożytności klasycznéj życie przedstawiało się w nierównie prostszych formach; uczucia i namiętności ludzkie miały bardziéj określone, wyrazistsze granice, ztąd możliwém było odtwarzać je w prostych ale potężnych kształtach czysto-tragicznego patosu; objawy życia nowoczesnego nierównie więcéj skomplikowane, zawierające w sobie nowe żywioły, obce kulturze klasycznéj, musiały znaleźć bardziéj złożone, nie tak typowo-proste formy poetyckiego wyrażenia; dla tego dramat Shakspeare'a przewyższa tragedyą greckę głębokością i liczbą motywów psychicznych, choć ustępuje jéj bardzo pod względem czystéj typowości formy estetycznéj.

W czasach obecnych stosunki życia przedstawiają się w bardziéj zawikłanéj postaci: tyle nagromadziło się w nich wątpliwości, nierozwiązanych zagadnień, różnych palących kwestyi, iż każdy objaw życiowy budzi w umyśle pisarza mnóstwo poważnych myśli, skłania do głębszego zastanowienia się nad różnemi kwestyami etycznemi i społecznemi, co nadaje produkcyom nowoczesnym taką poważną formę i wyraźnie tendencyjny charakter.

Jeżeli jednak pewne formy poetyckie nie nadają się już tak dobrze do odtworzenia stosunków życia współczesnego, nie tracą one przez to swego znaczenia; owszem pozostają nazawsze w literaturze, jako pewne typowe formy estetyczne, w których odbija się to, co pozostaje w życiu niezmienne: zasadnicze cechy natury ludzkiéj oraz poczucie piękna, tkwiące w głębi artystycznego umysłu. Takie znaczenie zachowują zawsze epos i tragedya klasyczna, głęboki dramat Shakspeare'a, oraz artystyczna komedya Moliera i Fredry.

Czy komedya może być postawiona w jednym rzędzie z dwoma pierwszymi rodzajami twórczości dramatycznéj? Na pierwszy rzut oka wydaje się, że nie: żartobliwy, lekki charakter komedyi usuwa napozór wszelką możliwość porównania z poważnym dramatem i tragedyą. A jednak są zdania wprost przeciwne i to bardzo poważne. Schiller np. pod względem czysto estetycznym stawia komedyę wyżéj od tragedyi (1). Wychodzi on z tego założenia, że istotném zadaniem wszystkich utworów estetycznych jest wytwarzanie za pośrednictwem piękna wewnętrznéj harmonii w duszy ludzkiéj. W tragedyi wzniosła siła patosu narusza tę harmonią,

(1) Rozprawa p. t. Ueber naive und sentimentalische Dichtung. Schillers sämmtliche Werke. Stuttgard und Tübingen 1847; tom 12, str. 197.

dopiéro piękno jéj formy doprowadzić winno do równowagi uczucia wzburzone przez grozę sytuacyi patetycznych. Komedya wolna jest zupełnie od patetyczności: równowaga uczuć nie zostaje przez nią wcale naruszona; działa ona jedynie na umysł przez czyste piękno swéj formy; ponieważ zaś poczucie piękna tylko, nie zaś siła uczuć ma być miarą sądu estetycznego, więc z czysto-estetycznego stanowiska przyznać należy wyższość komedyi, choć tragedya może miéć większe znaczenie dla ogólnego rozwoju naszych władz psychicznych.

Zdania estetyczne Schillera zasługują na baczną uwagę: wiadomo, iż był on nietylko znakomitym poetą, ale nadto niepospolitym myślicielem. Atoli obecnie jego opinie muszą podlegać pewnym zastrzeżeniom. Estetyka Schillera opiera się na apriorystycznéj filozofii Kanta, która w naszych czasach znacznie straciła na swéj powadze. I w powyżéj przytoczoném zdaniu widać to apriorystyczne stanowisko: Schiller wychodzi tu z ogólnego pojęcia sztuki pięknéj i stosuje je dość bezwzględnie do utworów poezyi, dlatego może zbyt wielkie przypisuje znaczenie artystycznéj ich formie. Dzisiejsza estetyka wprost przeciwne zajmuje stanowisko; podobnie jak cała filozofia nowoczesna, boi się ona wszelkich pojęć *à priori* jak ognia, opierając się wyłącznie na doświadczeniu. Często jednak wpada w drugą ostateczność: szukając jedynie w danym utworze żywiołów poczerpniętych z doświadczenia, zapomina niekiedy całkiem o ogólnych zasadach estetycznych i lekceważy czysto artystyczną stronę w poezyi. A jednak ta ostatnia zachowa bądź-co-bądź zawsze swoje znaczenie, gdyż opiéra się na pragnieniu piękna, płynącém z najgłębszych pokładów duszy ludzkiéj. Różne doktryny estetyki naturalistycznéj mogą chwilowo zamącać czystość tego wrodzonego człowiekowi pragnienia, ale zagłuszyć go zupełnie nigdy nie będą mogły. Wielki poeta niemiecki, niezależnie od swego stanowiska filozoficznego, opierał swoje sądy na wewnętrzném poczuciu estetyczném i dla tego, jakkolwiek mogą one podlegać pewnym ograniczeniom co do swéj rozciągłości i wagi, zawsze jednak tkwić w nich będzie wielka doza prawdy. Tak się téż ma z przytoczoną wyżéj opinią. Jeśli nie możemy zgodzić się z Schillerem, aby artystycznie doskonała komedya mogła być uważana za najwyższe dzieło poezyi, to jednak musimy przyznać, że we właściwym sobie zakresie posiadać ona będzie zawsze pierwszorzędne znaczenie i może być postawiona w jednym rzędzie z tworami innych rodzajów poetyckich.

Atoli prawdziwie doskonała komedya jest zjawiskiem niezmiernie rzadkiém, niemal wyjątkowém. Schiller przypuszcza tyl-

ko możliwość takiéj komedyi, nie wskazuje jednak żadnego jéj wzoru. W rzeczywistości istnieją komedye, które zbliżają się mniéj lub więcéj do tego ideału, ale w bardzo niewielkiéj liczbie. Wynika to z natury przedmiotu komicznego. W tragedyi przedmiot unosi niejako poetę: jego powaga, zajęcie, jakie wzbudza, może wynagradzać braki formy; w komedyi przedmiot, sam przez się obojętny, nic nie przyczynia się do podniesienia wartości utworu; wszystko stanowi tu piękna forma; dla tego słusznie uważa Schiller, iż dla utworzenia dobréj komedyi potrzeba wyższéj, doskonalszéj indywidualności artystycznéj, aniżeli dla dobréj tragedyi.

Jeżeli jednak tak mało jest dobrych komedyi, za to lichych i miernych nigdy nie braknie. Przyczyną tego również natura przedmiotu komedyi: przedmiot tragiczny powagą swoją odstrasza już mierne talenta, przedmiot komiczny każdemu wydaje się dostępny. Rzeczywiście, nic łatwiejszego, jak odtworzyć w dramatycznéj formie jakiś obrazek z życia, zawierający kilka typowych rysów, okraszony szczyptą dowcipu i zaprawny będącą na czasie tendencyą. Setki tego rodzaju utworów przewijają się przez sceny naszych teatrów. Niektóre z nich nie są pozbawione wartości, a jeśli autor posiada nieco humoru, daru obserwacyi życia, jeśli umié pochwytywać dążenia chwili, mogą wzbudzić nawet żywe zainteresowanie. Ale nie są to właściwie utwory poezyi, podobnie jak nie są nimi te niezliczone powieści, które codziennie wychodzą z pod tłoczni drukarskiéj. Jest to literatura *sui generis*, właściwa naszym czasom, tandetna robota, która ma swoje znaczenie bieżące, rozpowszechnia bowiem czytelnictwo, popularyzuje wśród mas pewne idee i myśli, ale która nie może się zdobyć na utworzenie prawdziwych dzieł poezyi. Te ostatnie mogą być tylko produktem wyższego natchnienia, które nie zdarza się codziennie; w zakresie komedyopisarstwa rzadziéj aniżeli w każdym innym. Nawet prawdziwym mistrzom w tym kierunku niezawsze ono dopisywało: Moliere i Fredro, obok doskonałych komedyi utworzyli także wiele błahostek, niemogących rościć pretensyi do wyższéj wartości. Szczególniéj komedye Fredry bardzo nierówną mają wartość. Jest między niemi kilka prawdziwych arcydzieł, są utwory nacechowane wyższym talentem, ale niepozbawione znacznych wad, a zdarzają się téż takie, w których, oprócz wielkiéj dozy dowcipu i humoru, nic nie daje poznać fredrowskiego geniuszu.

Geniusz ten jaśnieje w całéj pełni w „Ślubach panieńskich“, najlepszéj niewątpliwie ze wszystkich komedyi Fredry. Niektóre z nich przewyższają może „Śluby“ pod pewnemi względami: „Zemsta“ niezrównaną plastyką wspaniałych typów przeszłości, „Jowialski“

niewyczerpanym humorem i obfitością komicznych sytuacyi; żadna jednak nie dorównywa „Ślubom“ pod względem doskonałéj równowagi wszystkich artystycznych i poetyckich warunków. „Sluby“ napisane są pod wpływem najszczęśliwszego natchnienia. Jest to typowa artystyczna komedya. Nie wykracza ona nigdy po za właściwą sobie sferę: nie ma w niéj ani cienia patosu lub kolizyi dramatycznéj, wolna jest od wszelkiéj tendencyi satyrycznéj; jedynym celem w niéj odtworzenie za pomocą kontrastów komicznych pewnych typów natury ludzkiéj, przyodzianych w urocze barwy poezyi i piękna. Gdyby Schiller mógł znać to arcydzieło naszego poety, to zapewne poczytałby je za idealną komedyę, o jakiéj marzył, a przynajmniéj za doskonały jéj wzór, bardzo zbliżony do ideału. Rzeczywiście, komedya ta może dostarczyć dowodu na to, jak możliwém jest, nie wykraczając po za granice czystego komizmu, głębiéj jednak wniknąć w naturę ludzką, ustrzec się wszelkiéj trywialności i banalnego humoru, zachować zawsze poczucie prawdziwéj poezyi i artyzmu.

Postaramy się w szczegółowym rozbiorze usprawiedliwić powyższą opinią.

Rozważmy przedewszystkiém charakter samego przedmiotu komedyi. Jest on bardzo prosty, pospolity nawet, nadający się ze wszech miar do komicznego traktowania.

Akcya rozgrywa się w skromnym dworku wiejskim, w najzwyklejszych warunkach codziennego bytu. Osnowę jéj stanowią dzieje miłości, rozwijającéj się w dwóch młodych sercach, jakby umyślnie dla siebie stworzonych. Miłość ta nie natrafia na żadne zewnętrzne przeszkody, nie prowadzi wcale do gwałtownéj kolizyi uczuć. Owszem, warunki zewnętrzne są dla niéj jaknajprzyjaźniejsze: wchodzi ona w dosyć prozaiczną rachubę dwojga poczciwych staruszków, pragnących (jak się to często zdarza w życiu codziennem) przez małżeństwo swych dzieci utrwalić węzły przyjaźni, łączące dwie życzliwe sobie rodziny. Cały interes akcyi stąd wynika, iż zacni staruszkowie, nie odznaczając się wcale przenikliwością umysłu, dosyć niezręcznie biorą się do rzeczy i natrafiają na niespodziany opór, wynikający z niezrozumiałéj dla nich całkiem bujnéj i niesfornéj rzutkości młodych umysłów. Atoli z góry można już przewidzieć, iż opór ten, niezbyt groźny, nie doprowadzi do jakichś bolesnych zawikłań; ma on czysto komiczny nie zaś dramatyczny charakter. Źródłem jego z jednéj strony naiwność i niedoświadczenie młodéj panienki, która w pięknéj główce—jak to zwykle u młodych panienek—Bóg wié co za dziwaczne roiła pomysły; z drugiéj strony burzliwa energia i żywość bogatéj natury młodzień-

czéj, która nie tak łatwo daje się powodować słabéj dłoni poczciwego stryjaszka. Czego nie może dokazać życzliwa chęć i rozumne wyrachowanie starszych, to dokonywa się przez samoistne działanie przyrodzonych praw natury młodzieńczéj. Zbliżenie dwóch istot, pełnych świeżego uroku i wdzięku młodości, budzi powoli wzajemne uczucie w ich sercach. Powstaje ono naprzód w sercu mężczyzny; napotkany niespodzianie opór potęguje jego siłę. Czynna energia męskiego uczucia wywiera nieprzezwyciężony wpływ na bierną naturę niewieścią. Stopniowo, niedostrzegalnie prawie rozwija się miłość dziewicza; z początku nieświadoma siebie, niewyraźna, następnie coraz pełniéj ogarniająca całą istotę uczuciowéj natury niewieściéj. Z chwilą porozumienia się tych dwóch serc wyczerpuje się interes akcyi; komedya kończy się małżeństwem, ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich działających osób.

Oto jest romans życia niesklamany w niczem, możnaby powtórzyć z poetą. Prosta, zwykła, powszednia historya starego jak świat a mocnego jak przeznaczenie uczucia. A jednak w téj tak pospolitéj osnowie, jak wiele głębokiéj prawdy życia, jakie skarby poezyi i artyzmu!

Przyjrzyjmy się kolejno psychologicznéj i artystycznéj stronie komedyi.

Nietrudno wynaleść zasadniczy motyw psychiczny działających osób; sam poeta wyraźnie go wskazał. Fredro na czele wszystkich swoich komedyi miał zwyczaj stawiać jako motto maksymy i przysłowia, wyjęte ze zbioru przysłów polskich, jednego ze swych przodków, słynnego statysty XVII wieku, Andrzeja Maksymiliana Fredry. Na czele „Ślubów panieńskich" wypisał jako godło następującą maksymę: Rozum mężczyzną, białogłową affekt tylko rządzi; oraz kocha, oraz nienawidzi; nie gdzie rozum, ale gdzie affekt tam wszystka. Powyższe zdanie zawiera rzeczywistą prawdę psychologiczną, nazbyt tylko może bezwzględnie i w sposób dosyć prostaczy wyrażoną. Niewątpliwie; umysł męski przewyższa niewieści zdolnością racyonalnego myślenia. Przyczyna tego tkwi w psychiczno-fizycznych właściwościach każdéj płci, wynikających z przystosowania się do odmiennych ról, jakie odgrywają w ogólnym procesie rozwoju życiowego. Jeden z najznakomitszych psychologów współczesnych, H. Spencer, w ten sposób właśnie objaśnia zasadniczą różnicę męskiéj i niewieściéj natury. Nie znaczy to, aby kobiety nie były zdolne do wyższego rozwoju inteligencyi, aby nie przewyższały w téj mierze nieraz mężczyzn; doświadczenie dostarcza nam mnóstwo przykładów nader wysokiego poziomu umysłowości kobiecéj. Jeśli jednak weźmiemy typy

mężczyzny i kobiety, stojących na tym samym poziomie rozwoju umysłowego, to w normalnych warunkach typ męski odznaczać się zwykle będzie większą siłą myśli, podczas gdy w typie kobiecym przeważać będzie strona uczuciowa.

Określony powyżéj motyw psychiczny rozwinięty jest w dwóch głównych postaciach komedyi—w Anieli i Gustawie, przedstawiających doskonałe typy męskiéj i niewieściéj natury.

Gustaw to typ bujnéj i bogatéj natury młodzieńczéj, któréj wewnętrzna energia, nieopanowana przez regulujący wpływ rozwagi i doświadczenia, wylewa się w niesfornéj werwie hulaszczego i nieopatrznego życia. Coś nakształt szekspirowskiego Henryka V w pierwszéj części trylogii. Podobnie jak bohater Shakspeare'a i nasz Gucio, wśród objawów lekkomyślnéj fantazyi młodzieńczéj, okazuje pewne przymioty umysłu i charakteru, pozwalające domyślać się w nim głębszéj i gruntowniejszéj natury. Posiada on wiele sprytu i bystrości umysłowéj, dzięki którym rządzi samowolnie swym poczciwym stryjaszkiem, poddającym się ze ślepą uległością wszelkim jego zachceniom. Jakkolwiek Gucio pustak jest i wietrznik, umié jednak czasem trochę poważniéj pomyśléć nad życiem; widać to np. z następujących słów:

Na małym świecie, co się wielkim mieni,
Gdzie każdy trwożnie po śliskiéj przestrzeni,
Jakby na szczudłach i w przyłbicy chodzi,
Tam, czém są ludzie, niechaj nikt nie bada.
Ale gdzie człowiek mało pozór ceni,
Przybranym kształtem nie chce i nie zwodzi,
Gdzie więcéj wola, niż rozum nim włada,
Tam chwytaj pendzel, wzór stoi gotowy.

Słowa te wprawdzie powiedziane są w sposób na pół żartobliwy, niemniéj jednak zawierają one myśl trafną, okazującą rozum skłonny do głębszego zastanowienia.

Obok inteligencyi znamienną cechą Gustawa jest sympatyczna niezmiernie i szczera serdeczność, widoczna w całém jego postępowaniu. Wprawdzie ściska on nieraz stryjaszka z wyrachowania, wiedząc, iż tym sposobem najłatwiéj go sobie zjedna, ale w tych objawach czułości tyle jest nieudanéj prostoty, tyle naturalnéj swobody, iż z nich już można poznać silną i wrażliwą uczuciowość. Ze wszystkich jednak znamion Gustawa, najbardziéj charakterystycznym jest ów niewysłowiony wdzięk młodości, który otacza całą jego postać, przebija w każdym słowie i ruchu, w niewyczerpanym zasobie humoru, dowcipu i wesołości. Od pierwszéj chwili pojawienia się na scenie tego żywego, ruchliwego chłopca, poznajemy w nim zaraz jednego z owych roztrzepańców i szałapu-

tów, którzy mimo wszystkich swoich wad ujmują nas i pociągają ku sobie pełnią młodzieńczego życia. Pośpieszam jednak dodać, iż nie należy mieszać Gustawa z tłumem owych tak pospolitych w naszéj literaturze szlachecko-buńczucznych postaci, w których żywość i fantazya młodzieńcza objawia się zwykle w towarzystwie idyotycznéj bezmyślności i rubasznego brutalstwa. Gustaw posiada inteligencyą, jak to już wyżéj widzieliśmy, nadto jest w nim jakaś dystynkcya, jakiś dobry ton, który utrzymuje go zawsze na pewnéj wyżynie estetycznéj; nawet objawy nadmiernéj pewności siebie w niektórych scenach z Radostem wolne są od pospolitego grubiaństwa i mają w sobie pewną gracyą, pewien takt estetyczny. Że zaś Gucio jest takim szałaputem, że w jego żywości młodzieńczéj tyle jest lekkomyślnéj fantazyi i niesfornéj buty, to znajduje swoje usprawiedliwienie w stosunku jego do Radosta, w warunkach jakie pod wpływem takiego opiekuna musiały towarzyszyć jego wychowaniu. Oczywistą jest rzeczą, iż poczciwy, kochający, ale ograniczony i słaby stryjaszek nie mógł pokierować odpowiednio tak bujną i żywą naturą, nie mógł ująć w karby i zwrócić w określonym kierunku wewnętrznéj energii. Fredro, stawiając swego bohatera wśród takich warunków miał na widoku—podobnie jak Shakspeare w Henryku V—przedstawić samodzielny rozwój natury psychicznéj, która z chaosu burzliwych zapędów młodzieńczych przekształca się w określony typ indywidualności męskiéj. Ażeby to przekształcenie było możliwém, potrzeba jakiegoś bodźca zewnętrznego, który, skupiając na sobie całą energią psychiczną, doprowadza do równowagi składające ją żywioły i nadaje jéj pewien stały kierunek. Dla Henryka V-go takim bodźcem stają się rozległe obowiązki publiczne, wynikające z jego stanowiska monarszego; w komedyi Fredry, gdzie zakres stosunków życia jest znacznie szczuplejszy, przeobrażenie duchowe pustego młodzika w myślącego mężczyznę, dokonywa się pod wpływem uczucia indywidualnéj miłości.

Uczucie to posiada u Gustawa czysto męski charakter. Tutaj sprawdza się pierwsza połowa maksymy Andrzeja Fredry: „mężczyzną rozum powoduje“. Rzeczywiście, rozumem i rozwagą nacechowane jest postępowanie Gustawa. Nie znaczy to, aby uczucie jego było ograniczone i hamowane przez zimny racyonalizm;—owszem kocha on silnie, poddaje się zupełnie uczuciu, ale nie traci przez to jasnéj świadomości siebie, dokładnie zdaje sobie sprawę ze swego stanu. Napotkawszy opór z męską energią postanawia go pokonać; w planie i wykonaniu intrygi, którą obmyślił ku temu celowi okazuje wiele zdrowego rozsądku, konsekwencyi i przenikliwéj

znajomości serca kobiecego. W zachowaniu się swojém w obec Anieli nie traci nigdy rozwagi i przytomności umysłu, zawsze panuje nad sobą i gdy potrzeba, umié nakazać milczenie wezbranym uczuciom. W przepysznéj scenie pisania listu, gdy dyktuje Anieli gorące wyznania miłosne, gdy uczy ją wymawiać słowo: kocham— uczucie gwałtownie wyrywa mu się z serca, lecz Gustaw tłumi je w sobie, opanowywa siłą męskiéj woli, aby przedwczesnem odkryciem nie zepsuć całego planu. Dzięki tak rozważnemu i umiejętnemu postępowaniu, Gustaw staje u celu swych życzeń: stopniowo w sercu Anieli wzbudza coraz to silniejsze uczucie, które w końcu zamienia się na prawdziwą i szczerą miłość. To téż pani Dobrójska, oceniając okazany w całéj téj sprawie bystry i przenikliwy rozum Gustawa, słusznie mówi do niego w ostatniéj scenie:

Ja cię rozumiem.
I szczęście córki powierzam ci śmiało.

Jeżeli jednak zasługuje na wysokie uznanie pełne prawdy i konsekwencyi przedstawienie sympatycznéj natury męskiéj w charakterze Gustawa, — to jeszcze więcéj podziwiać można mistrzowstwo autora, z jakiém w postaci Anieli odtworzył uroczy typ niewieści. Poeta umiał zachować najsubtelniejsze różnice w naturze męskiego i niewieściego uczucia. W roli Gustawa uderzającą jest pewna siła i brawura, główną zaletą roli Anieli nadzwyczajna subtelność rysunku, delikatne cieniowanie objawów uczuciowych; w Gustawie widzieliśmy jasną samowiedzę uczucia, przeciwnie, w Anieli jakaś bierność, jakaś dziewicza nieświadomość a obok tego niezrównana miękkość i wdzięk kobiecy. Mężczyzna panuje zawsze nad sobą i swymi uczuciami, niewiasta ulega im z zupełném poddaniem. „Affekt nią rządzi — jak mówi stara maksyma — nie gdzie rozum a gdzie affekt, tam wszystka“. Ale zarazem to uczucie, które przenika całą jéj istotę i czyni ją bierną i ulegającą męskiéj energii i woli, podnosi jéj indywidualność duchową, nadaje jéj szczególny urok słabości i wdzięku, przed którym musi się ukorzyć brutalna nieco i zuchwała siła mężczyzny.

W pierwszym dyalogu z Klarą (akt I. sc. 7) Aniela przedstawia nam się jako naiwna i niedoświadczona panienka, nieznająca świata i ludzi, która, za przykładem swéj buńczucznéj towarzyszki, z komicznym heroizmem postanawia nienawidzieć cały ród męski. Obok téj cechy ogólnéj można tu zaraz zaznaczyć specyficzne znamiona charakteru Anieli, wyróżniające ją od Klary: widać tu mianowicie w Anieli więcéj łagodności, dobroci serca, szczerego współczucia nawet dla błahych cierpień ludzkich; nadto zawsze okazuje ona więcéj umiarkowania, spokoju i zdrowego rozsądku, hamuje nad-

mierną energią zapalczywéj Klary. Pomimo jednak niezaprzeczonéj wyższości umysłowéj, jaką posiada nad Klarą, ulega jéj wpływowi; rys bardzo trafnie pochwycony: natury energiczne imponują zazwyczaj swą brawurą i pewnością siebie i dzięki temu osiągają nieraz przewagę nad innemi, pomimo nawet swéj niższości umysłowéj.

Daléj (akt 2, sc. 5) niezmiernie charakterystyczne jest zachowanie się Anieli wobec pierwszych wyznań Gustawa, które ten ostatni czyni z początku od niechcenia, następnie w miarę napotykanego oporu z coraz większem przejęciem i zapałem: Aniela zachowuje lodowatą obojętność, gdyż serce jéj nie zbudziło się jeszcze, żadne żywsze uczucie nie zamąciło jeszcze dziewiczego jéj spokoju, a w takich razach najczulsze kobiety bywają, jak wiadomo, oburzająco nielitościwe; współczucie bowiem dla cudzych cierpień, wynikających z jakiegoś nastroju uczuciowego, jest skutkiem osobistego doświadczenia odpowiednich stanów choćby w małéj bardzo mierze, przy zupełnym braku tego doświadczenia jest ono niemożliwe; głodnemu syty nie wierzy, jak mówi przysłowie. Dodać tu jeszcze należy, iż ta wyborna scena doskonale uzasadnia wzmożenie się miłości Gustawa: taka wzgardliwa obojętność, jaką tu okazuje Aniela, musiała stać się silną podnietą dla żywéj i ambitnéj jego natury.

Od 1-éj sceny 3-go aktu rozpoczyna się proces stopniowego rozwoju uczucia Anieli, przeprowadzony z nieporównaném mistrzowstwem i nadzwyczajną subtelnością rysunku. Z początku Aniela uczuwa tylko litość dla wymyślonego nieszczęścia Gustawa; przestrach, wywołany przez mniemany zamiar samobójstwa, wybornie maluje wrażliwą naturę młodéj panienki, łatwość, z jaką uwierzyła zmyślonéj przez Gustawa historyi, tłómaczy się niedoświadczeniem i naiwnością dziewczęcą. Powoli litość zamienia się w inne, silniejsze uczucie, Aniela sama nie wie jak i kiedy staje się zakochaną. Nie jasna jakaś świadomość możliwego szczęścia podzielanéj miłości budzi się w jéj umyśle. Pod wpływem wyznań miłosnych Gustawa, odnoszących się niby do innéj Anieli, mówi z zamyśleniem:

Dziwnie—i dziwnie! Brzmią mi jeszcze uszy
Słowami, dotąd nieznanemi duszy.
Jak on ją kocha! i pewnie nie zwodzi:
Wszystko, co powié, wzrok jasny dowodzi.
On z nią szczęśliwy, ona z nim szczęśliwa,
I na czémże im, na czém jeszcze zbywa?
Jednego słowa do szczęścia im trzeba,
A do jakiego, do jakiego! — Nieba!

W innéṁ miejscu z naiwną prostotą zaczyna powątpiewać o swéj nienawiści dla mężczyzn:

Nienawidzieć! Tak!—każda płeć, baje,
Ale nie tak to łatwo, jak się zdaje—
Z gniewu w nienawiść droga bardzo bliska,
Kiedy dotknęła jaka czynność zdradna,
Lecz kiedy czule kto nam rękę ściska,
Jak mamę kocham, nie potrafi żadna.

W scenie pisania listu, gdy Gustaw w żywych, pełnych poezyi wyrazach kreśli obraz szczęścia miłosnego, Aniela ulega nieświadomie wpływowi jego słów, zapomina o heroicznych ślubach, całkiem już jest owładnięta przez słodkie uczucie. W dyalogu z Klarą (akt 4, sc. 9) w naiwny bardzo ale żywy i dobitny sposób określa swoje wrażenia:

Nie wiesz jak miło, gdy czucia pieszczące
Z godnym zapałem męska pierś wygłosi:
To w uszach łechce, to coś w oczach parzy,
To biegnie, biegnie, jakby dreszcz po twarzy,
To z twarzy w serce, to jak krople wrzące,
Z serca się w górę, w górę, w górę wznosi,
I jak tu ściśnie, tak w gardle zadusi,
Że koniec końców westchnąć cię przymusi.

Wreszcie, czując się już na dobre zakochaną, ze smutkiem myśli o rozwiązaniu się całej sprawy i odjeździe Gustawa:

Radost porywczy, ale dobry w duszy
Prośbami, łzami na końcu się wzruszy —
Przebaczy—Gustaw odjedzie—a daléj?
Ja płakać będę, on się nie użali,
Zapomni...

Przytoczone powyżéj ustępy to tylko na chybił—trafił wybrane przykłady. Cała rola Anieli pełna jest prawdziwie mistrzowskich rysów; każdy szczegół w niéj godny uwagi: wszystko składa się na pełen naturalności i wdzięku obraz czysto kobiecéj natury.

Nie ulega wątpliwości, iż Aniela Fredry jest jedną z najwyborniejszych kreacyj niewieścich w naszéj literaturze. Pod względem doskonałéj typowości, oraz uroku poezyi, który ją otacza, może być porównana chyba tylko z Zosią z „Pana Tadeusza". Mają one wiele wspólnych rysów. I w *Zosi* główną cechą jest wdzięk prostoty dziewiczéj—i ona okazuje również w swych uczuciach brak jasnéj świadomości i bierne poddawanie się wpływom zewnętrznym; nawet miłość jéj, tak samo jak Anieli, rozpoczyna się od współczucia dla opuszczającego kraj Tadeusza. Nie może być jednak mowy o tém, aby Fredro naśladował Mickiewicza: najprzód, nigdzie w jego dziełach nie ma ani śladu wpływu szkoły mickiewiczowskiéj, tak, iż Spasowicz zalicza go nawet do epoki stanisławowskiéj, a inni hi-

storycy literatury naznaczają mu całkiem odrębne stanowisko w poezyi; następnie zaś, mimo podobieństwa tych dwóch kreacyj, pochodzącego po prostu stąd, iż obydwaj poeci pochwycili w nich zasadnicze rysy natury niewieściéj, można téż dostrzedz i znaczne różnice, wynikające z odmiennego sposobu traktowania ich ról. Zosia jest kreacyą epicką, Aniela—dramatyczną: stąd w pierwszéj przeważa charakterystyka zewnętrzna, polegająca na plastyczném przedstawieniu jéj postaci wśród rozmaitych stosunków zewnętrznych; druga przeciwnie scharakteryzowaną jest, jak widzieliśmy, przez wewnętrzny proces psychiczny, wreszcie najwyższe spotęgowanie środków poetyckich, czyniące Zosię doskonalszą kreacyą w bezwzględném porównaniu, jest już wyłączną właściwością geniuszu Mickiewicza, z którym nie może się równać żaden inny w naszéj literaturze.

W powyższym rozbiorze starałem się okazać psychologiczną prawdę i typowość dwóch głównych postaci komedyi; wzajemny ich stosunek może być jeszcze uwydatniony przez pewne porównanie z dziedziny sztuk plastycznych. Znany jest powszechnie piękny obraz Kaulbacha, przedstawiający Adama i Ewę wygnanych z raju. Artysta w tych idealnie pięknych figurach uplastycznił prototypy męskiéj i niewieściéj natury. Wspólnym ich rysem boleść i cierpienie w obec ciężkiéj doli ziemskiéj, jaką im zapowiedział gniewny głos boży; ale jakże odmiennie objawia się w nich to uczucie! Wspaniała, wyniosła postać Adama daje poznać siłę i energią męską: w ruchu głowy do góry wzniesionéj, w wyrazistém rozumném obliczu obok głębokiéj boleści widać jakby śmiałą groźbę, zuchwałe wyzwanie do walki, rzucone całemu światu. Zupełnie inaczéj przedstawia się Ewa: prześliczna, pełna wdzięku jéj postać wyraża najwyższą trwogę i przygnębienie; miękkim ruchem nagina się ku swemu towarzyszowi, jakby szukając opieki i obrony od jego silnego ramienia. Te znamiona, które malarz przedstawił w plastycznych kształtach, widzieliśmy odtworzone przez poetę w wewnętrznym rozwoju charakterów, z tą różnicą, iż tam uwydatnione są one w tragicznéj sytuacyi, odbijającéj w sobie smutną dolę ludzką, tutaj—w pogodnych i wesołych scenach codziennego życia; natura jednak ich jest ta sama: z jednéj strony świadoma siebie siła i energia, z drugiéj — bezwiedny wdzięk słabości kobiecéj, połączony z wrażliwą i delikatną uczuciowością. Dwa wzajemnie uzupełniające się typy, dające pełny obraz natury ludzkiéj.

Ale może tu kto zarzucić, iż zbyt wysoko stawiam fredrowskie typy, iż przeceniam ich doniosłość. Wszakże zakres ich uczuć i czynów nader jest ograniczony: energia Gustawa ma dosyć słaby

opór do pokonania, jego inteligencya rozwiązuje niezbyt trudne zadanie; z drugiéj strony uczucie Anieli nie wznosi się na jakieś szczególne wyżyny, nie wybucha potęgą namiętności, nie wstrząsa całéj jéj istoty psychicznéj.

Jest to zupełnie słuszne. Rzeczywiście sfera uczuć i dążeń postaci fredrowskich dosyć szczupła; bezwzględnie téż biorąc nie będą one nigdy miały téj doniosłości w poezyi, co takie kreacye w wielkim stylu, jak typ niewieści w Małgorzacie Goethego. lub męski w Manfredzie Byrona;—względnie atoli do estetycznych wymagań nie zmniejsza to wcale ich wartości. (Wartość estetyczna kreacyi poetyckich mierzy się nie bezwzględną ich siłą i wielkością, lecz zupełném i wyczerpującém odtworzeniem wszystkich cech, mogących znaleść pomieszczenie w téj sferze, jaką sobie zakreślił autor.\Temu warunkowi odpowiadają w zupełności postaci Anieli i Gustawa: ich indywidualności psychiczne w téj sferze, jaką obrał poeta, przedstawiają się we wszechstronnéj pełni wszystkich swoich charakterystycznych znamion: są one, można powiedzieć, wykończone najdokładniéj, do najdrobniejszych szczegołów—i to właśnie stanowi szczególną ich zaletę. Powiedziano raz trafnie bardzo o Mozarcie, iż był on wielki przez ograniczoność swych dążeń, osiągnął ideał piękna muzykalnego przez to, iż poświęcał dla niego nieraz rozległość uczuć i myśli. Można to w pewnéj mierze zastosować do będących w mowie kreacyi Fredry, jak w ogóle do całych „Ślubów panieńskich.“ Mamy dane tutaj głębokie, zasadnicze cechy natury ludzkiéj, wprawdzie w szczupłym zakresie, ale za to w doskonałéj pełni artystycznego wykończenia. Nasza uczuciowość nie zostaje wprawdzie żywo pobudzona, ale nasze poczucie estetyczne znajduje pełne zadowolenie. Taki właśnie powinien być charakter artystycznéj komedyi i w tém widział Schiller najwyższą jéj zaletę, wznoszącą ją ponad wszystkie inne formy poetyckie.

Powyżéj rozważaliśmy postaci Gustawa i Anieli jako pewne ogólno-ludzie typy; pozostaje teraz jeszcze zastanowić się nad odrębnością ich znamion narodowych. Każda kreacya poetycka musi posiadać pewne specyficzne rysy narodowe; te rysy nadają jéj wyrazistość i plastykę; bez nich mielibyśmy tylko jakiś ogólny schemat natury ludzkiéj, ale nie żyjące istoty z krwi i kości. Pewne, ogólne znamiona psychiczne wspólne są całemu plemieniu, rasie całéj wreszcie ludzkości, ale w każdéj poszczególnéj grupie etnicznéj przedstawiają się one zawsze w jakiémś charakterystycznem połączeniu. Abstrakcyjnie możemy wprawdzie wyosobnić ogólno ludzkie typy, ale, chcąc im nadać życie i wyrazistość plastyczną, musimy mniéj lub więcéj odtworzyć je z tą charakterystyczną od-

rębnością, z jaką one mogą tylko istniéć w rzeczywistości. Nawet takie na pozór kosmopolityczne typy, jak np. Faust Goethego, lub Manfred Byrona, obok znamion ogólno-ludzkich, zawierają pewne odrębne rysy, poczerpnięte z téj sfery społecznéj, w któréj żyli ich twórcy. W naszéj literaturze, która (jak to słusznie zauważył Brandes) tak wyróżnia się swoim charakterem narodowym, kreacye poetyckie muszą posiadać bardzo wyraźne jego znamiona.

Fredro nie różni się pod tym względem od ogółu naszych poetów: z małymi wyjątkami wszystkie jego kreacye są na wskroś narodowe; postaci „Ślubów Panieńskich" nie należą z pewnością do tych wyjątków.

Wszędzie wprawdzie napotkać można taką pełną życia i werwy naturę młodzieńczą, jaką widzimy w Gustawie, ale nie ulega wątpliwości, iż u nas jest ona najbardziéj typową. Taki typ musiał się przeważnie wytwarzać w narodzie rycerskim, którego cały żywot upływał w nieustannéj niezmiernie ruchliwéj działalności, który cały żył na zewnątrz w ciągłym wirze różnorodnych stosunków życia. Znaną jest powszechnie nieokiełznana fantazya, niesforna ruchliwość dawnéj szlachty polskiéj, swobodny humor i jowialna wesołość, połączone w dodatnich okazach szlachecko-narodowego typu z niezbyt głębokim wprawdzie, ale jasnym i trzeźwym rozsądkiem. Taka na wskroś narodowa postać, jak Rej z Nagłowic, przedstawia nam w najpełniejszéj mierze wszystkie te cechy; widzieliśmy je także w bohaterze Fredry. Zauważmy daléj, jak ten charakter narodowy przebija we wszystkich uczuciach i czynach Gustawa. Zdaje on sobie sprawę ze swoich uczuć, w postępowaniu kieruje się rozwagą, ale nigdy nie zapuszcza się w zbyt szerokie refleksye nad swym stanem, jakby to czynił np. jakiś niemiecki kochanek; miłość jego powstaje nagle; w postępowaniu jego widać zawsze gorącą i porywczą naturę. Widoczne to np. we wszystkich scenach z Radostem, a szczególniéj w dyalogu z Anielą, w którym Gustaw czyni pierwsze wyznania miłosne. Lodowata obojętność i spokój Anieli co chwila wywołują wybuchy jego niecierpliwości, zdradzające się w ruchach gwałtownych i słowach porywczych. Gdy Aniela udaje, iż nie rozumie jego słów, Gustaw zniecierpliwiony wykrzykuje:

> Co nie rozumiem? Jakto nie rozumiem?
> Nie chcę rozumiéć.

W ciągu całéj téj sceny Gustaw ciągle w ruchu: zrywa się, chodzi po pokoju, staje, siada znowu; sili się na spokój i cierpliwość, których nie może utrzymać.

Nie ma w Gustawie ani cienia skłonności do refleksyi, sentymentalizmu, ani śladu hamletowskiéj lub faustowskiéj natury, tych

typów tak sprzecznych z naszym charakterem narodowym;—prawdziwy to szlachecko-polski temperament, krewki, pełen buty i fantazyi.

Że Aniela posiada wiele charakterystycznych znamion kobiet polskich,—to zdaje się także bardzo widoczne;—już powyższe porównanie z Zosią Mickiewicza, tym tak zupełnie narodowym typem, z góry naprowadza nas na to przypuszczenie. Przyjrzyjmy się zaznaczonym wyżéj wspólnym cechom tych dwóch kreacyi. Przedewszystkiém, pewna bierność charakteru i miękki wdzięk niewieści. Zapewne, są to ogólne własności natury kobiecéj,—w sposobie jednak, jak one występują w bohaterkach Mickiewicza i Fredry, jest coś specyficznie polskiego. Widzimy np. iż pomimo téj bierności charakteru nie ulegają one tak łatwo miłosnym wrażeniom: Zosia i Aniela nie mogłyby przejąć się od razu taką ognistą, namiętną miłością jak Julia Shakspeare'a, lub poddać się tak bez żadnego oporu urokowi mężczyzny jak Małgorzata Goethe'go:—miłość rozwija się u nich powoli, stopniowo i zaczyna się od współczucia. Sądzę, iż takie, mało skłonne do silniejszych porywów uczuciowych usposobienie jest charakterystyczną cechą naszych kobiet. Przyczyną tego po części stosunkowo mniejsza żywość popędów, właściwa córkom północy, po części warunki domowego, przeważnie wiejskiego bytu, powodujące bardziéj umiarkowany rozwój psychiczno-fizyczny, a w najgłówniejszéj może części pewien wrodzony takt towarzyski, poddający wszelkie żywsze objawy uczuciowe pod ścisłą kuratelę form konwencyonalnych. Wiadomo, że pod względem towarzyskim stoimy dosyć wysoko;—powszechnie zresztą przyznają nam to cudzoziemcy,—nawiasem mówiąc zaszczyt niezbyt wielki, przymiot w ogólnéj sumie warunków społecznych dosyć podrzędny,—w stosunkach towarzyskich zaś królową jest niewątpliwie kobieta, na niéj téż najwyraźniéj okazuje się stopień ich rozwoju. Owo wyrobienie towarzyskie pozwala naszym kobietom zachować większą pewność siebie bardziéj samodzielne stanowisko w stosunku do mężczyzn; często, przytém można tu dodać, wystudza nadto ich serce, staje się źródłem egoizmu i zimnéj kokieteryi.

Wreszcie zauważyć należy jeszcze jednę stronę charakteru Anieli: mianowicie brak w niéj sentymentalizmu, pomimo wysoce rozwiniętéj strony uczuciowéj. Cóż to jest bowiem sentymentalizm? Jest to skłonność do pogrążania się w marzycielskiéj kontemplacyi własnych stanów uczuciowych. Otóż w Anieli nie dostrzegamy tego wcale. W przytoczonych powyżéj monologach przebija wprawdzie pewne lubowanie się w ogarniającém ją uczuciu, ale jest ono zbyt proste, zbyt naiwne, aby mogło być nazwane sentymental-

ném;—jest to raczéj bezpośredni, naiwny wyraz uczuciowego nastroju, aniżeli marzycielskie jego odbicie. W części pochodzi to z naiwnéj prostoty młodéj dziewczyny, umiejącéj czuć, ale niezdolnéj do zagłębienia się w siebie, w części jednak przebija tu również odrębność charakteru narodowego. Młode Niemki łączą zazwyczaj naiwność z sentymentalizmem: są one naiwne przez niedoświadczenie i nieświadomość rzeczywistych stosunków życia, sentymentalne zaś przez skłonność do zatapiania się w swoich uczuciach, skłonność, w któréj odbija się nastrój refleksyjny, znamionujący wogóle umysłowość germańską. Polacy, jak wiadomo, grzeszą prędzéj brakiem aniżeli nadmiarem refleksyi i stąd, ogólnie biorąc, sentymentalizm obcy jest typowemu charakterowi tak mężczyzn jak i kobiet polskich.

Przejdźmy teraz do drugorzędnych postaci komedyi. Przedewszystkiém druga para młodzieńcza: Albin i Klara, jest ona przeciwstawieniem pierwszéj i przez kontrast z nią uwydatnia charakterystyczne jéj znamiona. Gustaw i Aniela to normalne typy męskiéj i niewieściéj natury, Albin i Klara przeciwnie, przedstawiają pewne zboczenia od normalnego typu: Klara ze swoją zamaszystą energią i pewnością siebie—to prawdziwy *hic mulier*,—sentymentalny zaś i mazgajowaty Albin zasługuje zupełnie na nazwę mężczyznybaby. Atoli wartość tych kreacyi bardzo nierówna: rola Klary, tak przez swą psychologiczną jak i artystyczną stronę, należy do najlepszych w komedyi,—Albin jest widocznie przesadzony i karykaturalny.

Klara to doskonale uchwycony typ pełnéj życia młodéj panienki, w któréj ogromna doza samowoli i ostrego dowcipu w najzabawniejszy sposób łączy się z naiwnością i niedoświadczeniem dziewczęcém. Zawsze rezolutna, pewna siebie, wygadana, jest ona wybornym okazem typu, który w mowie potocznéj nosi nazwę kozaka-dziewczyny, a który szczególniéj u nas, przy wrodzonéj żywości naszych kobiet, nader często w życiu można napotkać. Oczywiście, przy takiém usposobieniu niemożliwa jest głębsza uczuciowość,—widzimy téż, iż Klara wcale nią nie grzeszy; tkliwy Albin nieustanne łzy leje nad nieczułością swéj okrutnéj kochanki.

W gruncie rzeczy jednak Klara, pomimo swéj bujnéj fantazyi, ma usposobienie na wskroś kobiece, i do niéj również stosuje się Maksyma Andrzeja Fredry, i nią téż afekt zawsze powoduje. Główném źródłem jéj kapryśnych fantazyi:—chęć przewodzenia nad innymi, chęć która aż nadto często spotyka się u kobiet i staje się przyczyną srogiego nieraz uciemiężenia mniéj energicznych małżonków. Komizm roli Klary spotęgowany jest przez nieproporcyo-

nalność téj chęci do możności:—zdołała ona wprawdzie osiągnąć przewagę nad również naiwną a mniéj energiczną Anielą, udaje jéj się przegadać poczciwą panią Dobrójską, opanować zupełnie niedołężnego Albina,—ale Gustawowi nie umie podołać; w zawziętéj szermierce słownéj, jaką z nim stacza, co chwila doznaje porażki; raz wprawdzie osiąga pewien tryumf, gdy Gustaw czyni ją powiernicą swych trosk miłosnych i wierzy niebacznie udanemu współczuciu, ale za to następnie, wywiedziona w pole zręczną intrygą musi chcąc-niechcąc broń złożyć,—przestraszona mniemaném niebezpieczeństwem traci wszelką fantazyą i ucieka się do zwykłego kobiecego środka, do płaczu. Jednem słowem Klara jest również doskonałym typem niewieścim jak Aniela, choć bardzo od niéj różnym. Kontrast tych dwóch charakterów utrzymany jest znakomicie do najdrobniejszych rysów, najsubtelniejszych odcieni—w każdéj scenie, w każdém słowie niemal malują się te odrębne indywidualności niezmiernie jasno i wyraźnie.

Pod względem estetycznym Klara jest również doskonałą: nie ma w niéj wprawdzie tego pełnego poezyi wdzięku dziewiczego, który stanowi główny estetyczny żywioł w roli Anieli, ale brak ten wynagrodzony zostaje przez niewyczerpany zasób dowcipu, humoru i wesołości. Pod tym względem Klara jest niezrównaną: jéj utarczki słowne z Gustawem, scena, w któréj, stając się powierniczką jego uczuć, tak dowcipnie je następnie wyśmiewa, nauki dawane Anieli, sceny z Albinem, wszystko to prawdziwe perły komizmu i humoru. Jeżeli Gustaw i Aniela zachwycają nas przedewszystkiém urokiem poezyi i piękna, to Klara i Albin reprezentują wybornie żywioł komiczny sztuki. Ta ostatnia para w swoim rodzaju byłaby równie doskonałą jak pierwsza, gdyby Albin wyrównywał Klarze: ale ten sentymentalny kochanek jest rzeczywiście, jak to już wyżéj zauważyłem, nadto karykaturalny. Sam pomysł téj postaci bardzo szczęśliwy, tylko wykonanie wadliwe. Że Albin jest niedołęgą i mazgajem, to nic nie szkodzi; nie brak takich okazów na świecie, kontrast takiego usposobienia z energiczną, prawdziwie męską naturą Gustawa doskonały; zestawienie go z żywym i fantastycznym charakterem Klary podnosi ogromnie komizm sytuacyi; przytém połączenie węzłami sympatyi takich sprzecznych natur nie zawiera w sobie żadnego nieprawdopodobieństwa: w życiu spotykamy nieraz przykłady podobnie anormalnych na pozór związków. Jedyną więc wadą roli Albina jest przesada w komizmie; gdyby te same cechy jego charakteru przedstawione były w sposób umiarkowańszy, byłby on doskonałą postacią tak pod względem psychologicznym jako téż artystycznym. Taki, jakim go zrobił autor, jest figurą

niezmiernie śmieszną, wielce się przyczynia do podniesienia komizmu sztuki, ale przynosi ujmę artystycznéj jéj stronie. Żyłka komiczna przemogła tu w poecie poczucie estetycznéj miary i prawdy psychologicznéj, co tém wyraźniéj daje się uczuć w obec wielkiéj piękności i prawdy wszystkich innych postaci komedyi.

Zarzut powyższy żadną miarą nie może się odnosić do dwóch innych figur drugorzędnych. Radosta i pani Dobrójskiéj: znaczna doza komizmu nie czyni w nich ujmy naturalności i prawdzie. Szczególniéj poczciwy stryjaszek Gucia jest nadzwyczaj komiczny ze swoją sztucznie przybraną surowością, z ciągłemi morałami, które zawsze się kończą nowym wylewem czułości dla niepoprawnego pupila, z tą ciężkomyślnością, wskutek któréj nigdy nie może się połapać wobec zawiłych sytuacyi, wytworzonych przez sprawki Gucia. A przy całym swym komizmie jak to prawdziwa i jak sympatyczna postać. Zacna, poczciwa, serdeczna natura; porywcza a jednak pozbawiona energii, miękka jak wosk a czuła jak mimoza, nie bez zdrowego rozsądku, ale ciężkiéj i ograniczonéj pojętności—typ ogólnie bardzo prawdziwy, u nas prawdziwszy niż gdzieindziéj: pozory energii przy zupełnym jéj braku, temperament gorący a jednocześnie miękki i słaby, nader to częste u nas pojawy.

Charakterystyka Radosta we wszystkich scenach bardzo dosadna. Weźmy np. scenę 6-ą II-go aktu. Radost, nierozumiejąc zupełnie dziwacznego postępowania Gucia, rozpoczyna surową indagacyą. Gucio, chcąc się od niéj wykręcić, prawi jakieś bezsensowne frazesy, mające niby wszystko wyjaśnić, w końcu, gdy to nie pomaga, udaje obrażonego nieufnością stryja, gniewa się niby, chce wszystko rzucić i odjeżdżać; przestraszony tym nagłym wybuchem Radost udaje, że już zrozumiał, już wierzy wszystkiemu, wreszcie serdeczne uściski Gucia starczą za ostatni argument i ostatecznie rozbrajają czułego stryjaszka. Wyborny jest téż Radost w przedostatniéj scenie 5-go aktu, gdy z groźną miną zaczyna strofować Gucia, ale odrazu zbity zostaje z toru jego pewnością siebie, musi się na wszystko zgodzić, choć właściwie znowu nic nie rozumie z tego, co się stało. Wogóle Radost, podobnie zresztą jak wszystkie postaci „Ślubów", jest śmieszny bardzo, ale sympatyczny zarazem:—śmieszy nas swym komizmem, ale ujmuje i chwyta za serce prawdziwém i szczerém uczuciem, w którém odbija się jego dobra, poczciwa natura.

Niewielka rola pani Dobrójskiéj, mniéj zasobna w sytuacye komiczne, pełna jest jednak rysów dosadnéj charakterystyki, typ zacnéj a przytém dosyć pospolitéj matrony wiejskiéj bardzo wyraźnie w niéj zarysowany. Dobra, poczciwa matka Anieli, mająca wle-

le zdrowego rozsądku, bystrzejszego nieco niż Radost umysłu, podobnie jak on jednak niezbyt jest energiczna, i ma tak samo skłonność do prawienia rozumnych, ale bezskutecznych morałów. W sc. 9-éj aktu 1-go wywiązuje się stąd sytuacya nadzwyczajnie komiczna. Pani Dobrójska, pragnąc w prostocie ducha udzielić Gustawowi zbawiennéj nauki, prawi wymownie o tém, jak nie należy szukać zabawy w nieustannéj wrzawie, jak poważne zajęcia winny zapełniać nasz czas i usposabiać do znajdowania przyjemności w spokojnych i umiarkowanych rozrywkach itp.; nie wątpiąc zaś, że te rozumne zdania trafią do przekonania Gucia, z góry wyraża nadzieję, iż potrafi on także bawić się wśród ciszy i spokoju wiejskiego życia; tymczasem Gucio, słuchając tych morałów, daje dowód jak się doskonale bawi, gdyż zasypia w najlepsze. Komizm téj sceny doskonale uwydatnia skutek, jaki wywierają zwykle rozumne ale oklepane komunały moralne.

Zwróćmy teraz uwagę na ogólny stosunek występujących w komedyi osób. Uderzającą jest doskonała symetrya w ich ugrupowaniu. Na pierwszym planie widzimy dwie główne postaci, w których odbija się zasadniczy motyw sztuki: uzupełniające się wzajemnie żywioły męskiéj i niewieściéj natury, podniesione do ideału estetycznego przez poetyczne piękno swych objawów. Drugorzędne figury przez kontrast uwydatniają jeszcze bardziéj charaktery głównych osób. Porywcza Klara ze swym sentymentalnym wielbicielem to okazy pewnego zboczenia od normalnych typów, przedstawianych tak doskonale przez Anielę i Gustawa; p. Dobrójska i Radost wyobrażają spokojną rozwagę i banalny dosyć, lecz trzeźwy rozsądek starszego wieku, wobec nadmiernie wybujałych, nieopatrznych, ale pełnych świeżości i wdzięku objawów siły młodzieńczéj.

Takie ugrupowanie osób czyni układ komedyi bardzo jednolitym:—wszystko w niéj odnosi się do głównego przedmiotu, szczegóły drugorzędne służą zawsze do uzupełnienia głównych rzeczy. Stąd wynika, iż jedność akcyi w „Ślubach" doskonale jest zachowana. Główną w niéj rzeczą stosunek Gustawa i Anieli: stopniowy rozwój wzajemnéj ich miłości. Komiczna miłość Albina dla Klary stanowi akcyą epizodyczną, która pozostaje w ścisłym związku z główną; Gustaw w swéj intrydze zużytkowywa zręcznie ten stosunek: przez zbuntowanie Albina i zastraszenie Klary ułatwia sobie osiągnięcie zamierzonego celu; wszelkie wreszcie pragnienia i usiłowania pani Dobrójskiéj i Radosta zmierzają do skojarzenia związku Anieli i Gustawa, zwracają się zatém wyłącznie w kierunku głównéj akcyi. Takim sposobem cała sztuka posiada doskonałą jedność organiczną. Nawet owe dwa inne warunki dramatycznéj je-

dności, do których dawna szkoła klasyczna tak wielką przywiązywała wagę: jedność miejsca i czasu ściśle są w „Ślubach“ zachowane.

Dzisiaj, jak wiadomo, straciły one całkiem swe znaczenie, a jednak trzeba przyznać, iż nie były tak zupełnie pozbawione racyi bytu, tak niedorzeczne, jak to dziś skłonni jesteśmy mniemać; niewątpliwie przyczyniały się do nadania całéj kompozycyi pewnéj ciągłości, czyniły ją bardziéj jednolitą i zamkniętą w sobie. Oczywiście o ile pedantyczne stosowanie tych wymagań krępowało swobodę natchnienia poetyckiego, zmuszało do tworzenia sztucznych i naciągniętych sytuacyi, o tyle zasługiwały one zupełnie na potępienie i słusznie wykluczone zostały z rzędu istotnych warunków kompozycyi dramatycznéj; jeśli jednak natura akcyi nadaje się do zamknięcia jéj w ścisłych granicach miejsca i czasu, tém lepiéj wychodzi na tém całość utworu.

Pod względem jednak rozwoju akcyi czyniono „Ślubom“ pewne zarzuty. Prof. Tarnowski zauważył (1), (zastrzegając wszelako, iż nie przywiązuje wcale wielkiéj wagi do swych zarzutów), że ekspozycya jest nieco za długa, skoro intryga zawiązuje się dopiero w końcu II-go aktu (sc. 7, monolog Gustawa), podstęp Gustawa, będący podstawą dalszéj akcyi, niedość jasno oznaczony, wreszcie zakończenie zbyt szybkie na wspak zawiązaniu. Rzeczywiście zarzuty to bardzo małoważne; przytém pierwszy wydaje mi się nawet całkiem niesłusznym. Podstęp Gustawa nie jest jedynym przedmiotem głównéj akcyi, chybabyśmy trzymali się staréj definicyi Boileau'a, iż główną akcyą utworu dramatycznego/stanowi jedno zdarzenie wypełniające całą jéj osnowę. Definicya ta jednak, dosyć niedorzeczna nawet w zastosowaniu do pseudo-klasycyzmu, traci témbardziéj wszelki sens wobec dzisiejszych pojęć estetycznych. Główna akcya—to szereg faktów pozostających w przyczynowym związku z sobą, między któremi jedne są ważniejsze, inne mniéj ważne, ale które to mają wspólnego, iż uwydatniają nam bezpośrednio charakterystyczne cechy głównych postaci utworu, oraz zasadniczą myśl w nim zawartą. Ekspozycyą, tak jak ją pojmuje pan Tarnowski tj. w odróżnieniu od istotnéj akcyi, można nazwać tylko takie sytuacye, które nam przedstawiają jedynie zewnętrzne warunki akcyi, ale w niczém nie przyczyniają się do charakterystyki. A czyż takie są sytuacye w dwóch pierwszych aktach „Ślubów“? Sądzę, iż żadną miarą nie można tego powiedziéć: każda scena, każdy wyraz niemal jest tam niezmiernie charakterystyczny: nic prawie nie dałoby się ująć lub skrócić bez szkody dla całości. Podstęp Gu-

(1) Komedye Al. hr. Fredry, trzy odczyty publiczne.

stawa stanowi najważniejsze ogniwo akcyi; wszystko jednak, co go poprzedza: dyalogi z Radostem, scena ślubów, wyborny epizod zaśnięcia Gustawa, a szczególniéj niezrównane sceny Gustawa z Anielą i Klarą przy końcu 2-go aktu: wszystko to służy do umotywowania tego podstępu i wogóle dalszego postępowania Gustawa. Że zamiar jego, będący podstawą całéj intrygi, zaznaczony jest nie dość wyraźnie,—to się nie da zaprzeczyć, błąd to atoli bardzo drobny, dotyczący jedynie czysto zewnętrznéj techniki scenicznéj.

Nieco donioślejsze znaczenie ma ostatni zarzut prof. Tarnowskiego, dotyczący zbyt szybkiego zakończenia komedyi. Rzeczywiście zyskała by ona, gdyby niektóre końcowe sceny szerzéj trochę były rozwinięte; odnosi się to szczególniéj do ostatecznego wyjaśnienia między Gustawem i Anielą. Scena to niewątpliwie bardzo piękna: pełna wdzięku naiwność i prostota Anieli żywo nader w niéj się maluje; ale byłaby ona jeszcze piękniejsza, wzbudzałaby nierównie żywsze zajęcie, gdyby uczucia obojga kochanków znalazły w niéj pełniejszy wyraz. Zbyt także nagle i niezupełnie szczęśliwie umotywowane jest rozwiązanie stosunku Albina do Klary: ta ostatnia, zgodnie ze swym upartym charakterem, powinnaby nieco silniejszy stawić opór i uledz raczéj konieczności aniżeli popędowi serca, który wobec karykaturalnego komizmu Albina trudny jest do wiary.

Z drugiéj strony jednak trzeba przyznać, iż, pomimo tych wad, zakończenie komedyi, szczególnie odnośnie do głównéj akcyi, naturalne jest i konsekwentne bardzo. Cały interes, jaki wzbudza intryga, zostaje wyczerpany, charaktery działających osób dochodzą do pewnego kresu w swoim rozwoju,—los ich jest ustalony: jednem słowem, komedya osiąga zupełne i wszechstronne wykończenie. Szybkość, z jaką następują po sobie sceny rozwiązania, jakkolwiek przynosi pewną ujmę kilku pojedyńczym momentom akcyi, z drugiéj strony jednak nadaje jéj niezwyczajną żywość i werwę. Przytém dodać należy, iż rozwiązanie „Ślubów“ odpowiada zupełnie naturze i charakterowi prawdziwéj komedyi: pozostawia wrażenie wesołe, harmonijne, takie właśnie, jakie powinna wywoływać każda czystokomiczna kompozycya.

Ostatnia uwaga stosuje się nie tylko do zakończenia ale wogóle do całéj osnowy „Ślubów“; wszędzie panuje w niéj niczém niezmącona pogoda i wesoły, humorystyczny nastrój; w przebiegu akcyi nie znajdujemy ani jednego momentu ściśle dramatycznego; uczucia działających osób nigdy nie osiągają gwałtownego natężenia; nie ma nigdzie usilnéj walki z zewnętrznemi przeszkodami. I tak np. Gustaw w 5 scenie II-go aktu dotknięty jest wprawdzie żywo obo-

jętnością Anieli, ale nie bierze wcale rzeczy tragicznie, nie wpada w desperacyą, z góry pewny jest zwycięstwa; następująca zaś bezpośrednio potém scena z Klarą, wystawia jego kłopoty miłosne w bardzo komicznėm świetle. Krótki ale charakterystyczny bardzo monolog Anieli w scenie 6-éj aktu V-go, wyraża wprawdzie rzewny smutek z powodu przewidywanego odjazdu Gustawa, lecz smutek ten objawia się w łagodnym nastroju lirycznym i daleki jest od tragicznego cierpienia, niebawem zaś przybycie Gustawa i wyjaśnienie całéj intrygi zamienia go w radość podzielanéj miłości. Że lamenty Albina, kłopoty i zmartwienia Radosta, gniew i łzy Klary, wywoływać mogą tylko komiczne wrażenie—to jest oczywiste: w tém wszystkiém nie ma ani cienia patosu; komizm panuje tu wszechwładnie. Ale komizm w „Ślubach" nie przechodzi nigdy (z wyjątkiem może kilku ustępów roli Albina) w bezmyślną krotochwilność pospolitéj farsy: zawiera on w sobie zawsze żywioły prawdziwéj poezyi i piękna. Z drugiéj strony jednak nie ma w nim również żadnéj poważniejszéj i głębszéj myśli satyrycznéj. Widoczną jest rzeczą, iż „Śluby" nie są satyrą. Satyra tam się tylko znajduje, gdzie twórczość poetycka wywołana jest przez subiektywne uczucia oburzenia, niechęci, lub przynajmniéj pogardliwéj ironii względem objawów życia, będących przedmiotem przedstawienia. W „Ślubach" nie dostrzegamy wcale tych uczuć. Poeta przedstawia swe figury w świetle komicznėm, ale zarazem otacza je widoczną sympatyą: pewne zboczenia i nieprawidłowości w ich ustroju psychicznym, będące źródłem kontrastu komicznego, nie są tu przedstawione jako coś złego w sobie, lecz jedynie jako nadmierne spotęgowanie pewnych cech natury ludzkiéj, posiadających jednak wysoką estetyczną i moralną wartość: w Gustawie, Anieli i Klarze jest to świeżość i siła uczuć i porywów młodzieńczych, w pani Dobrójskiéj i Radoście—nadmiar dobroci i serdecznego przywiązania. Obok tego są w nich wprawdzie pewne cechy ujemne: zbytnia naiwność młodych panienek, nadmierna buta i fantazya w młodym chłopcu, wreszcie dosyć ciasny rozum u przedstawicieli starszego pokolenia, ale te wady są w pewnéj mierze nieodzownym wytworem danych warunków życia, przytém nie one stanowią istotne znamiona charakterów, lecz owe wyżéj zaznaczone dodatnie i sympatyczne rysy. Zresztą pamiętać należy, iż w głównych postaciach komedyi, w Gustawie i Anieli, owe burzliwe zapędy i niedojrzałe rojenia młodzieńcze, stanowiące źródło komizmu, to tylko przejściowe fazy w rozwoju charakterów, które w ostatecznych konsekwencyach prowadzą do wytworzenia prawdziwie pięknych i normalnych typów natury ludzkiéj. Jednėm słowem, istotną rze-

czą w „Ślubach“ jest nie satyra lecz artystyczne odtworzenie charakterów: komizm jest tu żywiołem dramatycznym nie zaś satyrycznym.

Zachodzi tu pytanie, jakim sposobem komizm może być żywiołem dramatycznym? Istotne zadanie dramatu polega, jak wiadomo, na uwydatnieniu indywidualności charakterów przez wystawienie kontrastu ich z otoczeniem. Jeśli ten kontrast wznosi się do wysokiego natężenia, wtedy powstaje właściwa kolizya dramatyczna, a w dalszéj konsekwencyi tragiczne patos; jeśli zaś nie posiada na tyle siły, aby z niego wynikła walka i cierpienie jednostki, wtedy mamy sytuacyą komiczną; różnica więc między komizmem a dramatycznością w ścisłém znaczeniu leży nie w istocie rzeczy a w stopniu.

Oczywistém jest, iż w kolizyi dramatycznéj występują zazwyczaj głębsze, istotniejsze znamiona charakterów: w walce i cierpieniu muszą się okazać w całéj pełni wewnętrzne siły duszy ludzkiéj; kontrast komiczny uwydatnia zwykle bardziéj zewnętrzne, powierzchowne znamiona. Ale nie zawsze tak się dzieje; podniosłe charaktery niezawsze występują w podniosłych sytuacyach. W życiu sytuacye dramatyczne są stosunkowo rzadkie; duchowe siły jednostki wyjątkowo tylko osiągają prawdziwie dramatyczne natężenie, gdyż czynniki zewnętrzne wyjątkowo tylko przeciwstawiają się im z taką potęgą, aby mogły wywołać walkę dramatyczną; najczęściéj zdarzają się w życiu drobne, ale nieustanne starcia, w których niedostrzegalnie prawie wyczerpuje się duchowa siła najszlachetniejszych natur. W takich warunkach łatwiéj oczywiście o komiczny kontrast, aniżeli o dramatyczną kolizyą. Często komiczną jest pewna sytuacya jedynie dla tego, iż brak w niéj materyalnych warunków dramatycznéj walki, chociaż zawierają się po temu moralne warunki.

Najlepszy wzór takiego rodzaju komizmu widzimy w „Don Kiszocie“ Cervantesa lub w „Mizantropie“ Moliera. Natury podniosłe i głębokie; sprzeczność między ich indywidualnym nastrojem a pospolitemi warunkami bytu wywołuje wrażenie komiczne dla tego jedynie, iż w daném położeniu nie mają one pola do rozwinięcia prawdziwie dramatycznéj akcyi, jakkolwiek posiadają potrzebne do niéj zasoby duchowe: „Don Kiszot“ w innych warunkach mógłby stać się prawdziwym rycerzem bez zarzutu i trwogi, Alceste—bohaterem prawdy. W pewnéj mierze można to samo powiedzieć o głównych postaciach „Ślubów“: w młodzieńczéj energii i bystrości umysłowéj Gustawa możemy dostrzedz zarodki prawdziwie męskiéj, rozumnéj woli, uzdalniającéj człowieka do walki z ży-

ciem i losem; w uroczéj postaci Anieli widnieje siła miłości i współczucia, odbijająca w sobie najszlachetniejszą treść natury niewieściéj, przez którą zdolna ona wznieść się do prawdziwego bohaterstwa.

Atoli kreacye fredrowskie różnią się téż bardzo od wyżéj wspomnianych: w tamtych widzimy rozstrój między szlachetną jednostką a pospolitém otoczeniem, zbliżający się do tragicznego patosu—w tych ani śladu patetyczności, kontrast komiczny, wywołany nie przez zasadniczą sprzeczność między usposobieniem jedno- i zewnętrznemi stosunkami, lecz przez chwilowe zawikłanie tych stosunków; tam komizm graniczy ze wzniosłością—tutaj uszlachetniony zostaje przez piękno: w obydwu wypadkach wznosi się po nad sferę pospolitéj jowialności, na prawdziwie estetyczne wyżyny. „Śluby“ utrzymują bardziéj charakter artystycznéj komedyi, który polega, jak wiemy, na uwydatnieniu pewnych typów natury ludzkiéj przyobleczonych w piękną formę, bez wywołania silniejszych wzruszeń. „Mizantrop“, jakkolwiek nie wzbudza prawdziwie patetycznego wzruszenia i stąd pozostaje jeszcze zawsze w granicach komiczności, oddziaływa jednak silnie na naszę uczuciowość, „Śluby“ pozostawiają nasze uczucia w spokoju, a pomimo tego wzbudzają wysokie zajęcie przez niezrównaną prawdę i piękno swych postaci: u Moliera więcéj siły, głębsze wejrzenie w życie—u Fredry za to więcéj harmonii i spokoju. A właśnie w tych ostatnich cechach tkwi istota artystycznéj komedyi, przez nie wyróżnia się ona zasadniczo z pośród innych rodzajów dramatycznych, przez nie, wedle przytoczonego wyżéj zdania Schillera, staje się ona w zakresie poezyi najdoskonalszém wcieleniem piękna artystycznego: piękno bowiem, to harmonia i spokój, doskonała równowaga wrażeń, wywołanych przez formę przedmiotu.

Jednakże trzeba tu dodać pewne zastrzeżenie. W poezyi czyste piękno formy nie może mieć tak doniosłego znaczenia jak w innych sztukach pięknych; forma nie oddziaływa w niéj tak bezpośrednio na zmysły, a zatém nie może być tak żywo odczuwana; przytém zakres twórczości poetyckiéj znacznie rozleglejszy; myśl i uczucie dominują nad formą: w nich tkwi najistotniejsza wartość utworu poetyckiego.

Powodując się tém przekonaniem z pewném zastrzeżeniem tylko przyjęliśmy owo zdanie Schillera, w którém tak wysoko podniesioną została komedya ze względu na możliwość urzeczywistnienia w niéj najzupełniejszéj mierze warunków piękna. Z tego téż powodu nie myślimy stawiać komedyi Fredry na szczycie poezyi, obok utworów największych naszych wieszczów; brak w niéj tego

żywiołu, w którym urzeczywistnia się najwyższe zadanie twórczości poetyckiéj: szczytnego polotu uczucia i myśli, który podnosi dusze ludzkie do idealnych sfer, rozpłomienia serca, porywa je do rzeczy wzniosłych i wielkich.

Nie przyznając jednak utworowi Fredry tak wyniosłego stanowiska, nie możemy mu odmówić nader wysokiéj, pierwszorzędnéj wartości. Potęga twórczéj myśli i uczucia, która wznosi poezyą po nad wszystkie sztuki piękne, jest wprawdzie najwyższą jéj cechą, ale nie jedyną: artystyczne piękno, harmonia i wykończenie, cechy wspólne poezyi z innemi sztukami, należą także do istotnych jéj znamion. Te cechy odnajdujemy w nader wysokim stopniu w „Ślubach panieńskich", podniesione nadto niezrównaną, wielce charakterystyczną prawdą życiową, uwydatnione doskonałą plastyką przedstawienia, ożywione wreszcie niewyczerpanym zasobem humoru, dowcipu i wesołości.

Z tych względów, jako utwór niepospolicie piękny, jako doskonały typ pewnego kierunku twórczości poetyckiéj, musimy uznać „Śluby" za produkt wyższego natchnienia i słusznie możemy to arcydzieło komedyi polskiéj zaliczyć do arcydzieł poezyi polskiéj.

Walery Gostomski.





JEDEN DZIEN Z ŻYCIA ULICZNIKÓW LWOWSKICH.

— Władku! Naczku! gdzie was dyabli noszą?

— Lézie jeden z drugim, jak Lelum i Polelum!

— Świniaki! Mówią, że o pierwszéj będą na miejscu, a tu już prędko drugiego bić będą (1).

— Dać im w kark po razu, niech się uczą słowa dotrzymywać!

— Sponiewierać im front!

— Zakobzać ich po pod szczeble! (2)

— Zajechać im między lipki, żeby im aż Wojtek zakapował! (3)

Takie wykrzykniki i delikatne propozycye słychać było z wielkiéj hałaśliwéj gromady dzieci ulicznych na jednéj z odludnych ulic Lwowa, pewnego pięknego jesiennego dnia. Dzieci umówiły się właśnie zrobić wspólną wycieczkę na Pełczyńskie „góry"—na tarki, pieczarki, głogi, przy okazyi także na kartofle, marchwie, brukwie, które można było namuchrać (4) z przyległych zasadzonych pól. W lasku wóleckim miano zapalić ogień, piec kartofle i grzyby—wogóle całe popołudnie, spędzone na swobodzie, pośród bogatéj jesiennéj przyrody, według słów aranżera Stefka, niedawno wypędzonego z warsztatu terminatora stolarskiego, miało być „przyjemném, jak sto dyabłów".

Dzieci zgromadziły się już od godziny, ale nie wyruszały pomimo nalegań niektórych zbyt niecierpliwych. Stefko, chłopak już prawie pod wąsem dzierżący przewództwo nad tą całą gromadą jedynie na mocy swéj przeważnéj siły fizycznéj, wstrzymywał ha-

(1) W żargonie uliczników znaczy—druga bić będzie. —(2) Poszturchać ich po pod żebra.—(3) Uderzyć ich między oczy, żeby im aż księżyc zaświecił. — (4) Nakraść.

łaśliwą zgraję, dopóki nie zbiorą się wszyscy uczęstnicy zamierzonéj wycieczki. Osobliwie potrzebni mu byli Władek i Naczek, dwaj bracia bliźniaki, wyrostki, liczące po dziewięć lat, znane ze swéj zręczności i chyżości. Nikt z całéj kompanii lepiéj od nich nie umiał uporać się w ogrodzie, lub pośród drzew owocowych, nie potrafił zręczniéj umykać przed pogonią, korzystać z najnieznaczniejszych kryjówek i z bogatszemi wracać łupami. Nie dziw więc, że w oczach Stefka, biorącego sprawę wycieczki czysto ze strony praktycznéj, Władek i Naczek byli uczęstnikami niezbędnymi i że wolał całą godzinę wstrzymywać niecierpliwą rzeszę na miejscu, niż bez nich w pole wyruszać.

Wreszcie oczekiwani pokazali się na skręcie ulicy i zostali przywitani gradem gróźb, wyrzekań i żartów.

— Gdzieżeście u dyabła tak długo siedzieli?—pytał ich Stefko, gdy stanęli śród kompanii.

— Musieliśmy czekać na obiad. Wojciechowa rano gdzieś tam na chrzcinach była, wróciła dopiéro o jedenastéj i to już podochocona. To nasamprzód *póki* nas obu wybiła, potém póki się z mężem wykłóciła, daléj nim ogień rozpaliła i kartofle do barszczu zgotowała, to i pierwsza minęła.

— A za cóż was biła?

— Abo ja wiem—odparł Władek. — Dalibóg nie wiem, czy za kocię, czy za mléko.

Cała kompania zaśmiała się głośno.

— Jak to, czy kocię może mléko zjadlo?

— E, gdzie tam! — spokojnie odrzekł Władek — zachorowało kocię na brzuch, pewnie od tych zgniłych ogórków, cośmy je wczoraj nimi napchali. Radzimy się dziś rano oba: czémby kocięciu pomóc, bo szkoda, jakby miało zdechnąć. Mówi Naczek: wiész co, skąpmy je w mlékul Dobrze, mléko pomaga, osobliwie gdy ciepłe. A nasza stara, wiécie, ma grajzlernią, to i mléka codzień rano gruby garnek kupuje, upraży i sprzedaje na półkwaterki. I dziś tak samo. Uprażyła ona to mléko, odstawiła na bok, a sama zebrała się i poszła na chrzciny, a swego głuchego Wojciecha zostawiła w grajzlerni, niech sprzedaje. Nam tylko tego trzeba było. Zaraz my chorę kocię z pieca, pomacali mu puls — oho, kiepsko! Koniecznie trzeba léczyć. Ano, wziął Naczek za ogon, ja za głowę, kocięcisko ci tylko łapki rozkraczyło i cicho. Pytam się ja Naczka: a co Naczku, czy pomału zanurzać, czy od razu? A Naczek mówi: kto wié, może to uroki, to trzeba od razu, by się przelękło, to i uroki się przelękną i ustąpią. Myślę sobie: ma racyą. Jak hukniemy ci leciuteńko kocię do mléka, jak kocię od razu nie miauknie, niby

wściekłe, jak nie chwyci mię pazurami za rękę, ja jak się nie zlęknę i nie trzepnę ręką, a moje kocię całe zatonęło w mléku, tylko Naczek za ogon trzyma. Potrzymał chwileczkę, wyciąga, a kocięcisko ci całkiem gołe jak bęben, a spuchnięte jak beczka, tylko para z niego idzie. Rozumié się, że nie żywe, bo mléko, psiakość, było jeszcze prawie kipiące, tak że od razu wszystka sierść z niego oblazła i w garnku pozostała. Na masz!—mówię do Naczka—otośmy kocięciu dali radę. E — mówi mi Naczek—bajka kocię, ale co będzie z mlékiem? Z mlékiem?—powiadam ja.—Idź, głupi, co ma być z mlékiem. Mléko stara przecedzi i sprzeda po półkwaterce, ale kocięcia szkoda. Zaczęliśmy się kłócić, czego większa szkoda, czy mléka, czy kocięcia i poszliśmy na sąd do głuchego Wojciecha. Ale nimeśmy mu wytłómaczyli, o co rzecz idzie, aż już i Wojciechowa przyszła i zobaczyła cośmy narobili.

To opowiadanie Władka, wygłoszone całkiem niewinnie, a nawet nieco patetycznie, od początku do końca wywoływało nieustanne wybuchy śmiéchu w całéj kompanii. Stefko aż się za boki brał. Nawet Naczek, stojąc z boku, uśmiéchał się dobrodusznie, nie tyle z samego opowiadania, ile z radości z powodu tryumfu brata, który między wszystkimi ulicznikami znany był ze swego humorystycznego talentu.

— No i cóż — zapytał Stefko, uśmiawszy się do syta — rozsądziła Wojciechowa wasz spór?

— Nie! — odrzekł Władek prawie z płaczem.—Wybiła nas, co prawda dobrze, ale na moje pytanie, za co nas właściwie karze, czy za kocię, czy za mléko, dała mi w pysk i koniec na tém. Ale ciągle myślę, że jéj kocięcia większa szkoda, bo mléko stara czarownica rzeczywiście zaraz przecedziła — pewnie, że dziś jeszcze sprzedawać będzie.

— To stara czarownica!—rozległy się dokoła krzyki dziatwy.— Taż to choroba nie mléko!

— Owa! nie bójcie się—odrzekł mitygując Władek.—Wié ona, co robić. Mléko jeszcze raz przegotuje, zmięsza z czystém pół na pół, i nikt ani pozna, że się w niém chore kocię ugotowało.

Całą kompanią niezmiernie ubawiło to opowiadanie. Śród głośnych śmiechów i żartów ruszyli wszyscy pod dowództwem Stefka ku cytadeli, powtarzając między sobą na różne sposoby i z różnemi dodatkami Władkową powieść o kocięciu i jego oryginalném leczeniu. Tylko autorowie tego wesołego opowiadania, Władek i Naczek, nie brali udziału w powszechnéj wesołości. Szli oni na czele *towarzystwa*, po obu stronach Stefka, pilnie słuchając planu

kampanii, jaki tenże na dziś ułożył i w którym im ważne role przypadały w udziale.

— Wiész co, Władku — mówił Stefko, nachylając się na prawo — ty pójdziesz o tam na kartofle. A ty Naczku — tu Stefko nachylił się na lewo—pójdziesz na brukiew.

— Nie — odrzekli chłopcy obaj w jeden głos — my pójdziemy obadwa razem.

— Ale w takim razie zostaniemy bez brukwi!—zawołał Stefko.

— Bierz dyabli brukiew Kartofle starsze od brukwi. A kiedy ci się tak chce brukwi, to idź sam albo poślij kogo innego.

— Kogo tu posłać, kiedy to wszystko taki drobiazg, takie niezdary! Najlepiéj by było, gdyby jeden z was...

— Nie, o tém nie ma co mówić!—rzekł stanowczo Władek. — My tylko razem chodzimy.

Stefko wiedział już o tém nie od dziś, ale mimo to próbował jeszcze raz nakłonić malców, by się rozłączyli. Wszelkie namowy były jednak bezowocne. Chłopcy, zdawało się, ani wyobrazić sobie nie mogli, żeby gdzieś się ruszyć jeden bez drugiego. Za to obaj razem szli jak w dym nawet na niebezpieczniejsze wycieczki i zwykle wychodzili cało.

— Prawdziwi z was Lelum i Polelum—rzekł Stefko, klepiąc ich obiema rękoma po plecach.—Ani sposób was rozłączyć!

— A chyba ty nie wiész — rzekł ożywiając się nagle Naczek, który dotychczas więcéj milczał — że nasza matka jak umiérała, to nam wyraźnie tak nakazała!

— Jak wam nakazała? — pytał zaciekawiony Stefko.

— A tak nam nakazała, żebyśmy się broń Boże, jeden drugiego nie puszczali. „Pamiętajcie mi — mówiła — wszędzie i zawsze trzymajcie się razem! Bóg was razem na świat powołał, Bóg wam też szczęścić będzie, dopóki się razem trzymać będziecie". No, a skoro tak, to sam widzisz, że nam oddzielnie iść nie wypada.

— *Przezemnie*, idźcie obaj razem — rzekł Stefko, nie znajdując na taki dowód żadnéj odpowiedzi.—A z brukwią już my sobie jakoś poradzimy.

Z szumem i hałasem przebiegła gromadka obdartéj, bosćj i zamorusanéj dziatwy przez groblę Pełczyńskiego stawu i rozsypała się po krzakach okrywających przeciwległe wzgórza.

Ożyły wzgórza od częstych krzyków, nawoływań i przekleństw, które bardzo nienaturalnie brzmiały w dziecięcych nieraz ustach Ale cóż, ulica jest także pewnego rodzaju szkołą, gdzie ton i słownik jest dla wszystkich jednakowy i obowiązkowy.

— Władku! Naczku! — wołał Stefko, wdrapawszy się już na szczyt pagórka, z którego mógł swobodnie obejrzéć sąsiednie pola. Władek i Naczek byli już przy nim.—A więc wiécie już, dokąd macie iść?

— Wiemy, wiemy!

— A uważajcie dobrze! Tam i kukurydza jest!

— I kukurydzy nałamiemy.

— Tylko trzeba dobrze szpanować, bo w kukurydzy może żłob kymać (1), żeby was nie zaścignął.

— Nie bój się, nic nam się nie stanie! — zawołali bracia i pobrawszy się za ręce, puścili się cwałem z góry na pole.

— A wiécie, dokąd potém iść—wołał za nimi Stefko.

— Wiemy, wiemy! Do wóleckiego lasku! — wołali w odpowiedzi chłopcy i wkrótce schowali się w grządkach zasadzonych wysoką kukurydzą. Jak w wodę wpadli w gąszcz sytéj, szeleszczącéj zieleni. Stefko długo spoglądał z góry, czy nie dojrzy jakiego ich śladu, ale nadaremnie. A przecież pole zasadzone kukurydzą wcale nie było tak obszerne, bo wynosiło zaledwie dziesięć grządek. Za kukurydzą szła dopiéro szersza połać kartofli.

— Gdzie się te odmieńce podziać mogły?—mruczał sam do siebie Stefko, usiłując nadaremnie swemi oczyma z odległości przeniknąć w gąszcz kukurydzy.

— I co tam tak długo robią? Czemu kartofli nie kopią?

Ale w téj chwili przerwał pasmo swych pytań i aż w dłonie klasnął ze zdziwienia. Na przeciwległym końcu kartoflanéj połaci z pośród wysokich rządków i napoły zeschłych badyli mignęła mu czarna, krótko ostrzyżona głowa jednego z braci.

— Widzisz ich! buchackie dusze — zawołał Stefko pełen zdziwienia.—Ja myślał, że oni jeszcze w kukurydzy, a oni już całe kartofle splądrowali! No, nie chciałbym ja słuchać tego, co żłob (2) powié, gdy na swéj niwie zobaczy ślady ich roboty!

Lecz w téj chwili pasmo rozmyślań Stefkowych jeszcze raz przerwane zostało wcale niespodziewanym sposobem. Z pośród kukurydzy wychyliła się potężna, barczysta postać właściciela i odcieła braciom odwrót. Za późno krzyknął Stefko z góry, by ich ostrzec. Właściciel zobaczył już obu młodych złodziejów i również krzyknął do pracujących w oddali robotników:

— Trzymaj: Łapaj złodziei!

— Trzymaj! Łapaj! —rozległo się naraz z różnych stron.

---

(1) Trzeba dobrze pilnować, bo w kukurydzy może chłop leżéć.

(2) Chłop.

— A tuście mi, ptaszki!—zaryczał właściciel, postępując z rozkrzyżowanemi rękoma ku braciom, jak gospodyni, która chce naraz dwie kury pojmać.

Chłopcy wypłoszeni ze swych kryjówek zerwali się razem na równe nogi i w pierwszéj chwili stali jak odrętwieni. Władek rozpędził się, by biedz ku potokowi, ale z za potoka już nadchodziła pogoń. Zatrzymał się i nagle jak kula rzucił się ku bratu, który z wybladłą twarzą i zagryzionemi wargami ciągle jeszcze stał na miejscu, mierząc okiem wielkość niebezpieczeństwa.

A gospodarz zwolna, z rozkrzyżowanemi rękoma, czerwony i groźny, zbliżał się ku nim.

— Razem na niego, Naczku! Wal mu głową w brzuch, żeby się na miejscu przewrócił! — krzyknął Władek, i obaj bracia, niby wypuszczeni z procy, rzucili się ku gospodarzowi. Ale przeliczyli się. Zamiast walnąć go głowami w brzuch, natknęli się na potężne, żylaste ręce, które od razu chwyciły ich obu za kołnierze.

— Aha, mam was!—zawołał radośnie gospodarz i potrząsł obu młodymi przestępcami tak gwałtownie, że tym aż kości w karku zatrzeszczały i w oczach po sto świéc zabłysło.

— Jeszcze nie masz, psia twoja mać była! — pisnął Władek, któremu aż łzy stanęły w oczach. Naczku, wal go głową w brzuch jak ty to umiészl

Naczkowi nie trzeba było nawet gadać. Zaledwie stanął dobrze nogami na ziemi po gwałtownêm wstrząśnieniu, a już ustawiwszy swą krótko ostrzyżoną głowę jak bodący baran, z całéj siły uderzył gospodarza czołem pod bok tak gwałtownie i niespodzianie, że tenże aż stęknął i chwycił się lewą ręką za bok, wypuszczając z niéj kołnierz Naczka. Ale w téj chwili krzyknął głośno z bólu i podniósł prawą rękę ku ustom: ręka broczyła krwią z długiéj i głębokiéj rany, zadanéj mu przez Władka nożem w dłoń.

— A dyabli by was pobrali, bachory przeklęte!—zaklął nieborak w ślad za uciekającymi braćmi, splunął. i ze stoickim spokojem wydobył z zanadrza chustkę i zaczął nią zawiązywać skaleczoną rękę.

A chłopcy tymczasem, jak wicher wpadli w kukurydzę, tylko badylami załomotali.

— Trzymaj! Łapaj złodziejów!—zawołali sąsiedzi, którzy właśnie nadbiegli na pomoc poszkodowanemu właścicielowi.

— E, dyabła wy ich złapiecie,—rzekł właściciel. — Nawet się nie trudźcie.

Niech sobie pohulają. Już ja im dam za swoje.

I rzekłszy to, przytrzymał zębami jeden koniec chustki, by módz zdrową ręką zawiązać węzeł na skaleczonéj dłoni.

— Co wam takiego zrobili?—pytali sąsiedzi.

— Ta ot patrzcie, chwyciłem ich obu za karki, myślałem sobie: cóż, dzieci. Byłbym ich trochę przetrzepał i puścił. Dyabeł ich wiedział, że to już takie małe, a takie ćwiczone w złodziejskiém rzemiośle. O, pewnie z nich żaden swoją śmiercią nie zginie!

— No, no, i cóż wam zrobili?— pytali sąsiedzi, więcéj ciekawi złodziejskiéj sztuczki chłopaków, niż ze współczucia ku poszkodowanemu.

— Ta ot widzicie co! Jeden z tego dyabelskiego nasienia jak mi walnął głową w bok, pod same serce, to o małom nie zemdlał. Zdaje mi się, że mi tam parę żeber złamał. A drugi w téj saméj chwili wydobył nóż i rozfałatał mi rękę aż do kości.

— A! — krzyknęli jednym głosem sąsiedzi. — Oto dziateczki! Żeby nie urosły większe! Żeby im się ojciec powiesił! Żeby i ślad ich zaginął!—No, patrzcie ludzie dobrzy, co to dziś za pokolenie wyrasta. Jezu Nazareński, nawróć was gdzie na złamanie karku, ale nie między naród chrześciański!

Takie mniéj lub więcéj pobożne życzenia rozlegały się z gromadki ludzi, co obstąpiła poszkodowanego właściciela. Ten stał pośrodku nich, blady, ale spokojny i wodził oczyma po swéj niwie, oceniając zniszczenie, wyrządzone mu w kartoflach przez zuchwałych uliczników.

— No, i patrzcie ludzie, co mi te szelmy szkody narobiły, — rzekł gdy ucichły bezcelowe wyrzekania kumów i kumoszek. Na guldena bym się nie patrzył. No, i powiédźcie, jak tu żyć przy takiéj zgrai? Ale nie, ja im tego nie podaruję! Ja im pokażę, którędy ścieżka w groch. Oni myślą, że ja będę za nimi biegał po debrach, jak waryat. Nie, niech sobie, lecą,— ja ich znajdę w samém gnieździe. Na szczęście wiem, gdzie ich szukać. To téj grajzlerki na Garncarskiéj urwipołcie—nie wiem, czy synaczki, czy wychowanki, ale dla mnie to wszystko jedno. Zapakuję ja ich do karmelitów, niech się tam trochę przesiedzą i już huncwot moje imie, jeżeli im tam nie wygarbują skóry.

Nie tak jeszcze byłby śpiéwał właściciel, gdyby był wiedział, co robią chłopcy, uszedłszy jego rąk. W rowie granicznym, który oddzielał jego kukurydzę od tłoki, między łopuchami leżałała cała kupa nałamanych szyszek kukurydzy, parę wielkich brukwi i kupa kartofli. Do tego téż składu skierowali swe kroki zbiegi, a obładowawszy się, mimo blizkości poszkodowanego, nakradzioną jarzynę, poleźli razem w przyległy jar, a jarem w górę ku swym towarzyszom.

A Stefko z góry, ukryty za krzakiem tarniny, widział całą tę historyą, widział jak bracia wpadli w ręce właściciela, jak mu się wyrwali i znikli wśród kukurydzy. Odtąd minęła dobra chwila, a chłopców nie było. Już Stefko myślał, czy nie przelękli się i nie uciekli do domu, gdy w tém z dna jaru, który otwierał się tuż u jego nóg, posłyszał lekkie psykanie.

— Pst, pst!

— Kto tam? — zawołał, nachylając głowę w stronę skąd szedł głos....

— Czy to ty, Stefku?—posłyszał stłumiony głos Władka.

— Ja, a co tam?

— Chodź tu, pomóż nam zabrać. A prędzéj!

Nie namyślając się długo, Stefko na łeb na szyję rzucił się w dół po stroméj ścianie jaru. Potłukł się porządnie, zdrapał sobie twarz o jakieś zielsko, pokrwawił ręce któremi się starał utrzymać, ale za to w jednéj chwili był na dnie jaru, i sapiąc ciężko, stał obok braci.

— Nie lecą za nami?—zapytali bracia w jeden głos.

— Nie, nikt nie leci. A wy co tu macie?

— Jak to co? To, po cośmy chodzili. Na, bierz, pomóż nam nieść i chodźmy prędko do lasu!

Stefko stał osłupiały na widok łupów, przyniesionych w takiéj obfitości mimo tak groźnego niebezpieczeństwa.

— Dyabeł w was siedzi! —zawołał. — Przecież was żłob miał w ręku! I nie baliście się jeszcze to brać?

— Bać tośmy się bali, bo gdyby był chciał za nami lecieć, to byłby nas mógł złapać. Ale znowu jakeśmy narwali, to grzech było zostawiać.

— No, a jakżeście się wyrwali od żłoba.

— Ha, ha, ha!—zaśmiał się Władek.—Popamięta on nas! Widzisz, tym majchrem (1) rozfałatałem mu rękę jak polędwicę!

— A ja, jakem mu kabznął makówką (2) pod szczeble, to pewniem mu ze dwa złamał!

— A on sobie pomyślał, że za dużo dwa grzyby w barszcz i puścił nas na fraj.

— Ha, ha, ha!— zaśmiał się Stefko. — Zuchy z was, niema co mówić. Ho, będzie trojenie (3), aż się wszyscy dyabli rozradują. Ano, hołota, do lasu!

---

(1) Nożem. — (2) Głową. — (3) Jedzenie.

To mówiąc, Stefko gwizdnął na swą kompanią, i kryjąc się po jarach, pospieszyli ku poblizkiemu laskowi.

Nie minęło i pół godziny, a już w odległym zakątku lasu, w jarze, u stóp rozłożystego dębu, palił się ogień z suchych gałęzi i liści, piekły się w zarzewiu kartofle i obrane z liści szyszki kukurydzy, a Stefko siedząc na grubym korzeniu, jak jaki król wydawał rozkazy i obdzielał siedzącą dokoła ogniska dziatwę równo pokrajanemi kawałkami brukwi.

Naczka i Władka znowu niéma w kompanii. Razem z dwoma innymi chłopakami poszli na grzyby — nikt tak dobrze nie zna w tym lesie polanek i krzaków, gdzie zawsze mimo licznych amatorów grzybobrania, można znaleść kilkanaście ładnych gołąbków, surojadek i innych grzybów przydatnych do pieczenia. Zanim powrócą, kompania przegryza po kawałku brukwi, ale najlepsze, najsoczystsze kawałki leżą na stronie, na zielonym łopuchu, zachowane dla zbierających grzyby. Kartofli ani kukurydzy przed ich przyjściem nikt jeść nie śmié: upieczone już kawałki odkładają na bok, w gorący popiół.

Boże, jak cudnie dokoła! Cisza, słoneczko grzeje łagodnie, chyląc się już ku zachodowi. Stare dęby stoją, wyciągając w górę swe potężne ramiona i grzeją się do słońca. Tylko zadumana brzoza nad jarem posmutniała i niby łzy złote, bez wiatru roni swe pożółkłe liście. Dzięciół zastukał w konarze. Kapią od czasu do czasu na pół dojrzałe żołędzie z dębów, a tylko czasem, ledwie dosłyszalny doleci do tego samotnego ustronia głos blaszanego dzwonka na szyi u krowy, która się pasie gdzieś tam za gościńcem, w zubrzańskim zrębie. Dzieci mimowoli zamilkły, słuchają lekkiego trzeszczenia ogniska, patrzą dokoła szeroko rozwartemi oczyma, w których z pod grubéj kory miejskiego zepsucia, przedwczesnego sieroctwa, nędzy i zaniedbania prześwieca szczera radość, to chwilowe, ale czyste szczęście, jakie wlewa w duszę ludzką piekna przyroda. Oto maleńka, żółtawa myszka leśna wybiegła ze swéj norki, zwabiona ciepłem i ciszą leśną usiadła na pniu pod gęstym krzakiem leszczyny i nagle niby skamieniała, utkwiwszy oczki w niewidziany nigdy krwawy blask płonącego ogniska, podniosła nawet ku pyszczkowi swe drobne, aksamitne łapki, jak gdyby chciała się bliżéj przypatrzyć dziwnemu zjawisku, wreszcie ruszając żywo białemi wąsikami skoczyła na krzak leszczyny, chwyciła wiszący na gałązce orzech i w mgnieniu oka skryła się ze zdobyczą w swéj norze. Dzieci z niemym podziwém spoglądały na śliczne zwierzątko, ale nikt ani śmiał krzyknąć, tém mniéj rzucać za niém patykami, by go nie spłoszyć. Po co płoszyć? Przecież ono nikomu nic złego nie robi, i dzieci również w téj

chwili nie chciały nikomu nic złego robić. To nie zgraja lwowskich uliczników i obszarpańców, aspirantów do kryminału i szpitali, wyrzutków społeczeństwa, to kupka dobrych, cichych dzieci, pragnących pieszczot i miłości, zdolnych do wszystkiego co dobre i szlachetne, tuliła się w jarze u korzeni potężnego starego dębu przy ognisku. Niestety, ognisko to zgaśnie wkrótce, przecudny dzień dobiegnie do końca, chwila upojenia ciszą i pięknością przyrody minie, a społeczeństwo jak było, tak i pozostanie obojętném na losy owych wyrzutków, jak było tak i pozostanie dziesięćkroć skłonniejszém do zemsty i kary, niż do miłości, przebaczenia i pięczołowitości matczynéj.

— Hurra!—rozległ się głośny okrzyk z drugiéj wąwozu strony i z zielonéj gęstwiny, niby szczupaki z szuwaru, wynurzyły się zaczerwienione, obszarpane, z rozczochranemi włosami, ale wesołe postacie chłopaków. Czapki nieśli w ręku, a w każdéj czapce pełno grzybów.

— Hurra!—powitała ich cała kompania.

— Oto klawe jandrusy (1)! Szpanujcie, ile grzybów namuchrali!

— Żeby was kaczka kopła! gdzieżeście na takie śliczne gołąbki napadli?

— Nie, ja mówię, te bestje mają do wszystkiego szczęście. Rzuć ich ze strychu, to pewnie tak jak kot zawsze na nogi upadną

— Wybierz im oczy, to tak jak ten bogacz będą plecyma widzieć! Śród takich radośnych okrzyków cała kompania obstąpiła uszczęśliwionych chłopaków. Osobliwie Władek i Naczek byli w honorach, do nich skierowane były wszystkie powyższe delikatne przemowy, oni byli, że się tak wyrazimy bohaterami dnia. Zabrano od nich grzyby, które pod okiem Stefka zaczęto czyścić i piec, odłamawszy każdemu korzonek i posypawszy to miejsce obficie solą. Grzybów było tyle, że na każdego z towarzystwa wypadało po trzy sztuki, a nadto zostało się jeszcze po jednéj dla Stefka, Władka i Naczka. Rozdział grzybów, jak i wszystkich innych rzeczy dokonywano hurtownie, śród kłótni i hałasu, ale z największą sumiennością i z uwzględnieniem wszelkich możliwych wymagań sprawiedliwości. Tylko Władek i Naczek, w poczuciu swéj zasługi nie mieszali się do tych sporów, ale siedzieli u ogniska pod dębem, smacznie zajadając pozostawione im kawałki brukwi i radośnie

---

(1) Dzielne chłopcy.

opowiadając o swéj wędrówce po lesie za grzybami; słuchała ich pilnie, z wytrzeszczonemi oczyma, z otwartemi usty kupka najmłodszych w kompanii chłopaków, pięcio lub sześcioletnich bębnów, którzy z zazdrością i podziwem patrzyli na każdy krok braci, chwytali każde ich słowo, i zapewne całą noc, leżąc, gdzieś po brudnych, cuchnących i wilgotnych kątach swych nędznych pomieszkań, marzyć będą o tych cudach przyrody, o przygodach śród leśnéj zieleni, o tych przyjemnościach i rozczarowaniach grzybobrania, które w téj chwili tak wymownie malują im, dopełniając się wzajemnie Władek i Naczek.

— Kukurydza gotowa! Héj do kukurydzy, bachory! — woła Stefko, i wszyscy rzucają się ku niemu. Za kukurydzą idą kartofle pieczone z grzybami—pańska potrawa, jak się wyraził któryś z towarzystwa. Wszystko to spożywa się śród głośnych śmiéchów, żartów i dobroduszych docinków. Ten wspomina swój „dom", swoich „starych" rodziców czy opiekunów, ów klnie majstra, co go wypędził z terminu, inny wyśmiéwa szkołę i szkolarzy, — jedném słowém, konwersacya toczy się ogólna, ożywiona, suto przeplatana plastycznemi dowcipami w ulicznym języku. Dzieci, które przed chwilą jeszcze były tylko dziećmi, stworzeniami w rzędzie innych stworzeń przyrody, teraz nieznacznie ale kompletnie przemieniły się w przedstawicieli pewnéj klasy społecznéj, pewnego typu ludzkiego i dobitnie wyjawiły wszystkie osobliwości tego typu.

Słońce już zaszło, gdy wesoła, gwarliwa gromadka po pamiętnéj wycieczce wracała do Lwowa. Gromadka rozbiła się na grupki, które szły sobie swobodnie, nie słuchając już żadnéj komendy, tém więcéj, że Stefko obładowany dość znacznemi resztkami niespożytych kartofli (przydadzą się na głodne jutro), szedł z samego tyłu. Dziwna rzecz, że Władek i Naczek szli samotni i przygnębieni, jak gdyby nagle spadli z téj wysokości, na któréj znajdowali się przed chwilą. Nikt się jakoś nimi nie zajmował, nikt nie starał się wciągnąć ich do swéj grupy, szli osobno, jeden obok drugiego i milczeli. Im więcéj zbliżali się do Lwowa, tém silniéj wzmagało się w nich uczucie jakiegoś niepokuju, jakiéjś trwogi, coś, co niby czarna, w gromy brzemienna chmura, przy swém zbliżeniu nasyca powietrze elektrycznością i wywołuje niezwykłe napięcie i drganie w nerwach ludzi i zwierząt. Żaden z braci nie starał się wyjaśnić sobie przyczyny tego niezwykłego i nieprzyjemnego stanu; na dnie dusz dziecięcych kłębiło się ciemne poczucie winy, ale świadomość wzdrygała się zerwać z niéj ostatnią zasłonę.

— Władku—rzekł Naczek, gdy już zbliżali się ku ulicy Garncarskiéj,—jak myślisz, bardzo nas będzie Wojciechowa całować, gdy nas zobaczy po tak długiém niewidzeniu?

Ton i słowa miały oczywiście intencyą wprowadzenia Władka w lepszy humor, ale chybiły celu, już chociażby dla tego, że były wypowiedziane chłodno, oczywiście po długim i mozolnym namyśle.

— Et, co tam o tém gadać! — odrzekł poważnie Władek.— Co będzie, zobaczymy.—Lecz i jego myśl wcale nie była tak stoicką, jak jego słowa, przeciwnie, pracowała usilnie, tworząc fantastyczne plany, jak by to i gdzie by to się tak schować, żeby nikt a nikt nie mógł ani jego, ani Naczka zobaczyć, żeby grożąca biéda— jaka, od kogo i zaco, o tém starał się nie myśléć— minęła, a oni by jéj ze ze swéj bezpiecznéj kryjówki na nosach zagrali. I poszły sceny za scenami, jak to oni żyją sobie, przez nikogo nie widziani, sami wszystko widząc, wszędzie mając dostęp: biorą co im się podoba, wszystko mają, za nic nie płacą, robią co chcą i śmieją się z wszelkiéj biédy. A tymczasem nogi, mimo że co chwila stają się jakieś ociężalsze, nieświadomie i niby przeciw ich życzeniu niosą ich naprzód, ciągle naprzód, coraz bliżéj do celu, do mieszkania ich opiekunki Wojciechowéj. Już wychylili się z za pagórka, u ich stóp cały Lwów rozsypał się w półksiężyc na dnie doliny, lewek na ratuszu miejskim błyszczy i gore w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, zegar bernardyński wydzwania siódmą, biją w deski mularze na feierabend, gdzieś koło św. Mikołaja; półprzezroczysty, niebieskawy tuman ściele się nad miastem i zléwa się w oddali z ciemną zielenią gestego lasku na Wysokim Zamku. Ale cóż to za naród stoi tłumnie na Garncarskiéj, tuż przed grajzlernią Wojciechowéj? Mężczyzni i baby, drwale z piłkami i toporami, mularz z kielnią, służąca z dwiema konewkami wody, Bojko ze śliwkami w koszyku, „handełes" z przewieszoną przez plecy parą starych spodni, wszystko to kogoś obstąpiło, czegoś słucha, kiwa głowami, gestykuluje z pośród czarnych chałatów, zgrzebnych koszul i perkalowych fartuchów miga żółta, mosiężna blacha policyanta. Innym razem widok podobny byłby dla chłopców pożądańszym od piernika i pobiegliby co tchu, by swemi figurkami zwiększyć zbiegowisko uliczne, ale obecnie raptem zdało się im, że daleko lepiéj by było, gdyby przed grajzlernią Wojciechowéj nie było żywéj duszy. Co więcéj, przypatrzywszy się z góry nieco bliżéj owéj grupie ulicznéj, obaj bracia poczuli nagle, że znajdują się zanadto blizko od niéj, i jakby na komendę podali tył i zwrócili się do ucieczki. I nie bez przyczyny. W pośrodku grupy, obok policyanta, znajdowała się potężna postać gospodarza z Wólki, któremu dziś prócz szkody na niwie zadali takie szkody na ciele.

— Łapaj ich, łapaj!—rozległy się głośne krzyki z grupy przed grajzlernią, i raptem zdało się braciom, że niebo pokryło się gestemi chmurami, że drzewa, okalające ulicę, chylą swe gałęzie aż ku ziemi i tamują im nie tylko kroki, ale i oddech, i że proch uliczny przemienia się pod ich nogami w lépką smołę, która czépia się ich stóp, ciągnie się, wstrzymuje ich kroki.

— Aha, tuście ptaszki!— słychać gruby głos nad ich głowami, i jakieś ciężkie ręce jak młoty spadają na ich plecy i walą ich obu razem na ziemię.

— Mamciu! Mameczko! Ratuj nas! — jęknął Naczek i zaniósł się konwulsyjném łkaniem, podczas gdy Władek zagryzłszy wargi aż do krwi, bił rękami i nogami, starając się wyrwać z rąk prześladowcy. Ale nadaremnie. Wkrótce zebrała się prawie cała grupa uliczna dokoła, policyant wziął ich obu za kark i popchnął przed siebie; obok niego, klnąc łobuzów szedł poszkodowany gospodarz, a zanim ciekawy, hałaśliwy tłum uliczny.

— Do policyi z nimi, do aresztu! Jeszcze dziś chcę protokół złożyć,—naglił gospodarz.

Chłopcy szli machinalnie, prawie nie widząc ani słysząc niczego, co się obok nich działo. Naczek wciąż jeszcze szlochał, a Władek gryzł wargi. A wokoło nich rozlegały się złorzeczenia i przekleństwa pobożnych kumoszek, grube docinki roboczego ludu i wrzaski ulicznéj dziatwy.

— Mój Boże, takie jeszcze małe, a już takie zepsute! — wzdychała jakaś staruszka, litościwie kiwając głową.

— A żeby ich i powiesili, to by nie szkoda było, kumo moja!— wykrzykiwał jakiś donośny głos pośrodku ulicy. — Bo to wy nie wiécie, ile ja się z nimi co dzień nagryzę, namęczę, ile ich się natłukę i naupominam, ale gdzie tam! Widać, że się to jedno z drugiém już pod taką złodziejską gwiazdą urodziło! Bogu dzięki, że ich teraz bierą,—przynajmniéj się kłopotu pozbędę.

Władek, idąc przed policyantem obok swego brata, słyszał te słowa. Głos ich był mu znajomy, aż nadto dobrze znajomy— to była Wojciechowa. Wbrew swemu zwyczajowi tym razem chłopiec nic jéj nie odpowiedział, ale zrównawszy się z nią i widząc że ona na niego patrzy, pokazał jéj język.

— O, widzicie go, złodziejskie nasienie! — wrzasnęła Wojciechowa.—Prowadzą go na karę, a ono jeszcze swych dyabelskich sztuk nie porzuca. Czekaj, czekaj, ty urwiszu, będziesz ty teraz wiedział, co to znaczy język komu pokazywać! Poznasz ty, do czego to twoje gałgaństwa prowadzą!

— Ale ten drugi wydaje się jakiś cichszy, spokojniejszy, — rzekła jakaś dobroduszna kobiecina.

— Gdzie tam! — krzyknęła Wojciechowa. — Jeden jak drugi dla szubienicy rośnie! To z cicha pęk, ale ani o włos nie lepszy od tamtego. Gdzie jeden, tam i drugi. — Nie, kumo, ja to ciągle powtarzam: co się pod złodziejską gwiazdą urodziło, to już chyba szubienica naprawi! Bracia nie słyszeli już tego surowego wyroku; w towarzystwie policyanta, poszkodowanego gospodarza i kilku świadków podążyli do policyi.

I. Franko.





PRZEGLĄD POWIEŚCI.

Eliza Orzeszkowa: Nad Niemnem, 3 tomy. — *Marya Radziewiczówna*: Dewajtis. — *Wincenty Kosiakiewicz*: Janek, Nasz mały, Widmo (zbiór nowel). Warszawa, Kraków, rok 1888, 1889.

Uczucia i namiętności ludzkie były od wieków i są dzisiaj, zawsze i wszędzie te same—oto aforyzm powtarzany nie wiem już odkąd, ale spotykany jeszcze i w najświeższych książkach i to książkach pisanych przez powieściopisarzy—artystów, którzy z niego wyciągają bardzo niepochlebne dla twórczości poetyckiéj wnioski, mówiąc, że poznawszy kilku wybitnych poetów, można się od czytania innych uwolnić, bo się z nich nic nowego nie dowiemy.

Aforyzm-to jednak w części tylko słuszny, a w zastosowaniu do sztuki prawie całkiem niewłaściwy.

Są w umyśle ludzkim pewne cechy stałe, pewne prądy nieprzerwane, które istniały przed wiekami i istnieją dzisiaj u wszystkich ludzi bez względu na ich rasę, klimat i stopień kultury; ale te cechy i te prądy ulegają mniejszym lub większym zmianom w swojéj barwie i natężeniu, a zwłaszcza w formie wyjawiania się na zewnątrz tak dalece, że nieraz dopiero szczegółowéj analizie uda się wyśledzić, iż modyfikacye owe nie są czémś zgoła nowém, lecz tylko przetworzeniem znanych nie od dzisiaj.

Prócz tego jak w rozwoju jednostki występują niektóre uczucia w pewnych okresach wieku dopiero, uczucia, których poprzednio jednostka nie doznawała; tak i w rozwoju narodów cywilizowanych zauważyć można to zjawisko nieraz na bardzo wielką skalę rozwinięte, dajmy na to w przykładach poświęcenia religijnego i fanatyzmu.

Filozof może i powinien różnorodność objawów sprowadzać do ich zasad; on z niejaką dozą słuszności twierdzić może, iż niéma

nic nowego pod słońcem, bo przez nowość rozumie pojawianie się zasadniczych bodźców i przyczyn; ale powieściopisarz i poeta?...

Powieściopisarz i poeta lubują się właśnie różnorodnością form, przez które przejawia się strona psychiczna człowieka, ponieważ inaczéj nie mogą téj strony przedstawić jak tylko za pośrednictwem plastyki zewnętrznéj, za pośrednictwem formy. Im który twórca więcéj a coraz to świeższych form wynajdzie i zgodnie z prawdą wypełni je treścią duchową, tym zakres twórczości jego poczytuje się za bogatszy a jego wynalazczość—za oryginalniéjszą.

Tém się tłómaczy z estetycznego punktu widzenia zainteresowanie budzone przez utwory, w których nowa jakaś sfera społeczna została odmalowana. Jeżeli zaś z tém zajęciem artystycznem łączy się jeszcze zajęcie ogólniejszéj, społecznéj natury, to utwory takie stają się ulubionemi, nabierają rozgłosu.

W roku zeszłym pojawiło się u nas kilka takich powieści.

* * *

Szlachta zaściankowa, „okoliczna“, tak obfita szczególniéj na Litwie, bardzo rzadko dotychczas była u nas przez twórców artystycznie przedstawiana.

Pierwszy Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ ukazał nam ten żywioł społeczny w sposób mistrzowski, ale ukazał tylko na chwilę, nie wchodząc w szczegóły jego życia codziennego; odmalował nam butę téj szlachty wobec chłopów, ich przechwalanie się herbami, ich kłótliwość o drobnostki, ich porywczość i nieopatrzność w sądzeniu ludzi i działaniu, słabość ich umysłowego rozwinięcia, ale zarazem ich serca najlepsze, ich gościnność i łatwość opamiętania się w złém,—a przytém nie zapomniał naturalnie o ich ubraniu i mieszkaniu.

Potém Kraszewski w drobnych obrazkach i powiastkach („Osada sernicka,“ „Krzyż na rozstajnych drogach“ „Milion posagu“) już nie z łagodną i serdeczną ironią wieszcza, lecz z żartobliwym i szyderczym uśmiéchem odmalował przeważnie ich śmieszności, nie wglądając głębiéj w ich serca i umysły i nie roztaczając obrazu ich życia na szerszém płótnie.

Pomijając „Kollokacyę“ Korzeniowskiego, bo świat małych właścicieli tu przedstawiony różni się od świata szlachty okolicznéj, dopiero u Orzeszkowéj znajdziemy pełny obraz życia téj sfery z wielkim a dobrze już znanym talentem skreślony.

Orzeszkowa „wzięła w pierś swą magnetycznie“ dolę i niedolę, radość i smutek, uczucia i myśli téj klasy społecznéj, co pod względem materyalnym a nawet umysłowym zbliżona jest do chło-

pów, a pod względem obyczajowym i moralnym ciąży ku szlachcie. Pokochała ludzi tych serdecznie, nie ukrywając jednak przed sobą ich wad i ułomności; pragnęłaby wpłynąć na rozjaśnienie ich umysłów i uszlachetnienie ich serc, a zapatrując się na nich ze stanowiska artystycznego i obywatelskiego, otoczyła ich w powieści „Nad Niemnem“ takim urokiem poetycznym, nie kłamiącym jednak rzeczywistości, że się myśl czytelnika zwraca ku nim miłośnie, jak niegdyś zwracała się ku zamkom i postaciom rycerskim, które Walter Scott i naśladowcy jego malowali. Ale jak warunki i sposoby, wśród których poetyczność krajobrazów i postaci z nad Niemna rozwija się, różnią się od tych, jakie działały na czytelników walterskotyzacyi, tak i trwałość wrażeń będzie niewątpliwie odmienna. W walterskotyzacyach była w przeważnéj części złuda dekoracyjna, w powieści Orzeszkowéj jaśnieje poezya prawdy i rzeczywistości. Zarówno z psychologicznego rozbioru jak i z obserwacyi naocznéj przekonać się można, że powieściopisarka takie tylko do rysów z życia wziętych wprowadziła zmiany, jakich artyzm wymagał, ażeby prawda prawdą czytelnikowi się wydała. Spółczucie osobiste autorki dla świata przez nią malowanego widnieje wszędzie, ale kierowane dążnością do osiągnięcia prawdy i rozmysłem artystycznym nie przyczynia się do sfałszowania tego, co oczy widziały, uszy słyszały, a rozum przemyślił. Czy przedstawia zagrodę szlachecką, czy człowieka, robotę czy zabawę, miłość czy kłótnię, bierze autorka ze skarbnicy pamięci czy nawet notatek szczegóły długo i pilnie obserwowane, układa je w kombinacye napotykane najczęściéj w życiu, nie posługując się nigdzie nadzwyczajnością i dziwnym zbiegiem wypadków,—a jednak całość stąd powstała nie tylko jest piękna pięknem charakterystycznem, ale i pociągająca dla serca.

Naturalnie, jako realistka, Orzeszkowa nie darzy swych ulubieńców papierową doskonałością. Są wśród téj sfery zaściankowéj ludzie śmieszni i źli, są wady przykre i drażniące, jest pieniactwo, zaciętość, śmieszność; ale ponieważ ujemności te odmalowane są—jak i w „Panu Tadeuszu“—z miłością dla całéj sfery, ponieważ autorka nie patrzy na swe osoby zgóry, lecz przejmuje się do głębi ich życiem; stąd i na czytelnika spływa pogoda, błogie uczucie, że pomimo wszystko może on lubić tych ludzi.

To strona uczuciowa. A strona estetyczna nie mniejszém przejmuje zadowoleniem. Przejawy uczuć i myśli tych ludzi, zachowanie się ich i mowa są nacechowane taką oryginalnością, taką świeżością, że z lekceważeniem możemy odrzucić zdanie tych pesymistów w zakresie sztuki, co się niczego nowego dowiedzieć od powieściopisarzów nie spodziewają. Weźmy np. scenę sporu pomię-

dzy dwoma szlachcicami, Anzelmem i Fabianem (tom I, str. 191 do 192).

Anzelm jest to starzec „dość wysoki, bosy, w ciemnéj, do kolan sięgającéj kapocie i wielkiéj baraniéj czapce“, która „tworzyła mu jakby drugą głowę i uderzający stanowiła kontrast z resztą ubrania“. Plecy miał przygarbione a ruchy powolne. Świeżo skoszoną trawę grabiami zgarniał i w małą kopicę na dziedzińcu zagrody składał. Grabie nieustannie, ale powoli posuwały się po ziemi. Niegdyś, przed laty, jako hoży i dziarski młodzieniec przyjmowany był serdecznie w dworze korczyńskim, lubo chodził w grubém obuwiu i surducie z sukna domowego, bo wtedy dla całéj szlachty okolicznéj stanęły otworem pokoje pańskie. Wówczas Anzelm był szczęśliwy i wesół, panna Marta mu sprzyjała, on jéj przynosił bukiety kwiatów polnych „do ogromnych mioteł podobne“, a gdy obok niéj przy obiedzie lub wieczerzy siadał, „rumienił się tak, że aż uszy stawały mu w ogniu jak czerwone maki“, a gdy śmiał się, to tak głośno, „że aż się po całym domu rozlegało“, z błękitnych oczu „iskry sypał“, potężnym barytonem „tysiąc pieśni śpiewać umiał“. Minęły te chwile rojeń jednostkowych i ogólnych, panna Marta zlękła się pracy skromnéj w zagrodzie szlachcica z „okolicy“, stosunki z dworem zerwały się. Anzelmowi zdawało się, mówiąc jego słowy, „że jakieś wielkie lody świat ten pokryły i zrobiło się na nim n a d m i a r już zimno“, że w powszechnéj „pochmurności“ społeczeństwo całe było „tak p r a w i e jak groch rozsypany, którego każde ziarnko toczy się poosobno i poosobno gnije“... Z szlachtą okoliczną pan Korczyński, dawniéj tak serdeczny, wchodzi w zatargi o drobnostki, o konie np. w zbożu pochwycone, o kawał wygonu, krzyczy i wymyśla na biédaków i budzi w nich fantazyą szlachecką, nie znoszącą żadnéj „ubligi“. Gotowy był proces. Właśnie w tym interesie chodził Anzelm do dworu oraz młodszy od niego, gniewliwszy i popędliwszy „z twarzą do rydza podobną i zuchwale sterczącemi wąsami“ Fabian.

Teraz oto rozmawia Anzelm, grabiący siano, z Fabianem, stojącym za domem i płotem dziedzińca. Fabian prędko i zapalczywie woła:

— „Apelacya już, chwalić Boga, podana i m u c h a p o n i e s i e t o, co pan Korczyński w wyższéj instancyi wygra!

— „A ja sto razy Fabian*u* mówiłem i sto pierwszy powtórzę, że k o m a r n a j é s i ę t é m, co my od pana Korczyńskiego wygramy—powoli i monotonnym głosem odpowiedział człowiek, grabiący skoszoną trawę.

— „Czemuż to tak? — wybuchnęło z za płotu popędliwe zapytanie—czy to Anzelm dla naszéj powszechności dobra nie życzy?

— „Życzę—brzmiała odpowiedź—ale powiadam: po cudze nie sięgaj!

— „A jak pokaże się, że wygon nie cudzy, tylko nasz? a Bóg mnie ubij na duszy i ciele, że pokaże się tak a nie inaczéj.

— „Fabiana adwokat zbałamucił i Fabian wierzy.

— „Jeszcze ten się nie urodził, ktoby potrafił mnie zbałamucić! Do sąsiada po rozum nie pójdę i nawet u Anzelma go nie poproszę, choć Anzelmowi jeszcze ta mądrość z głowy nie wywietrzała, co jéj niegdyś od wielkich panów nabrał".

Głos Fabiana nabierał coraz więcéj popędliwości, aż przy ostatnich słowach stał się gniewnym i zgryźliwym. Anzelm z jednostajną wciąż powolnością odrzekł:

— „Niechaj mi Fabian wielkiemi panami oczu nie wypieka...-ja ich dwadzieścia lat nie widziałem i do śmierci już pewno nie zobaczę.

— „Wszystko równo. Czego się człowiek za młodu nauczy, to i na starość mruczy—dojadał głos z za płota".

Nie jest-to najbardziéj charakterystyczny ustęp, a jednak w nim każdy zauważyć może odrazu odrębność temperamentu rozmówców, właściwy im sposób rozumowania i wyrażenia znamienne. W mowie ich jest trochę naleciałości obcych, ale więcéj jeszcze znajdujemy staropolszczyzny, przechowanéj tu jakby szczątkowo. Autorka nie urabiała jéj w powieści swojéj fantazyjnie, lecz na podstawie długiego wsłuchiwania się w żywe słowa. Arcydziełem stylu w tym rodzaju jest niewątpliwie opowiadanie Anzelma o podaniowych przodkach Bohatyrowiczów, Janie i Cecylii, których kamień grobowy istotnie do dziś dnia w Miniewiczach nad Niemnem widziéć można. Opowieść ta pełna prostoty, przenikniętéj poetycznością, tak doskonale utrzymana jest w tonie od początku do końca, że rozkoszą i podziwem przejmuje.

A jakaż głęboka i trafna psychologia w przedstawianiu przejść duchowych u tych ludzi! Autorka zgodnie z zasadą realistycznego traktowania rzeczy nie zapuszcza się postaremu w analizę subjektywną, nie mówi od siebie, co w umysłach postaci przez nią stworzonych zachodziło, ale obrawszy odpowiednią chwilę, daje poznać ich głąb' za pośrednictwem rozmowy. Pozostając przy jednym przykładzie, zobaczmy, jak odbicie się dziejów, już wzmiankowych, w duszy Anzelma przedstawioném zostało. Doprowadziwszy odludka trochę, niechętnego dworowi korczyńskiemu, do zaufania boha-

terce powieści, Justynie, autorka wkłada w jego usta słowa piękne i rozumne, nie będące przecież w téj postaci niespodzianemi: „Mały ja człowiek jestem, ale na wielkie rzeczy w młodości swojéj patrzyłem i w nich maleńki udziałek wziąłem, a z tego i całe późniejsze życie moje wyciekło. Korczyn! oj! i domyślić się teraz nie można, jakie tam wtenczas rozlegały się mowy i postępki... Zdaje się, że wszystko, co ludziom Pan Bóg dał dobrego, poruszyło się wtenczas i zagadało. Brat obejmował brata, nie zważając na to, czy bogatego, albo ubogiego obejmuje; rozumni głupim drogi pokazywali... Nas do tego festynu nie tylko dopuszczano, ale i zapraszano, żądając, abyśmy życie narażali, ale tym, co go nie utracą, takie rzeczy pokazując, że aby je dostać, każdy chętliwie głowę pod niebezpieczeństwa podstawiał... Kiedy już te rzeczy obróciły się na złą stronę i zaćma nieprzenikniona świat ogarnęła, zacząłem doświadczać nieścierpliwego żalu i gniewu, sam nie wiedząc nawet, przeciw czemu i przeciw komu ten gniew obrócić. Odżałować tego, co przeminęło, nie mogłem, ani też przywyknąć znów do zwyczajnego życia, od którego jakby na skrzydłach mnie odniosło. Co dawniéj miłe było, obrzydło; co bawiło i radowało, wydało się samą marnością. Pójdę bywało z pługiem w pole i tylko wspominam, co w tamtych złotnych domach widziałem i słyszałem, twarze różne, postępki, sprzéczki i zdania wspominam i z pamięci swojéj umyślnie je wybiéram, podobnie jak skąpiec dukaty ze skrzyni wybiéra, oglądając je i lubując się niemi. Tak czasem pośród mgły wiosennéj i pół dnia na polu przy pługu przestoję, zapominając o robocie, do któréj wprzódy byłem chętliwy i zdatny. Albo zimową porą, do wesołéj jakiéj świetlicy wejdę i patrzę, jak ludzie rychło o wszystkiém zapominający, śpiewają, weselą się, tańczą. Czy oni powaryowali?—myślę sobie, słupem niemym i nieruchliwym w kącie stojąc—a im więcéj oni weselą się, tym widoczniéj staje mi przed oczyma ta polana leśna, z tym swoim smętnym pagórkiem i śniegiem, co na nią, w ciemności nocnéj, białemi płatami pada. Co nowy taniec zagrają, to ja zaszepcę: Wieczne odpoczywanie, racz im dać panie!—Co nową pieśnią kto zawiedzie, to ja znów: Wieczne odpoczywanie!—Co głośniejszym śmiechem kto wybuchnie, w mojéj głowie rozlega się: Wieczne odpoczywanie!—Na weselnych ręką machnę i do chaty pod śniegiem padającym idę, a w chacie!.. Chryste!.. miejsce po bracie jedynym już i zastygło, żonka jego już po drugich weselnych godach, tylko sierotka mały mnie spotyka i tuli się do opiekuna jedynego, który mu na tym świecie pozostał". A odmalowawszy w słowach przejmujących swój zawód miłosny, zakończony dziewięcioletnią chorobą, mówi Anzelm o swojém wskrześnięciu, choć

niezupełném, pod hasłem: „Siły do kupy ściśnij, na biédę oczy zmruż i rzuć ją pod nogi, a pocieszenia sobie jakiego szukaj, ażeby woli boskiéj nie sprzeciwiać się i marnie nie ginąć.“

I dźwignął się. Wyhodował Janka sierotę na dzielnego, hożego młodzieńca, który i siłą i zdrowiem i zręcznością wszystkich wokół przewyższał. Ukazała go nam autorka na samym początku powieści w całéj krasie młodości jakby jakiego bohatera greckiego, kiedy „trzęsący się i podskakujący wóz“, którym stojąc kierował, „nie mógł zmącić ani na chwilę jego prostych i wyniosłych linii“, kiedy „niedbale w ogromnych rękach trzymając lejce i nie odwracając twarzy ku wiezionym przez się kobietom, odpowiadał wesoło na ich pytania i przycinki, a czasem męski śmiech swój łączył z chórem cienkich, piskliwych śmiéchów dziewcząt“.

Takim go ujrzała kuzynka p. Korczyńskiego, dwudziestokilkoletnia panna Justyna, „uosobienie piękności kobiecéj zdrowéj i silnéj, lecz trochę dumnéj i chmurnéj“, a ujrzała w chwili, gdy bolesne przypomnienia lat niedawnych gryzącą troskę na nowo do jéj duszy wsączyły, znudzeniem i goryczą ją napełniając. Spotykała go potém nieraz a zawsze w najkorzystniejszych dla niego warunkach; widziała w nim zdrowie, pracowitość, porządek, rozum naturalny rozwinięty własném rozmyślaniem i naukami Anzelma, szlachetność i delikatność uczuć. Wszystko co ją w domu otaczało, przejmując ją coraz większém zniechęceniem, kłoniło ją ku temu młodzieńcowi, na którego ręku śmiało i bez obawy zawodu oprzeć się mogła. Najprzód upokarzające jéj dumę stanowisko rezydentki u krewnego, gdzie nie miała żadnego wyraźnego zajęcia, gdzie ojciec jéj safanduła, smakosz i maniak był przedmiotem dotkliwych żartów, nie odczuwając ich nawet, pobudzało ją do szukania jakiegoś wyjścia ze wstrętnéj zależności. O zamążpójściu w sferze obywatelskiéj marzyć przestała od czasu, gdy zdenerwowany Zygmunt Korczyński, rozkochawszy ją, opuścił potém dla połatania fortuny bogatém ożenieniem. Widok rozdelikaconéj, drżącéj, nie mogącéj o własnéj sile stąpać żony Benedykta Korczyńskiego, potrzebującéj ciągłych leków na *globus histericus* i lektury francuskiéj albo grzeczności zalotnéj, oraz jéj lektorki Tereni, udającéj zawsze młodą i powiewną, a marzącéj o przygodach romansowych, budził odrazę w jéj zdrowéj naturze, gdy sobie pomyślała, że i ona kiedyś zgnije w téj atmosferze przesiąkniętéj apteką, perfumami i lubieżnemi westchnieniami. Los Marty, także kuzynki Korczyńskiego, która pokochawszy Anzelma, zlękła się pracy i zmiany położenia towarzyskiego, a teraz zeszła na kaszlącą, gderliwą, pod względem estetycznym i umysłowym całkiem zgrubiałą klucznicę, był dla niéj

smutną, ciągle na oczach będącą przestrogą. O jakiéjś pracy samodzielnéj myśléć nie mogła, bo jéj wykształcenie, zasadzające się na mówieniu po francusku i grze na fortepianie, nie zapewniłoby jéj utrzymania; pozostawała więc tylko praca fizyczna. A że ją mogła złączyć ze stanowiskiem żony człowieka uczciwego, sympatycznego i niezależnego, którego pokochała, więc nie trudno jéj było zdecydować się na oddanie ręki Jankowi Bohatyrowiczowi. I tylko powinszować sobie mogła téj decyzyi, gdy na swatanie jéj z morfinistą Teosiem Różycem miała krótką ale decydującą odpowiedź: jestem już zaręczona.

Dla kontrastu artystycznego a zarazem dla rozszerzenia i pogłębienia myśli wyrażonéj w ślubie Justyny z Janem Bohatyrowiczem, wprowadza autorka i wyższe towarzystwo szlacheckie, lubo się niém nie zajmuje tak szczegółowo jak „okolicą“. Różnorodne wchodzą tu postaci, a zawsze i wszędzie, nawet w najdrobniejszych szczegółach z niepospolitą plastyką odmalowane. Dostrzedz można wśród nich dwie grupy: lekkomyślnych utracyuszów, żyjących handlem uczuć, i zapracowanych celem utrzymania rodziny aż do zapomnienia czy odłożenia na bok wszelkich szerszych, daléj sięgających, ogół na celu mających dążności.

Pierwszą grupę, jako częściéj malowaną, można pominąć. W drugiéj najwydatniejszą postacią jest Benedykt Korczyński, rozumny, uczciwy, niegdyś entuzyasta, hojnie wśród zbierających się w domu jego tłumów rozszerzający „hasła, nauki, namowy, rozprawy, sprzeczki“ dobru ogółu poświęcone. Gdy się nadzieje rozbiły, gdy i osobiście przez swą chorobliwą żonę udręczeń samych doznawał, zamknął się w sobie i oddał się pracy około roli, pogrążył się w nią, „z surowością mnicha i zapalczywością taką, z jaką rozbitek chwyta i ściska jedyną deskę ze strzaskanego statku pozostałą!“ W jeden punkt zapatrzony, inne z oczu tracił; w jednéın namiętném usiłowaniu skupił wszystkie siły i na nic innego już mu sił nie stało. Przeszedł tę samę koléj co i Anzelm. „Gdy nie mógł żyć tak jakby pragnął; gdy potém już i pragnienie innego życia w nim gasło; gdy nad rozwartą książką oczy mu do snu kleić się zaczynały; gdy spory i kłótnie różnić go z ludźmi poczęły; gdy zrazu ścigać wzrokiem, a potém rozumieć przestawał różne oddalone drogi i myśli świata,—długo we środku mu coś płakało... Z czasem przywykł do wszystkiego; tylko ten płacz wewnętrzny, którego już w sobie nie czuł, przemienił się w głuchy i gorzki war, co chwila wybuchający zeń gniewem, rozjątrzeniem, niby ciężką przeciw życiu i światu obrazą“. Stąd jego zawziętość przeciw szlachcie „okolicznéj“, gdy o szmat ziemi lub o szkodę chodziło. Osamotnie-

nie przytém, brak duszy pokrewnéj, „przed którą mógłby śmiało, ufnie, wszystko co ma w sobie pokazać, pociechy, rady a czasem i ratunku wezwać“ uczyniły go samolubem napozór, jedynie o zachowanie ziemi dbałym. Ale ziarna szlachetności, przed laty zasiane, nie były płonne; zagłuszyły je w rozwoju chwasty życia, ale ich nie zniweczyły. Trzeba tylko było tchnienia nowéj wiosny.

Takiém tchnieniem były dla Korczyńskiego słowa i zachowanie syna jego Witolda, którego ustrzegł od zgubnego wpływu żony, nie oddzielając go od reszty ludności, piedestałów mu nie budując, na królewicza i samoluba nie chowając. Było to dziecię—jak mówi autorka—„dnia burzliwego i ciemnéj nocy“, rozwinięte duchowo „z męczeńskim pośpiechem“, odczuwające „bezbrzeżném współczuciem“ cierpienia powszechne, idące w ciemne i ciasne podziemia „maluczkich mrówek i kretów ziemi“, by nieść pociechę, „ratować, uczyć, budzić, wskrzeszać“. Widział w nim ojciec wskrzeszenie tych ideałów, którym sam niegdyś służył, a pod wpływem wspaniałéj z nim rozmowy (III, 267—289), która ma swój odpowiednik w innéj, matki z synem (III, 138—156), uznał swoję winę w postępowaniu ze szlachtą okoliczną, w odsunięciu się i odgraniczeniu od nich, w zaskorupieniu interesu osobistego. Nastąpiła zgoda, Benedykt Korczyński i Anzelm Bohatyrowicz spotkali się znowu ze sobą i znowu przyjaźnie.

Wszystkich żywiołów, wszystkich myśli i wszystkich piękności téj znakomitéj powieści niepodobna tu nawet doknąć pobieżnie. Znając talent Orzeszkowéj, łatwo domyślić się, jak wspaniałe są opisy krajobrazów nadniemeńskich, jak cała ta różnorodna i różnobarwna ludność, zapełniająca świat powieściowy, jest żywa, jak sytuacye są zajmujące i jak nasuwają myśli poważne. Całość pod względem kompozycyi nie jest bez wad, ale ich wspomnienie zaciera się w ogólném wrażeniu, w którém rozliczne nastroje, wywołane poszczególnemi scenami, zléwają się w jeden pełen harmonii i otuchy. Odczytawszy tę książkę, czuje czytelnik, jakby przebywał wśród zdrowéj, świeżéj atmosfery, pokrzepia się na duchu i chętnie w swéj wyobraźni i sercu dosnuwa wątek, którego mu dostarczył rozumny i szlachetny umysł powieściopisarki.

* * *

Na pozór jest pewne podobieństwo między powieścią „Nad Niemnem“ a „Dewajtisem“ panny Maryi Rodziewiczówny, ale tylko na pozór, to jest w niektórych rysach zewnętrznych.

Jak tam, tak i tu spotykamy się ze sferą szlachty „okolicznéj“; jak tam, tak i tu panna z wyższego towarzystwa idzie za człowieka mało ukształconego, ale rozumnego i odznaczającego się szlache-

tnym charakterem; jak tam tak i tu występuje epizodycznie postać młodzieńca, który pod wpływem obcego otoczenia zaciera w sobie poczucie swojskości i goni tylko za zdobyciem grosza.

Ale na tém koniec podobieństw. W pojęciu charakterów, w przedstawieniu życia szlachty zagrodowéj, w sposobie łączenia sytuacyj, w idei zasadniczéj, jak nie mniej w stylu zachodzą tu różnice olbrzymie.

Talent p. Rodziewiczówny zabłysnął odniedawna i jest dopiero w początkach swojego rozwoju. Zasilił się on niewątpliwie obserwacyą, zwróconą do przedmiotów i objawów mało przez belletrystykę naszę dotykanych, ale fantazya dowolna gra w nim jeszcze rolę bardzo znaczną, a w kompozycyi całości—dominującą. Autorka wiedząc z doświadczenia, że kobiety zwłaszcza nie lubią ustępów w książkach nie oznaczonych kreskami, zapowiadającemi rozmowy, i opuszczają je w czytaniu, nie chce się narażać na taką nieprzyjemność; woli więc dać pokój wszelkiego rodzaju opisom, woli pozostawić sytuacyę niewyjaśnioną, woli się narazić na zarzut nieumotywowania psychologicznego postępków ludzi, byle tylko to, co napisze, czytało się ze wzrastającém zajęciem. Z tegoż samego zapewne powodu lubuje się w nadzwyczajnościach, w przypadkach i przygodach wychodzących z trybu życia codziennego, w przewrotach duchowych zadziwiających itp. Cel swój osiąga niewątpliwie; powieści jéj są czytane gorączkowo.

Samém jednak zajęciem, budzoném powieścią, nie mierzy się jéj wartość artystyczna. Nie myślę igrać słowami i mówić, że toż zajęcie obniża ją raczéj; wiem, że rzeczy nudne nigdy artystycznemi nie są; ale zauważyć muszę, iż przez nadmiar fantazyi, nie liczącéj się z rzeczywistością, dzisiaj niepodobna już wywołać prawdziwie estetycznego zadowolenia. Przywykliśmy zanadto do metody spostrzegawczéj, ażeby sama igraszka wyobraźni wystarczyć mogła.

U p. Rodziewiczówny spotykamy się ciągle z dziwną mieszaniną rzeczy obserwowanych i fantazyowanych. Już w pierwszéj większéj powieści swojéj, w „Strasznym dziaduniu" obok wybornych obrazków życia studenckiego na wsi podczas wakacyj i w Petersburgu, znajdujemy niewyjaśnione należycie, działające jak *deus ex machina* przygody, wywołane dziwną wszechwiedzą dziadunia, który śledzi postępowanie swego wnuka za pośrednictwem samorodnego Lecoqa i zna nie tylko czyny, zdania, ale bodaj nawet myśli rodzące się dopiero w głowie dzielnego a upartego chłopca. W powieści „Między ustami a brzegiem puharu" jeszcze jaskrawiéj przedstawia się brak umotywowania, i to w dziedzinie duchowéj. Bohater zrodzony z matki Polki, a z ojca zaciętego Prusaka, wychowany

w atmosferze najnieprzyjaźniejszéj dla Polaków, uważający przypomnienie pochodzenia swego za najkrwawszą obelgę, pojedynkujący się z tego powodu, birbant zresztą lekkomyślny, niejednę już miłostkę mający zapisaną w pamięci, naraz staje się potulnym barankiem, uczy się po polsku i występuje jako Polak—i to dlatego, że został niegrzecznie, ba nawet po grubiańsku przyjęty przez swoję babkę, która w myśli autorki miała zapewne wyobrażać zacną, poważną matronę polską, a jest nawet dla czytelnika Polaka, mianowicie w początkowych wystąpieniach swoich, nieznośną babą, zdolną wypłoszyć od siebie nawet szczerych czcicieli tradycyi.

W „Dewajtisie“ jest takich niewłaściwości mniéj; znajdują się jednakże. Sam już dwór w Skomontach, zamieszkujący w nich ludzie i stosunek ich do „starego żmujdzkiego zaścianku szlacheckiego“ nie rysują się w wyobraźni czytelnika dość jasno. Nie wiemy napewno, czy ci Czertwanowie, których ojciec umiéra na początku powieści przy żółtym płomyku gromnicy, co „więcéj dymu i cieni ruchliwych niż światła rzucała“, są zubożałemi członkami możnéj niegdyś szlachty, czy téż wzbogaconemi pracą i oszczędnością przedstawicielami zaścianka. Niektóre szczegóły, jak pozostawienie gotówki w ilości 35 tysięcy rubli, kształcenie się Witolda w Rydze, kazałyby się domyślać pierwszego; gdy tymczasem to, co dostał z ruchomości Marek Czertwan po śmierci ojca: „dwie skrzynie zielone, parę stołków, jakieś siatki, pęki wyprawnych i niewyprawnych skórek, motyki, garnki, para wołów chudych, mizerna krowina, kilkoro cieląt, sędziwa klacz biała, która w Skomontach woziła wodę i drwa“ — wskazywałoby na drugie przypuszczenie. Może to wszystko razem być prawdziwém, ale w powieści nie wydaje się prawdopodobném, bo autorka nie postarała się swoich dwu obrazów wyjaśnić; takie bowiem wyjaśnienie, że rodzina skrzywdziła Marka, wydzielając mu z pozostałości po ojcu to tylko, cośmy widzieli, nie może zadowolnić nawet niezbyt krytycznego czytelnika. Jeżeli Marek, znający się przecież na interesach gospodarskich, przystał na taki udział, to nie zrobił tego z dobréj woli, tylko pod wpływem pomysłu autorki, która chciała w nim przedstawić człowieka hartownego, dzielnego, pracowitego i oszczędnego, co pragnął wszystko sobie tylko zawdzięczać. A i w téj pracy Marka cudowne dzieją się rzeczy. Autorka nie zadaje sobie trudu wytłomaczenia, jakim sposobem ten człowiek w bardzo krótkim przeciągu czasu zdołał nagromadzić tyle gotówki, by resztę rodziny, marnotrawiącéj spuściznę po ojcu, prawie w całości spłacić. Mówi wprawdzie ogólnikowo o dzierżawieniu młynów i stawów, ale niczém nie udowadnia, że te dzierżawy tak szybko gotówkę przynosiły, chociaż nie

zapomniała wspomniéć, że i bez dużych strat się nie obeszło. Wspomnienie to o stratach zrozumiałe jest w ustach powieściopisarki, pragnącéj uwielbienie dla wytrwałości i hartu woli swego bohatera zjednać, lecz tém gorzéj na tém cierpi prawdopodobieństwo. Nie tak to łatwo i nie tak prędko zbierają się dziesiątki tysięcy na gospodarstwie.

I wykształcenie Marka jest zagadkowe. Ukończył klas kilka zaledwie, potém powołany został przez ojca do pracy na roli, oddał się jéj z zamiłowaniem, był, jak się wyrażają jego znajomi, poprostu parobkiem; nie widzimy i nie słyszymy, żeby cokolwiek czytał, a jednak rozmawia o Heinem. Kiedy i jak go poznał? W jakim związku jest ta znajomość z całą jego historyą i charakterem?

Najbardziéj atoli rażącą jest scena sądu polubownego. Marnotrawna rodzina, gdy już wszystko straciła, oskarżyła Marka o podstępne zagrabienie ziemi i powołała poważnych przedstawicieli obywatelstwa, by sprawę tę osądzili. Łatwo przypuścić, że obywatele, z któremi owa rodzina żyła na dobréj stopie, mogli miéć spółczucie dla niéj większe niż dla milczącego, zabaw unikającego Marka, mogli więc wziąć jéj stronę przeciw niemu. Ale niepodobna przypuścić, ażeby zebrawszy się na sąd, mieli zapomniéć o najkonieczniejszych jego formach, ażeby poważny i poważany marszałek miał się odrazu odezwać do oskarżonego ze słowami potępienia jeszcze przed wniesieniem sprawy, mówiąc: — „Czy pan ma jakie wytłómaczenie na swe karygodne zachowanie się względem młodszéj i uboższéj rodziny?... Krzywdził ich pan i wyzyskiwał swe położenie. Wedle podanych mi tu do przejrzenia rachunków, stracił pan podczas zarządu Skomontami dziesięć tysięcy rubli ze wspólnego funduszu, jeszcze za życia nieodżałowanéj pamięci ojca pańskiego... Daléj przez ten rok od śmierci ojca pan intrygowałeś potajemnie, podburzałeś kupców, żeby odmawiali kredytu pani Czertwan, twierdząc, że nie ma prawa rządzić majątkami, że pieniądze ich przepadną. Paraliżowałeś pan każdy jéj krok i korzystając z konieczněj potrzeby, wydzierałeś za bezcen po kawałku gruntu z pod stóp słabéj wdowy i niedoświadczonego młodzieńca. Nie synem pan byłeś i przyjacielem, ale lichwiarzem". I tak w dalszym ciągu. A przecież ten marszałek nie był ani idyotą, ani nikczemnikiem chcącym zgóry zastraszyć oskarżonego. Źle rodzina Czertwanów uprzedziła go względem Marka, którego nie znał, ale gdy się przeświadczył ze słów jego i z dokumentów, że wina nie po jego stronie, cofnął się ze swém potępieniem. Całe wogóle to zgromadzenie obywatelskie okazało się lekkomyślném w najwyższym stopniu. A dlaczego? Dlatego, że autorka chciała swego Marka uczy-

nić tryumfatorem. Ale tryumf nad przeciwnikami słabemi nie przynosi zbyt wielkiego zaszczytu i zamierzony przez powieściopisarkę efekt w znacznéj części chybił.

A jednakże pomijając owe nieprawdopodobieństwa i niewłaściwości, postać Marka jest piękną i stanowi istotną siłę przyciągającą w powieści. Autorka lubi i umié tworzyć ludzi żelaznego hartu a tkliwości dziecinnéj, trzeźwo patrzących na życie a jednak naprawdę poetycznie usposobionych, milczących i ponurych, a z sercem słoneczném. Marek, ten jasnowłosy olbrzym o twarzy suchéj, ostréj, „jak bronz twardéj i jak bronz opalonéj", odpowiadający monosylabami, szorstki, zapalczywy a nawet nielitościwy względem wszystkich marnotrawców lub łotrów, jest zdolny do największéj, niewieściéj delikatności uczucia, zarówno litości jak i miłości względem tych, których kocha za ich pracę, uczciwość, dobroć. Mówi mało, skupiony jest w sobie, pracuje nad siły, obojętny pozornie na wszystko, co nie ma ścisłego związku z przewodnią jego myślą utrzymania się przy ziemi ukochanéj. Zdaje się, że wypowiadanie myśli przejmuje go obawą, aby nie osłabiło jego energii; stąd naraża się na fałszywe tłomaczenie swych postępków, na podejrzenia i posądzenia; ale na jego słowie można budować jak na silnéj podwalinie, można powierzyć mu wszystko: majątek, honor, serce; szczera to a twarda natura jak ten dąb Dewajtis od wieków nad Dubissą rosnący, który dla niego jest symbolem wytrwania na gruncie i potęgi rodziméj, a z którym prawdziwie poetyczne prowadzi rozmowy. Takich stalowych charakterów ma literatura nasza bardzo mało, bo i społeczeństwo niewiele ich przedstawia, ale że pożądaną jest większa ich liczba, przyjmujemy je z zapałem i radzibyśmy postawić za wzór tym chwiejnym, trzcinowym naturom, których u nas tak wiele.

Wykonanie artystyczne téj postaci Marka przedstawia téż zalet niemało. Najprzód widzimy go, jak upatrzywszy ukochaną dziewczynę, radby ożenić się z nią i osiąść na własném gospodarstwie. Tymczasem umierający ojciec przekazuje mu zarząd majątku Orwidów, zostawiony na jego opiece. Samolubna a łatwo zrozumiała chęć uwolnienia się od tego obowiązku walczy w duszy Marka z nakazem ojca; odczuwamy jego straszne cierpienie, gdy się musi wyrzec swojego marzenia, ożenienie odłożyć na czas dalszy, porzucić własną zagrodę i odbywać ciężką służbę. Nie słyszymy wprawdzie skarg jego; ale z pewnością „wyłby, gdyby przemówił". Zwyciężył jednak siebie i w zwięzłych słowach zapewnił ojca, że polecenie jego będzie spełnione: „Kazaliście, to dotrzymam!" Narzeczona, nie chcąc wystawiać się na długie—przypuszczalnie dzie-

sięcioletnie—czekanie, zwraca swe afekty ku wzdychającemu do niéj łzawo Gralowi. Marek zaparł ból swój w piersi i zaledwie przewiózłszy lichą chudobę do spuścizny matczynéj Sandwilów i osadziwszy tam poczciwego oryginała, doskonale odmalowanego amatora zwierząt a zarazem dobrego gospodarza, Rymko Ragisa, poszedł doglądać majątku Orwidów, całemi tygodniami nie bywając w swéj zagrodzie. Spadały nań nieszczęścia i przeciwności, znosił je mężnie i w pracy a zabiegliwości nie ustawał. Bóg dał mu taką siłę—jak powiada — że ziemię swoję ukochał nad świat cały i nad młodość i nad rozrywkę i nad rodzinę i dom. „Ile duszy starczyło—mówił w chwili uroczystéj a rzadkiéj, kiedy musiał się wypowiedzićć—tak-em ją umiłował. Od łanu do łanu schodziłem ją stopami; przez dziesięć lat z nikim nie żyłem, tylko z tą rodzoną, rozumieli my siebie, mówiła mi do serca zbożami złotemi, zieloną łąką, ciemnym borem! I zaprzysiągłem jéj wówczas, że mi jéj nikt nie weźmie, chyba z życiem!...“

Przybyła nareszcie panna Orwidówna, dziedziczka zarządzanych przez Marka majątków, wychowana po śmierci ojca przez praktycznych Amerykanów, śmiała, energiczna, przedsiębiercza. Łatwo wyobrazić sobie radość Czertwana, że może się pozbyć ciężaru, że może zacząć żyć na własną rękę. Ale panna Irena nie była obeznana ze stosunkami, nie umiała języka ojczystego, prosiła więc Marka, ażeby radą jéj służył. Już się w jéj sercu obraz milczącego, szorstkiego olbrzyma wyrył głęboko i nie dla samych tylko informacyi potrzebowała jego obecności. I w Marku obudziło się uczucie, ale je stłumił potężną wolą, bo nie chciał sięgać po majątki nie swoje, bo pragnął wprzód zrównać się z Ireną pod względem zamożności. I znowu go prześladują nieszczęścia; brat Witold sprzedaje żydom las, na Dewajtisie znak już siekiera zostawiła; wściekłość ogarnia Marka, o mało nie zabił żyda, co śmiał się targnąć na jego świętość, szczęściem (i niewyjaśnionym — dodajmy — przypadkiem) powstrzymała go od tego czynu Irena w sam raz zjawiwszy się na polanie. Potém chata jego płonie z podpalenia, wywołanego chęcią zemsty. Wreszcie przytłacza go opinia spółobywateli, wytworzona przez rodzinę, dopóki na sądzie owym, podbudzony przez Irenę, stojącą za oknem sali, w któréj sąd się odbywał i domagającą się, żeby raz przecie w obronie swojéj przemówił,—nie wyszedł zwycięsko. Staczał przytém ciągle walkę z swém sercem, które rwało się do Ireny i prowadziło go tajemnie pod jéj okna, ale któremu wobec niéj nakazywał srogie milczenie. Panna była natarczywa, oceniwszy wielki charakter pod zgrubiałą powierzchownością; tém trudniejszém stawało się wytrwanie w po-

zornéj obojętności. I potrzeba było nadzwyczajnego wypadku, ażeby uczucie jego wyszło na jaw. Irena wpadła, niewyjaśnionym bliżéj wypadkiem, w podziemia ruin znajdujących się w lesie, i przeleżała tam dzień cały, zwichnąwszy nogę. Marek zawiadomiony o zniknięciu panny, latał, bez czapki i „surduta“, na wszystkie strony, zarzucał sieci do rzeki, aż wreszcie posłyszał jęki i osłabioną z lochów wydobył. Wtedy czułość, podniecona obawą, nie mogła się już ukryć i wyjawiła się w słowach. Hart woli nie zmniejszył się, ale przybrał łagodniejsze kształty. Możemy ufać, że o ile to od niego zależéć będzie, dokona wszystkiego, co przedsięweźnie.

Obok téj postaci dominującéj, inne zachodzą w cień. Nawet bohaterka Irena wygląda konwencyonalnie, papierowo, pomimo swojéj dzielności. Widocznie nie jest to osoba z życia wzięta, lecz z fantazyi i z książki. W powieściach szwedzkich możnaby wskazać oryginały, według których została pomyślana zarówno w ruchach swoich, postępowaniu, jak i w uczuciu dla twardego, mrukliwego ale silnego charakteru. Wzrusza ona czytelnika opisem ciężkich przygód dzieciństwa swego w Ameryce, podoba się ze swéj śmiałości i prawości; wystąpieniach jéj atoli jest zawsze pewna teatralność. Jéj towarzysz amerykański to karykatura już spospolitowana u Francuzów śmiesznego a prawego oryginała: wprowadzony został dla komizmu, dla urozmaicenia poważnych sytuacyi. Brat Marka Kazimierz przesiąknięty obczyzną wskutek kilkoletniego pobytu po za krajem, odzwyczajony od picia wódki w rubaszny sposób przez ciocię Anetę, nawrócony wreszcie przez miłość, jest dobrą sylwetką tylko.

Styl p. Rodziewiczówny wyróżnia się od stylu kobiet piszących pewną męskością, jest zwięzły i silny, do odmalowania natur, zamkniętych w sobie nadaje się wybornie. Sceny uczuciowe takich natur wyrażają się — i słusznie—w sytuacyach raczéj, aniżeli w słowach. Brakuje stylowi temu malowniczości, ale nie brak mocy, precyzyi, dowcipu i świeżości. Poprawność nie jest również zaletą jego, tak samo jak języka. Autorka powinna dobrze popracować, ażeby się oswobodzić od zwrotów mowy, obcych językowi naszemu, a przynoszących ujmę jéj utworom, szczególniéj zaś „Dewajtisowi“. Utwór nacechowany taką miłością ziemi, powinienby wzorem być pod względem mowy ojczystéj, bo próżne będą nawoływania do poprawy i próżne wlewanie otuchy w serca, gdy sami autorowie ulegać będą wpływowi rozkładowemu—pod względem mowy ojczystéj.

* * *

Sfera rzemieślnicza prawie równie rzadko dotychczas jak szlachta „okoliczna“ stanowiła wątek naszych powieści. Dotykali jéj wprawdzie mimochodem różni dawniejsi pisarze, ale pierwszym, o ile mi wiadomo, co naumyślnie obserwował tę sferę, aby ją opisać, był Włodzimierz Wolski w „Domku przy ulicy Głębokiéj“ (1859, 3 tomy). Przykład przezeń dany nie znalazł atoli chętnych a zdolnych naśladowców. Dopiéro w czasach najnowszych B. Prus w kilku nowelach i szkicach wprowadził ten pierwiastek społeczny z gorącą dla niego sympatyą. Właściwym atoli malarzem świata rzemieślniczego stał się p. Wincenty Kosiakiewicz.

Żył on widocznie długo wśród tego świata, nie jako przedmiotowo studyujący rzecz swą artysta, ale jako współuczestnik; miał więc możność robienia szczegółowych i powielekroć powtarzanych spostrzeżeń, a prócz tego odczuwał nietylko psychologicznie, lecz i życiowo to wszystko, co się w tym światku działo. Kowale, ślusarze, robotnicy warsztatów mechanicznych, uczniowie szkół technicznych, służba na kolejach żelaznych, to są najczęstsi i najulubieńsi mu przedstawiciele klasy rzemieślniczéj, lubo nie zapomina ani o mularzach ani o szewcach.

Patrzy on na nich z głębokiém, serdeczném spółczuciem, ale nie myśli w nich ukazywać samych doskonałości, nie przeciwstawia ich po doktrynersku innym warstwom niższym czy wyższym; pragnie tylko wniknąć w ich sposób myślenia, czucia i działania, pragnie pochwycić znamienne cechy ich bytu od dzieciństwa do starości i przez odmalowanie obrazków prawdziwych dać poznać tę klasę tym, co jéj nie znają lub co ją znają powierzchownie, albo przez pryzmat uprzedzeń klasowych.

Miłości dla nich nie myśli ukrywać, ale jéj czytelnikowi nie narzuca zgóry, od siebie; przenika tylko przedmiotowe odtworzenie obyczajów i losów rzemieślniczych ciepłem życzliwego dla osób usposobienia i ciepłem tém oddziaływa na czytelników odpowiednio nastrojonych. Liryzm autora nie występuje nigdzie wyraźnie w osobnych, podmiotowo sformułowanych zdaniach, ale tkwi głęboko i wszędzie w samém zestawieniu sytuacyi.

Pan Kosiakiewicz rozpoczął swój zawód powieściopisarski od drobnych obrazków, które częstokroć nie miały nawet żadnego nowelistycznego wątku. Pisał poprostu, bez żadnych ozdób stylistycznych, w toku umiarkowanie żywym, to jest w zdaniach krótkich, ale nie urywanych, bez wykrzykników, bez użycia barw jaśniejszych. Możnaby powiedzieć, że w kolorycie tych obrazków panował mrok pewien, będący wynikiem częścią ciemnego tła tych izb, w których postaci jego zazwyczaj przebywały, częścią trochę me-

lancholijnego nastroju autora, przed oczyma którego nie świeciła gwiazda otuchy wielkiéj lub idei. Nie rozpaczał on i nie wpadł w pesymizm na widok nieszczęść, biéd, oraz wad téj warstwy, którą malował, ale téż nie miał z czego wysnuwać promieni radości i szczęścia. Co dla jednych bywa uciechą i powodem śmiechu, staje się dla innych zmartwieniem i płacz lub gniew wywołuje, jak np. w przygodach „bąka“ tj. terminatora przybyłego ze wsi, z którego szydzić nie tylko czeladnicy, lecz i terminatorzy miejscy uważają sobie niemal za obowiązek. Pewnego razu dał mu któryś z czeladników trzy grosze, kazał iść do apteki, kupić za grosz prowizora i przynieść dwa grosze reszty. Bąk poszedł w dobréj wierze i został wyrzucony za drzwi. Wrócił zmartwiony, że nie mógł spełnić polecenia i słyszy śmiechy. Śmieje się i on wreszcie, uradowany, że mu po łbie nie dano, choć tym razem według jego zdania byłoby za co. Kiedyindziéj kuto żelazo. Bąk, zapatrzony w sufit, ciągnie miech nadół. „Bąku—mówią mu—podajno tamten kawałek żelaza“. Bąk podchodzi, schyla się, podnosi go i nagle z krzykiem upuszcza na ziemię. Warsztat zadrgał śmiechem. „A co, Bąku! — powiadają — ciężkie? nie poradzisz, choć takiś silny“. Bąk patrzy na poparzone palce, ale kontent jest, że mu pozwalają powrócić do miecha.

Wesołości szczeréj, jasnéj, wyrażającéj się śmiechem swobodnym niéma, u naszego autora. Posępnie spogląda na ludzi i ich stosunki, w świecie tylko dziecinnym dostrzega niezamąconą radość, wynikającą z nieznajomości życia i z zadawalniania się chwilą bieżącą. U starszych widzi śmieszności, ale one go do śmiechu nie pobudzają. Taki np. pan Mateusz, który z biednego szewca w Żarnowcu „własną pracą“ dorobiwszy się znacznego majątku, został wybrednym sybarytą i umiał mówić o jednym tylko przedmiocie, to jest o swoich ciężkich przejściach w drodze do bogactwa, dla powieściopisarza z wesołym nastrojem ducha stałby się przedmiotem śmiechu, dla pana Kosiakiewicza jest tylko nudnym, choć charakterystycznym okazem upośledzonéj umysłowości przy dobrym zresztą sercu. Mówi więc, jak na obiedzie u siebie p. Mateusz bierze pochop z każdéj podanéj na stół potrawy do opowiedzenia jakiéjś anegdoty ze swego biedowania i tém gościa nie tylko nie bawi, lecz mu apetyt odejmuje. „Skończył się wreszcie obiad i zapalono cygara. Gość stracił humor, puszcza gęste kłęby dymu. Przestał już potakiwać i nawet udaje roztargnionego, w nadziei, że choć na końcu gospodarz obdarzy go najlepszém ze wszystkiego: milczeniem. Ale niestety! Cygara przypominają właśnie panu Mateuszowi używaną przez tyle lat... machorkę. Gościowi, który trzy-

ma w ustach wyborne cygaro, zdaje się, że uczuwa jakiś wstrętny smak na języku. Spluwa więc. — Co to, nie smakuje panu?— zapytuje troskliwie pan Mateusz. To są prawdziwe hawana, oryginalne; teraz innych nie palę.—Gość wychodzi wreszcie, znużony i znudzony, głodny po dobrym obiedzie i czując niesmak w ustach po doskonałém cygarze". Możnaby tu zauważyć, że ten gość był tetrykiem zdenerwowanym nieco. Prawda, są ludzie mogący się naprzykrzyć swą gadatliwością, ciągłém mówieniem o sobie, ustawicznem porównywaniem,—w porę i nie w porę—tego, co jest dzisiaj, z tém, co było dawniéj; ale bywa tak zazwyczaj wówczas, gdy ludzie owi są zarozumiali i obraźliwi, gdy sobie przerwać i w niczém zaprzeczyć nie dozwalają. P. Mateusz jednak do ich liczby nie należy, jak wnosimy z tego, co nam autor o nim opowiedział. Toż on nie obraża się nawet, gdy go grono młodych birbantów w restauracyjce wyciąga na opowiadania i upiększa je po swojemu „złośliwemi dowcipami". P. Mateusz mówi w takich razach dobrodusznie: „trzeba się przecież bawić". Z takim człowiekiem i z takiego człowieka pośmiać się chyba można, nie tracąc apetytu i nie czując niesmaku. Żyć z nim ciągle, zapewne, nie byłoby rzeczą zabawną, ale bo téż autor nie maluje nam jego życia, tylko drobny epizod z długiego szeregu lat, chwil kilka zaledwie, a te, przy pogodniejszym nastroju umysłu, dałoby się z nim przepędzić.

Rzewność natomiast, jako nieprzeciwna mrocznemu trochę usposobieniu nowelisty, znajduje w jego utworach niejednokrotnie wyraz artystycznie piękny i prawdziwy. Nie przeszła ona dotychczas nigdy pewnéj miary pośredniéj; nie przemieniła się w rozczulenie i łzawość, bo nie była stanem trwałym, lecz tylko chwilowym, przemijającym objawem u osób skądinąd trzeźwo zapatrujących się na życie, szorstkich, rubasznych, zmuszonych do pracy fizycznéj, a więc nie mających czasu na zastanawianie się nad swojemi uczuciami i rozbieranie ich. Rzewność ta bywa nawet powstrzymywana, tłumiona, ukrywana, żeby jéj nie brano za mazgajstwo, dowód słabości i wydelikacenia, lub téż żeby się nie narażono na śmiech i szyderstwo. Weźmy np. stosunek męża do żony, kochających się pomimo biedy i kłótni. On jest mularzem, ona praczką. W lecie on szedł z domu na zarobek, ale go nie przynosił, wracał pijany, obdarty, obszarpany i zły. Żona woła o pieniądze; mąż probuje z początku poradzić z nią dobrocią, ale widząc, że to nie pomaga, „buch ją raz i drugi w łeb za to, że gada, potém ją znowu, że krzyczy, a potém ją jeszcze, że płacze i lamentuje, choć nie ma czego". Dzień jeden, drugi i trzeci prawdziwe piekło w domu. Mularz radby się pogodzić, ale żona „gębie wypoczynku nie daje". Mąż wieczorem szczególnie „rozmawia łagodnie i nawet żonę po

rękach chce całować, ale ta odpycha go gwałtownie i nie przestaje wymyślać, na czém świat stoi". Mularz rozzłoszczony daje jéj na noc kilka dobrych kułaków i kładzie się spać na podłodze, podkładając worek pod głowę i mruczy przytém, mruczy długo, aż dopóki chrapać nie zacznie". Powoli jednak po wyburzeniu się następuje porozumienie: żona łagodnieje, mąż opowiada jéj swoje przygody letnie, „a gdy słyszy od niéj wymówki za hultajstwo, marnotrawstwo i pijaństwo, opiéra głowę na dłoniach i głośno fruka nosem". Wreszcie nie poniewiera się mularz na podłodze, lecz kładzie się spać do wygodnego łóżka, „jedynego wprawdzie w izbie, ale dostatecznie szerokiego". Nazajutrz podśpiewuje sobie jakąś wesołą piosnkę mularską a żona udobruchana zupełnie opowiada zmartwienia swoje i kłopoty, które zniosła w czasie jego nieobecności w domu. Mularz znosi to z pokorą i obiecuje „wszystko złe odrobić na przyszłe lato"... Nadeszła wiosna. „Wreszcie pewnego dnia zabrał narzędzia pod pachę i zaczął żegnać się z żoną. Mularzowéj zrobiło się markotno. „Ech, zostałbyś—rzekła.—Nie mogę, trza iść na robotę.—I tubyś ją znalazł, żebyś ino chciał. Tyle domów w Warszawie rokrocznie się buduje...—Niedoczekanie ich, żebym za taką marną cenę harował. Tam płacą, to rozumiem. Na jesień przyniosę ci sto rubli jak lodu... — Złe licho chyba ciągnie cię w świat. Zostałbyś, m ó j t y!—Nie mogę... nie mogę... no! nie mogę!—Pożegnał się... Ona wyszła za nim przed bramę i odprowadziła go wzrokiem, gdy połączywszy się z innymi mularzami, jak on wychodzącymi na robotę, znikł na zakręcie Bednarskiéj. Wracała do swéj balii, pełnéj brudnéj bielizny i mydlin, ocierając łzy fartuchem. Taka-bo to i dola mularskiéj żony: b e z lato p r z e z męża, b e z zimę p r z e z chleba — rób, co chcesz!" Na zimę powrócili znajomi mularze, ale jego nie było widać. „A gdzież mój?" —pytała ich nasza znajoma. Milczeli, spoglądając jeden na drugiego. Ona „chciała mówić coś, ale nie mogła: osłupiała". Czas jakiś trwało milczenie. Nakoniec jeden z mularzy zebrał się na odwagę i oznajmił nieszczęście. Ona „patrzyła długą chwilę, jakgdyby nie rozumiejąc nic, i nagle—ryknęła strasznym płaczem. Rękami chwyciła się za włosy". Nie zostaniemy jednak pod wrażeniem boleści żony. Autor kończy wystawieniem pustoty dziecka, wisusa Pietrka, dla którego powrót ojca łączył się z uczuciem razów rzemienia spadającego na plecy za figle podczas lata popełniane i pozbawiał go swobody latania i dokazywania z innymi chłopakami. On nie odczuł jeszcze straty: zrozumiał tylko, że bezkarnie będzie mógł pójść na zabawę. W sieni zatrzymał się, „dotknięty gwałtownym płaczem lamentującéj matki". Ale wtedy dostrzegli go malcy lepiący

bałwana ze śniegu i zawołali go. Po chwili Pietrek był już z nimi i kręcił piguły...

Oprócz rzemieślników doskonale maluje p. K. w nowelach swoich teatr prowincyonalny, z którego zwyczajami dobrze jest obznajmiony. Widzimy tu aktorów jedzących, pijących, kłócących się, rozprawiających o pensyi, przedsiębiorstwie, benefisach, intrygach, ale jak najmniéj o sztuce. Widzimy „mamę Chrétien" strzegącą cnoty córki swéj aktorki w nadziei, że się zjawi jaki książę peruwiański i losem świetnym wynagrodzi i tę cnotę i tę biédę starannie pokrywaną. Widzimy wreszcie jednę z najświetniéj u p. K. wykonanych postaci, Wiórkiewicza, który od dzieciństwa czuł „powołanie" artystyczne, chociaż najmniejszéj nie miał potemu zdolności, i skończył na numerowaniu biletów teatralnych i przepisywaniu ról.

W większych utworach p. Kosiakiewicza odnajdujemy też same właściwości co i w nowelach. Mroczny nastrój przerywany bywa kiedyniekiedy wybuchami hałaśliwéj wesołości, ale nigdy nie ustępuje miejsca szczeremu, szerokiemu śmiechowi; rzewność hamowana wybornie się tu wyraża; ludzie są prawdziwi, z życia wzięci, tylko że wady ich rozwinięte obszerniéj.

Mamy dotychczas dwa takie większe utwory: „Janek" i „Nasz mały".

W „Janku" widzimy obraz młodzieńca o dobrém w gruncie sercu, ale lekkomyślnego w najwyższym stopniu, nie lubiącego pracy i stąd zmieniającego ciągle rodzaj zajęcia, ożenionego potém z kobietą, w któréj wyrobiły się popędy do zabawy i użycia tylko. Dwa takie usposobienia wzajemnie na się oddziaływając wytwarzają sobie życie z dnia na dzień, doprowadzają Janka do popełnienia kradzieży, a Helenę do puszczenia się na rozpustę. Autor malując te charaktery za pośrednictwem rysów drobnych, szczegółów znamiennych, nie pomija wpływu dziedziczności i otoczenia. Ojciec Janka, starszy telegrafista we Włocławku, był-to człowiek wesoły, uczynny, koleżeński, lubiany powszechnie przez mężczyzn jako doskonały towarzysz, a przez kobiety jako ich wielbiciel i wyborny tancerz. Przebywał ciągle w resursie, handlach win, teatrze, jeżeli nie był w biurze; potrzebował żyć nieustannie pomiędzy ludźmi. „Obdarzony czułém usposobieniem, nie mogącém znieść widoku nędzy i cierpienia, szedł chętnie za pierwszym dobrym popędem: zabawy, które urządzał, odbywały się na korzyść różnych biedaków". Nieraz zapraszał na obiad „obdartego i zgłodniałego" i dawał mu dobre jeszcze palto swoje lub kamasze. Umarł w 36-ym roku życia na suchoty. Po nim wziął Janek skłonność do zabaw i pewną uczuciowość, ale nie odziedziczył względnéj przynaj-

mniéj pracowitości, nie rozumiał obowiązku. Matka łagodna i gospodarna, z umysłem łatwo ulegającym wahaniom i przemianom, nie miała nań żadnego wpływu. Zawiedziona we wszystkich nadziejach, jakie pokładała na swéj przedsiębiorczości, na obcych i na krewnych, zaniedbała się w końcu, oddała się dewocyi i wreszcie zwaryowała. Janek, którego więcéj kochała niż pracowitą córkę, w znacznéj części był powodem nieszczęść i niepokojów matki; nie chciał się on uczyć ani pracować fizycznie. Zostawszy dopiero sam z siostrą, chwilowo się ustatkował, został ślusarzem w warsztatach mechanicznych na kolei; wtedy poznał piękną Helę, usługującą w prywatnie utrzymywanéj jadłodajni (opisanéj wybornie). Ojciec Heleny był garsonem, gdy ożenił się z pokojówką jakiejś hrabiny; obchodził się z żoną najniegodziwiéj; na utrzymanie siebie, córki i męża nawet zarabiała ona praniem bielizny, „kryjąc się z tém przed gospodarzem domu, któryby praczki nie trzymał w lokalu, ponieważ to zaprowadza wilgoć“. Mając lat czternaście zaczęła się Helenka uczyć wyrobu sztucznych kwiatów u pani, któréj córki prowadziły wesołe życie, ubierały się jak księżne, jeździły własnemi powozami. Robota jéj nie smakowała. Po śmierci matki chętnie przeniosła się do cioci dla obsługi stołowników; wówczas „przyjęła nie jedno silniejsze uściśnienie rączki, otrzymała niejeden pocałunek, usłyszała niejedno wyznanie miłości“. Janek uważał ją za uosobioną niewinność, ożenił się i rozpoczął życie pełne uniesień z początku, kolacyjek w restauracyach wykwintnych, a nawet przesypiania się w hotelach drogich, ażeby użyć rozkoszy pańskich. Zaniedbał się w robocie, stracił miejsce i rzucił się do kradzieży wtedy właśnie, gdy żona jego opuszczała dom z ulubieńcem. Nie zmarniał zupełnie. Odchorował i więzienie, i karę, a zwłaszcza rozczarowanie. Siostra pracowita wraz z mężem swym wpłynęła nań ozdrawiająco. Janek poszukuje pracy.

W kompozycyi „Janka“ tę jednę możnaby wytknąć wadę, że wyjaśnienia sytuacyi (np. historya dzieciństwa i młodości Janka i Heleny) następują za późno, nieumotywowane sytuacyą, tylko dowolnie, a nadto wyjaśnienia te z powodu wprowadzenia znacznéj liczby osób są nieco zagmatwane i nie robią należytego wrażenia.

Kompozycya obrazka „Nasz mały“ jest prostszą i spójniejszą. Autor pragnął uwydatnić tę myśl, jak zajęcie się losem najmłodszego z rodzeństwa skupia, jednoczy, godzi całą rodzinę rzemieślniczą, jak na wszystkich wpływa umoralniająco, a przeciwnie jak śmierć tego „małego“ rozluźnia owe serdeczne węzły i sprawia, że każdy znowu idzie osobno swoją drogą. Wskutek takiego założenia p. Kosiakiewicz szeroko potrzebował odmalować szczegóły

nauki Karolka, na którą składają się wszyscy, rywalizacyą nawet w dobrém członków rodziny, a zakończyć nagle, gdy śmierć go zabrała. Smutne opowieść zostawia wrażenie, ale nie można zarzucić autorowi braku prawdy realnéj. Tak bywa... i nieraz. Utwór ten obfituje w sytuacye pełne głębokiéj rzewności i serdeczności, ujawnionéj często w sposób szorstki lub nawet drwiący, jak np. w figurze brata starszego, roznosiciela gazet, ukrywającego dobre serce pod żartobliwą formą.

Pięknie wykonane utwory są dla wytrwałych zachętą do prac większych i jeszcze piękniéj tworzonych. Po panu Kosiakiewiczu możemy się spodziewać ciągłego dążenia w górę: *Excelsior*!

P. Chmielowski.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Archiwum książąt Lubartowiczów Sanguszków w Sławucie, wydane nakładem właściciela przez Z. L. Radzimińskiego i B. Gorczaka. Tom II (1284—1501). Lwów. 1888. 4-o str. 380 i 6 tablic litogr.

Z omówionego w jednym z poprzednich roczników „Ateneum“ pierwszego tomu wydawnictwa, podjętego nakładem dbałego o przeszłość rodu potomka tegoż, widocznem było, że w archiwum Sławuckiem znajdują się dokumenta i innych rodzin, związanych z domem Sanguszków stosunkami pokrewieństwa, koligacyi i interesami majątkowemi. Widzieliśmy tam kilka ważnych dokumentów, odnoszących się do możnych rodzin Leliwitów: Melsztyńskich i Tarnowskich. Obecnie mamy tom złożony z 242 numerów aktów, odnoszących się głównie do tych możnowładczych rodzin, a składa się na nie, prócz aktów Sławuckich, najstarsza część archiwum Gumniskiego (w Galicyi pod Tarnowem, własność Sanguszków), zawierającego najdawniejsze dokumenta rodziny Tarnowskich. Nasuwa się pytanie, dlaczego nie podano dokumentów, odnoszących się do Leliwitów w jednym tomie? Brak ścisłego planu w wydawnictwie, przewidującego wszystko, obliczającego materyał, z rozdziałem na części główne i podpodziały, jest tak uderzającym, że nie dziwilibyśmy się już wcale, gdyby w dalszych tomach publikacyi Archiwum Sławuckiego, ogłoszono akta odnoszące się do Tarnopolszczyzny, która była ongi w posiadaniu Ostrogskich, gdyż archiwa tej rodziny weszły w skład Sławuckiego

Zamiast aktów Sanguszkowskich, tom drugi wydawnictwa zawiera mnóstwo dokumentów, odnoszących się do Leliwitów, a ponieważ ci byli skoligaceni z Kmitami, a więc i do Kmitów. Nie na tem koniec niespodzianki. I tak, ponieważ w archiwum Gumniskiem znaleziono kopiaryusz: *privilegiorum civitatis Jaroslaviensis*, a Jarosław należał niegdyś do rodziny Tarnowskich, więc mamy i z tej

księgi kilka dokumentów, a ponieważ dalej trzecia żona ks. Pawła Sanguszki, Grudzińska z domu, wniosła w posagu dobra położone na Mazowszu a opisane w *compendium iurium Magnificorum Grudzińskich* a więc i z téj księgi mamy kilka dokumentów, oczywiście mazowieckich. Na tak kruchych podstawach, tłoczących siłą mocą akta, nie stojące w żadnym do siebie związku, możnaby było pomieścić w nim i dokumenta gdańskie, bo Jarosław jak wiemy był, w czasach objętych dyplomataryuszem, własnością Pileckich, a ponieważ wnuczka Spytka Jarosławskiego Zofia, wdowa po Krzysztofie Tarnowskim, kasztelanie wojnickim, wyszła powtórnie za mąż za Jana Kostkę, kasztelana gdańskiego, więc w dyplomataryusz mogłyby wejść i dokumenta gdańskie, gdyby przypadkowo jaki kopiaryusz gdański, o co zresztą nie trudno, znalazł się w archiwum.

Zresztą kierownictwo p. Radzimińskiego, prócz wyboru aktów, ogranicza się do napisania czterokartkowéj przedmowy i z tego tylko powodu umieszczono na kartce tytułowéj nazwisko jego, jako wydawcy. Obok stojące nazwisko p. B. Gorczaka, oznacza tego, który podjął pracę wydawniczą całego tomu. Nie mamy zresztą powodu uskarżać się na krótkość przedmowy, gdyż i w téj postaci, zawiera ona kilka twierdzeń, wymagających sprostowania. Żadną bowiem miarą nie można się zgodzić na takie twierdzenie kierownika wydawnictwa, jakie czytamy na str. X: „zamieściliśmy w tym tomie 242 dokumenty". Wszakżeż numera 19, 22, 32, 34, 43, 50, 66, 68, 69, 75, 76, 82, 84, 92, 95, 98, 115, 118, 121, 137, 139, 142, 150, 152, 153, 154, 155, 169, 173, 179, 184, 186, 187, 189, 190, 191—193, 197, 199, 204, 205, 218, 219, 221, 222, 223, 224—226, 231, 232, 235, 236, 238 — w poważnéj liczbie 55 numerów—toć to przecież regesta ze starego kopiaryusza a nie dokumenty. Należało tedy powiedzieć, że pomieszczono w tomie 242 numerów, z tych *per extensum* tyle, w starych regestach z sumaryusza Wiśnickiego tyle.

Kierownik wydawnictwa, powinien był przynajmniéj polecić porównanie treści tych regestów z tenorem zawartym w księgach grodzkich i ziemskich, oczywiście o ile to można było uskutecznić, gdyż mojém zdaniem, przedruk z sumaryusza Wiśnickiego, jakkolwiek uzupełnia ilość numerów do liczby 242, to jednakże wiele pozostawia do życzenia i nie zdoła zadowolnić badacza równie jak owe 13 kopii z XVIII wieku, które również łatwo dałyby się odszukać w aktach grodzkich i ziemskich. Jak błędnym jest wspomniany sumaryusz, dowodzi Nr. 155, str. 188, którego treść poprawia wydawca z zapisek Sanockich, wydanych w XI tomie Aktów gr. i ziems. W sumaryuszu opiewał zastaw dóbr Orzechowie, w ory-

ginalnéj zapisce Ruszelczyc. Już z tego okazywała się potrzeba podobnych porównań i innych regestów sumaryusza Wiśnickiego, źródła co najmniéj niepewnego.

Mówi dalej kierownik wydawnictwa o znanym z Bandtkiego przywileju Jagiełły dla duchowieństwa i szlachty z r. 1388, drukowanym tu z oryginału w odmiennéj redakcyi, że dokument ten pierwszorzędnéj wagi, „przechowany w domu panów z Tarnowa, służyć może za dowód ich znaczenia i roli, jaką odgrywać musieli przy zdobyciu rzeczonego przywileju". Twierdzenie to jest mylne i trzeba było tylko zajrzéć do oryginału, aby się przekonać, że przywilej ten, znajdujący się w archiwum Sławuckiém, dany był herbowcom Trąby, jak to wyraźnie napisane jest na przywileju: *Istud privilegium est datum genologie Trąba dicte*, na którą to zapiskę przy sposobności zwróciłem był dawniéj uwagę historyków. Wydawca przeczytał *Trota*, chociaż taki herb nie istnieje, a kierownik archiwum domyśla się w tém Tarnowskich. Inna znowu rzecz, w jaki sposób dokument przeznaczony dla Trąbów dostał się do książęcego archiwum, może nawet przez Leliwitów i nie przesądzam wcale, aby ci ostatni, odgrywający w owych czasach większą nawet rolę jak Trąbowie, nie mieli miéć u siebie egzemplarza przywileju z 1388 r. i nie przyczyniać się do uzyskania swobód w nim zawartych.

Nawet nie uwzględniając owych kilkudziesięciu numerów, podanych w regestach i owych numerów, zaczerpniętych z niedokładnych kopii, zawsze jeszcze dyplomataryusz zawiera sporą liczbę aktów, odnoszących się do możnego rodu Leliwitów. Prawda, że numera 1, 5, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 18, 21, 27, 28, 29, 30, 36, 39, 47, 56, 58, 63, 71, 99, 105, 123, 126, 129, 132, 148, 155 i 180 są znane i niejednokrotnie już drukowane, niektóre znane z przekładu na język polski jak 126 i 180, pomimo to mamy je w nowéj edycyi, przyczém zaznaczyć należy, że dokumenta u Piekosińskiego z kopii podane, są tu również podane z kopii. Wobec tego najstarsze dokumenta mało uzupełniają ciekawe i ważne wiadomości, odnoszące się do Leliwitów. Gdyby były nieznane, mielibyśmy sposobność pomówić o Spycymirze, przodku domu Melsztyńskich i Tarnowskich, o zasługach tegoż około założenia Tarnowa, o organizacyjnéj pracy przy lokowaniu wsi nad brzegami Białéj, dopomagającego dwom królom, Łokietkowi i Kazimierzowi, swą radą i orężem. Niestety akta są znane i żałować bardzo należy, że w gnieździe tak możnéj rodziny nie znalazły się inne jeszcze akta, któreby jaśniejsze rzuciły światło na stosunek tego znakomitego męża do Kazimierza W., do poselstw zagranicznych pana Spycymira, do jego zasług w zajęciu Rusi Czerwonéj. Tak samo i do Melsztyńskich, po-

chodzących od Jaśka z Melsztyna, starszego syna Spycymira, nic mamy wiadomości prócz znanych zkądinąd, a więc i do sławnego bohatera z pod Worskły, pana Spytka, założyciela Sambora, jak równie i do jego syna tegoż imienia, który zawieruszył kraj w 1439 roku.

Natomiast do genealogii Leliwitów drugiéj gałęzi mamy nadzwyczaj ważne źródło w akcie z r. 1415, na mocy którego Jan z Tarnowa, wojewoda krakowski, funduje kaplicę przy kolegiacie Tarnowskiéj. Dotychczasowi genealogowie, kreśląc najstarsze linie Leliwitów, wyprowadzali wspomnianego wojewodę krakowskiego od Jaśka z Tarnowa, syna Jaśka Melsztyńskiego, a wnuka Spycymira (ob. Turkowski, Spytko z Melsztyna, tablica genealog. str. 73 i objaśnienia genealogiczne). Tymczasem w akcie owym wojewoda, wspominając swoich dziadów i pradziadów, wyraźnie mówi o ojcu swym Janie z Tarnowa kasztelanie krakowskim i o matce Katarzynie; mianuje się jednakowoż wnukiem Rafała, nie jak przypuszczano Jaśka z Melsztyna, a prawnukiem Spycymira co w zupełności stwierdza zdanie Szajnochy. Jako stryjów tenże wojewoda wymienia Spytka z Melsztyna wojewodę i Spycymira podkomorzego krakowskich, nie wymieniając czy oni byli synami Rafała z Tarnowa czyli téż Jaśka z Melsztyna. Widzimy więc, że najnowsze genealogie Leliwitów są błędne i że należy je sprostować według pomienionego aktu.

Z liczby 12 dokumentów politycznéj treści mamy 5 znanych. Zwłaszcza wielki przywiléj Jagiełły dla szlachty i duchowieństwa z 1388 r., aczkolwiek znany w odmiennéj nieco redakcyi, zasługuje na baczną uwagę historyka i mógłby posłużyć za temat do osobnéj rozprawy. O swobody, tu zawarte w artykule poręczającym szlachcie wykupno z niewoli, starali się panowie Leliwici już przedtém zarówno u Ludwika węgierskiego (N. 47) jako téż u królowéj Jadwigi (N. 56) i uzyskali żądane zapewnienie w 1376 i 1384. Bardzo ważny jest list króla Olbrachta, datowany w Poznaniu 13 listopada 1493 r., w którym tenże donosi Aleksandrowi w. ks. Litwy o grożącém niebezpieczeństwie bratu ich Władysławowi Węgierskiemu ze strony Turków i króla Rzymskiego. Są tam skargi na brak łączności, braterskiéj miłości między braćmi Jagiellończykami, to téż Olbracht doradza wspólne porozumiewanie się: gdyż najlepiéj jest, jeżeli sami o sobie radzić będą. Tym celem proponuje król Aleksandrowi, by pojął córkę Wasyla w. ks. Moskiewskiego za żonę, a to z téj racyi politycznéj, że związek ten, jak mniemał naiwnie król, przetnie królowi Rzymskiemu sieć jego intryg w Węgrzech i gdzieindziéj i że Wasyl pozostawi Litwę w spokoju. To téż cie-

kawy ten i ze wszech miar ważny list nie świadczy o dokładnéj znajomości Olbrachta ówczesnego „położenia politycznego“, jak to twierdzi kierownik wydawnictwa. Przeciwnie daje on świadectwo owego nie trzeźwego i zgubnego wpływu włoskiego emigranta, któremu tak dalece uległ młody król, że widział wszędy widma trudności i niebezpieczeństwa, przesadzał istotny stan rzeczy i podawał bratu zgubne w skutkach dorady. Widzimy w tym liście owe dążenia do jakiegoś idealnego nieokreślonego celu, mającego powiązać braci Jagiellończyków wspólnym interesem, jakby zawiązek owego pomysłu, który zawiódł Olbrachta w nieszczęsne lasy Bukowińskie. I do tego idealnego celu użył on i wtajemniczył brata, o którym tak niepochlebny w tym liście sąd wydaje. Olbracht więc mierzył siły na zamiary, co już wcale nie świadczy o dokładnéj znajomości ówczesnych stosunków.

Ważném jest wreszcie wezwanie zawiadowców skarbu publicznego do wyższego duchowieństwa (r. 1504 N. 236), mającego się zebrać na synodzie, aby z podatków, które tamże uchwalić mają (nie, jak wydawca mówi, z nałożonych na duchowieństwo podatków, gdyż o takiém nałożeniu niéma w akcie mowy), zechcieli spłacić dług zaciągnięty od wojewody lubelskiego na gwałtowne potrzeby państwa.

Wydawnictwo aktów spoczęło w tym tomie wyłącznie w rękach p. Gorczaka, którego tu witamy poraz pierwszy jako samoistnego wydawcę: w poprzednim tomie, jak wiadomo, należał do spółki wydawniczéj. Wydawca jest sumienny i skrupulatny i podaje tekst, ogółem biorąc, staranny i czysty, warunek najważniejszy przy wydawnictwie, co tém bardziéj uznać należy, że wielka liczba numerów pochodzi z wcale nędznych kopii rozmaitych czasów. Zresztą przy wydawnictwie, mającém za przedmiot akta dotyczące zastawów, pokwitowań, wyroków sądowych, ugód, zapisów, lokacyi, nie miał wydawca żadnych do pokonania trudności, czerpiąc z oryginałów gumniskich i sławuckich w liczbie 150, z których nie jeden zawierał transumpta innych dokumentów i w ten sposób mnożył liczbę aktów wydawnictwa. Najbardziéj czysty i staranny jest tekst oczywiście tam, gdzie wydawca miał obok oryginału tekst drukowany. Natenczas niéma już niepotrzebnych wykrzykników, zbytecznych pauz, pytajników, wogóle znaków pisarskich, któremi przeładowuje inne numera. W skrupulatności swéj posunął się wydawca tak daleko, że tekst drukowany już poprzednio u Piekosińskiego np., zaopatruje w szereg lekcyi i zmianek uwzględniających najmniejsze różnice, chociażby one były błahe i prawie literowe. Staranność tak ścisła da się jeszcze wytłómaczyć, jeśli

przed wydawcą leżał oryginał tak ważnego dokumentu, jak owa zgoda Pawła z Przemankowa z Leszkiem, lub gdyby wydawał pomniki średniowieczne do „Monumentów“. Ale wydawca drukuje nawet wtedy odmianki, gdy ma przed sobą oryginał i transumpt tegoż samego aktu, dotyczącego jakiejkolwiek tranzakcyi i podaje zmianki z transumptu np. N. 25, 59, 61 a co dziwniejsze, podaje zmianki drukowanego z kopii u Piekosińskiego dokumentu, skoro także ma przed sobą kopią z XVIII w., jak tego dowodzi np. N. 36.

Balast ten zmianek jest zupełnie zbyteczny. Z transumptów i innych oryginałów należałoby tylko wtedy podawać odmianki, gdy one istotnie zmieniają lub poprawiają tenor oryginału, na podstawie którego uskuteczniamy nowy tekst. Przypuśćmy, że skrupulatność wydawcy ma na celu ułatwienia badaczowi studyum o autentyczności aktu, że ma wzbudzić wiarę, o prawdziwości dokumentu wziętego z oryginału lub z kopii i że z tych powodów podaje wydawca brzmienie aktu w jak najwierniejszéj kopii pierwowzoru z wszelkiemi dziwactwami ówczesnéj pisowni: *ewm* zamiast *evum*, *vno* zamiast *uno*, *vt* zamiast *ut* itd. Nie zawsze jednak wydawca konsekwentnie przeprowadza tę zasadę, jak widać z numeru np. 208. Jest to akt dotyczący fundacyi kolegiaty w Lubrańcu 1497 r., a wypis grodzki przedecki z 1599 r. służył za podstawę. W druku pisownia tak jest zmieniona, iż sądzić można, że to akt wprost z oryginału wzięty, gdyż pisownia *Polonie*, *ecclesie*, *predicte*, *ordinacionem* itd. wskazuje na wiek XV, a przecież akt drukowano według kopii urzędowéj z końca XVI w., kiedy pisownia była zupełnie inna i zbliżona do tegoczesnéj. Nie na tém koniec—kopia była błędna a wydawca sam mówi, że poprawił błędy i nie zaznaczył takowych (str. 264), sam więc odstępuje od przyjętéj zasady.

Widzimy tedy, że co do zasad wydawniczych jest wydawca niestały i czasem balast zmianek opuszcza, jak np. przy numerach wspólnych z Helclem, a w innych miejscach literowe nieraz zmianki do znudzenia podaje i nawet tekst znajdujący się i u Piekosińskiego nazywa błędnym. Czyżby tekst wydawcy był bezbłędny? Przeciwnie, mam powód do sądzenia, że jeżeli kto jeszcze raz wielokrotnie wydane przez Bartoszewicza, Helcla, Piekosińskiego dokumenta będzie wydawać z oryginałów i kopii, jakie miał p. Gorczak przed sobą i jeżeli zechce ścisłość wydawniczą doprowadzić do ostateczności, natenczas wiele jeszcze zmianek wydrukuje w nowym tekście. Wnoszę to z numeru 234, zresztą bardzo dobrze wydanego aktu, którego kopią sporządziłem sobie z tegoż samego oryginału Sławuckiego, ale czytam w nim nie *Wisnicze* lecz *Vissnicze*, daléj nie *dominaciones* lecz *d*, które uzupełnić należy *d*(*ominaciones*),

w wierszu 16 i 21, przy *Curozwyaky* dodaję *sic*. Nie zmieniają te różnice wcale treści aktu, który jest dobrze wydany, a można jeszcze dodać, że i opis dokumentu nie jest ścisły, że pierwsza mianowicie pieczęć jest na czerwonym wosku wyciśnięta, druga na zielonym, że trzecia jest sygnetowa i zatarta. Przypuśćmy, że mam zupełną słuszność w emendacyach, to przecież widoczna, że ścisłość wydawcy nie jest tak arcypewną i że stworzył balast przy aktach drukowanych powtórnie lub po raz trzeci w téj edycyi.

Natomiast w dokumentach poraz pierwszy drukowanych tekst wydawcy nie jest już tak pewny, czego dowodzą chociażby liczne wykrzykniki, których i w części niéma przy aktach, dawniéj już ogłoszonych przez Piekosińskiego itd. Dodajmy, że większa część wykrzykników, mających zwrócić uwagę badacza na tekst popsuty lub na błąd przepisywacza, jest zbyteczną; tak np. str. 129: przy *emerat*; str. 140: *habuit*; str. 162: *abscessit*; str. 174: *continentes*; str. 266: *residebamus* itd.; że są to formy prawidłowe i wcale składni nie psujące. Wykrzykników przy formach zepsutych, które atoli w łacinie średniowiecznéj są tak częste, że zyskały poniekąd prawo obywatelstwa, jak *contingerit* str. 92, *demptis* str. 226, mamy pełno. I ta jednak zasada nie jest ściśle przeprowadzona: np. str. 29, w. 5 z dołu stoi wyraz *optentum* bez wskazania na błędną formę. Nie zwraca uwagi wydawca na takie nonsensa, jak str. 177 w. 7 z góry *modico imitate* odnośnie do *granicies*, albo str. 251 *de bancis alias kraykowego*, a natomiast drukuje *duo* (!) *molendino*, chociaż *duo* jest formą prawidłową a zamiast *molendino* należało czytać *molendina*: gdyż *o* do *a* jest tak zbliżone, że nieraz i poznać trudno, a nadto oryginał służący tu za podstawę jest uszkodzony i na karb zatarcia można tu śmiało policzyć domiemalną pomyłkę w literze. Str. 71 w. 9 z dołu mamy wykrzyknik po *octogesimo* a przecież ta forma zachodzi tak często w średniowiecznych dokumentach i znajduje się już nietylko u Juwenala ale i u Wergilego.

Są téż i miejca błędnie odczytane. I tak na str. 96 w. 7 z góry nie *existentem* czytać trzeba lecz *existencium* w odniesieniu do *canonicorum* i nie *canonicorum prebendatorum* lecz *prebendariorum*; tamże nie *prebendatos* lecz *prebendarios*, nie *speculiter* lecz *specialiter*; nie można deklinować *presbiter* w genetivie *presbitri*, ani czytać tamże w. 17 *presbitros* lecz *presbiteros*; tak samo błędnie jest na str. 106 w. 8 z dołu *presbitrum*, na str. 133 w. 9 z góry *presbitris* i tamże w. 15 jakotéż i na innych miejscach. Tak samo str. 26 w. 11 z góry zamiast *conuincato* czytaj *communicato* w odniesieniu do *consilio*; str. 94 w. 12 z góry i 19 nie *desiuit* lecz *desinit;* str. 91 w. 3 z dołu nie *ewmque* lecz *eviternumque* w odniesieniu do *censum*; str. 69 w. 2

z dołu po *fideles* niepotrzebny wykrzyknik bo się odnosi do *famulatus* ale też i po *conatur* niepotrzebny przecinek; str. 65 w. 8 z góry nie *sactis* lecz *saccis*, bo *saccus* oznacza kaletę; str. 124 w. 7 z dołu nie *de orsu* lecz *deorsu* wyraz powstały z *de* i *vorsu*; str. 128 nie *super canonicatus et prebende* lecz *canonicatu et prebenda*; str. 107 w. 14 z dołu nie *iterim* lecz chyba *iterum*; str. 118 w. 7 z dołu nie *amissio qualibet bonorum hereditarium* lecz *amissio quelibet bonorum hereditariorum*; tamże w. 2 z dołu nie *utraque pars respondendas, p. e.*, lecz *utraque pars respondendo, p. e.*; str. 97 w. 5 z góry nie *ex—post felicium—successu* etc. lecz *expost—felicium* etc.; str. 97 w. 12 z góry nie *aliqua tenus* lecz *aliquatenus;* str. 98 w. 10 *mandans* czytaj *mandantes;* str. 8 dwukrotnie nie *ius novi fori* lecz *Novi fori* (Neu-Marckt) itd., nie licząc takich błędów jak *iura regales* str. 372; *ius propinguitatis* str. 373; *propinguitas* str. 375.

Przejdźmy teraz do uwag. Otóż z rzeczowych (str. 125) poprawiłbym, że Elżbieta wdowa po Spytku z Melsztyna nie pochodziła z rodziny węgierskiéj Fierlich lecz Vajdafi; była ona córką Emeryka Bubeka, znanego rządcy Rusi z ramienia Węgier; str. 53 w nagłówku czytałbym raczéj z Melsztyna aniżeli z Tarnowa. Nie zgodziłbym się również na takie nagłówki jak N. 7, w którym wydawca mówi o właścicielu Zalasa że ustanawiając we wsi swojéj sołtystwo, sprzedaje je a zarazem nadaje za roczną opłatą i innemi powinnościami takiemu a takiemu Bartkowi. Jest to wielosłowne opisanie sprzedaży prawa lokacyi sołtysa na prawie niemieckiém we wsi Zalas. Podobnie i pod N. 78 wielosłowny nagłówek jest tego rodzaju, że nie czytając aktu, możnaby akt pobożności tarnowskiego mieszczanina przypisać wojewodzie, który taki tylko w tym akcie brał udział, że wziąwszy od mieszczanina gotówkę zapisaną kościołowi, zahipotekował czynsz wieczysty na swych dochodach miejskich.

Natomiast, lubo łatwo jest domyśléć się gdzie leży Tarnów, Sandomierz, Wiślica itp., wydawca przy każdym dokumencie, w którym zachodzą te miasta, przypomina badaczowi o miejscu, kraju lub gubernii. Czyżby przypuszczał, że z naukowego wydawnictwa czerpać będą ludzie, którzy nigdy nic o tych miastach nie wiedzą?

Jeszcze bardziéj niewłaściwemi są objaśnienia miejscowości wymienianych przy imionach osobowych. Jak wiadomo, pisali się od rozmaitych miejscowości świadkowie obecni przy aktach, np. Jan z Pisar, Jakób z Sielca itd. Żaden pewno wydawca dyplomataryusza nie silił się na oznaczenie dokładne owych miejscowości, z których się pisali świadkowie, a są przecież pomiędzy wydawcami takie oryginały, jak szwedzki uczony Silverstolpe. To téż i p. Gorczak rzadko kiedy pokuszał się w pierwszéj części tego tomu o taki

trud jałowy i dopiero od połowy tomu, tj. od str. 165, mamy już stale takie objaśnienia jak: Dziersław z Rytwian, Rytwiany wieś w gubernii radomskiéj powiecie sandomirskim str. 190; przy Stanisławie z Przecławia kasztelanie Małogoskim trzeba już było dodać dwie noty: raz do miasteczka Przecławia drugi raz do osady miejskiéj Małogoszcza str. 191. Przy Janie z Błonia mamy objaśnienie: Błonie wieś w powiecie tarnowskim, a przy znanym Bartoszu z Ogrodzieńca: Ogrodzieniec osada miejska w gubernii kieleckiéj str. 230. Ależ miejscowości nazwanych Błonie mamy ogółem biorąc 14, a Ogrodzieńców 2 i pytanie jeszcze zachodzi, czy oznaczone przez wydawcę są trafne. Przypuszczając w zupełności, że owi Błońscy i Ogrodzieńcowie, zachodzący w akcie sandomierskim pisali się, nie z Błonia nad Koprzywianką i nie z Ogrodzieńca w Grójeckiem, lecz z oznaczonych w dyplomataryuszu miejscowości, zapytamy, po co taki balast zajmujący nieraz kilka stron druku? Jest rzeczą aż nadto jasną, że w oznaczeniach takich wydawca musi wybierać na chybi trafi ze Słownika geograficznego, skoro się zważy, że nieraz w jednym powiecie jest kilka miejscowości tejże saméj nazwy, że daléj są tak potoczne nazwy, iż ich kilkadziesiąt mamy, co robi wybór jeszcze trudniejszym; skoro daléj świadków brano ze szlachty przypadkowo nieraz bawiącéj w miejscu wydania aktu a pochodzącéj częstokroć z innéj ziemi; skoro w końcu szlachta pisała się niejednokrotnie z wielkopolskiéj osady a mieszkała w powiecie małopolskim.

Zresztą wydanie to wspaniałe; druk i papier nie pozostawiają niczego do życzenia, a na sześciu tablicach są wyobrażenia pieczęci. Z tych, pieczęci Przemysława tabl. II, i Jagiełły tabl. III. znane są już z daleko lepszych i dobrze zachowanych egzemplarzy.

Antoni Prochaska.

1, Nauka Ekonomii, handlu i przemysłu dla poświęcających się téj nauce i trudniących się stosowaniem jéj do spraw życia społecznego przez Wilhelma Roschera. — Z upoważnienia autora, z czwartego wydania niemieckiego przełożył dr. fil. Jan Banzemer. Warszawa. 1889 r. str. II + 128 in 8⁰ (Zeszyt I). — 2. Dr. Maurycy Meyer. Główne kierunki najnowszéj Ekonomii politycznéj na podstawie historycznéj i krytycznie przedstawione. Przełożyli z ostatniego wydania niemieckiego Feliks Jeziorański i Józef Piasecki, Warszawa, 1889 r. str. 269 in 8-o.

Wilhelm Roscher należy zapewne do najstarszych spółczesnych ekonomistów. W przeszłym roku obchodził 50-tą rocznicę swojéj profesorskiéj i literackiéj karyery. Z tego powodu uczeń jego niegdyś, a obecnie sam profesor w Berlinie i niepośledni pisarz, Gustaw Schmoller, poświęcił mistrzowi osobne studyum krytyczne,

pomieszczone w zbiorze drobniejszych artykułów pod ogólnym tytułem: *Zur Literaturgeschichte der Staats und Sozialwissenschaften* (1888). Schmoller przypisał swoję książkę Roscherowi na pamiątkę, że sędziwy autor otrzymał przed 50 laty stopień doktorski. Jestto studyum krytyczne, bardzo życzliwe, pełne uczniowskiéj wdzięczności, ale niestronne. Dowiadujemy się z niego, że Roscher karyerę naukową rozpoczął jako filolog i historyk, że prowadził życie ciche, oddane jedynie umiejętności i katedrze profesorskiéj, że sobie założył w pracy naukowéj przesadzenie abstrakcyjnéj ekonomii politycznéj na grunt historyczny i zastąpienie kameralistycznych teoryi Rau'a historycznemi. Znający dzieła Roschera zgodzą się, że ta charakterystyka jest słuszną. Roscher sam nazywa swoję metodę wykładu ekonomiki „historyczno-fizyologiczną"; jest on powszechnie uważany przez ekonomistów za założyciela szkoły historycznéj, albo raczéj kierunku historycznego, jaki się wytworzył przed kilkudziesięciu laty w Niemczech, a następnie dosięgnął i innych krajów. Kierunek ten, inaugurowany przez Roschera, zwracał się głównie przeciw teoryom ekonomicznym Adama Smitha i wnet pozyskał sobie wielu stronników, którzy bądź jako uczniowie, bądź jako zwolennicy Roschera rozpowszechniali go pismami i z katedr profesorskich, tak, iż można powiedzieć, że do ostatnich czasów był, a nawet w znacznéj mierze jest on dotychczas panującym w ekonomice niemieckiéj.

Gdy się ekonomiści, idąc za impulsem Roschera, zwrócili do historyi i przy jéj pomocy zaczęli badać rozmaite zjawiska i urządzenia ekonomiczne minionych wieków; gdy zaczęli porównywać koleje, jakie przechodziła własność, rolnictwo, bankierstwo, cechy itd. nabrali przekonania, iż zjawisk ekonomicznych nie można traktować abstrakcyjnie na wzór ilości matematycznych, lecz w związku ze sobą, jako grupę faktów pokrewnych, i w związku z naturą gruntu, na którym pewien naród siedzi. Pod wpływem szkoły historycznéj ekonomika z kosmopolitycznéj stała się narodową, a więc rachującą się z warunkami i faktycznemi i historycznemi każdego społeczeństwa; przestała głosić praw absolutnych i niby przyrodzonych wszędzie i zawsze działających. Otóż, tę zmianę metody badania faktów ekonomicznych rozpoczął Roscher i według niéj ułożył długi szereg dzieł, a między niemi najobszerniejsze i najwięcéj u nas znane: *System der Volkswirthschaft* (4-y tomy olbrzymie). Pierwszy tom obejmuje Ogólne zasady ekonomii polit., drugi Naukę Ekonomii rolnictwa; trzeci Ekonomią handlu i przemysłu; czwarty Naukę finansów. Tomy liczą po 50 i więcéj arkuszy druku, a gdyby niezliczone przypiski wydrukować pismem takiem, jak tekst

drukowany, byłoby drugie tyle tomów. Nie powinno to nikogo dziwić w XIX wieku, skoro już w XVIII na niemiecką kameralistykę w Encyklopedyi Krünitz'a potrzeba było aż 140 tomów (Schmoller *l. c.*).

Z 4 tomów Systemu Ekonomii Roschera mieliśmy dotychczas tłómaczone na swój język dwa pierwsze przez F. S. Kupiszeńskiego (Warszawa, 1860 i 61). Tom trzeci zaczął obecnie wychodzić w tłómaczeniu p. Banzemera. Dotychczas ukazał się dopiero 1 zeszyt; możnaby więc poczekać ze sprawozdaniem do wyjścia całego tomu. Jeżeli wszakże pośpieszamy z wiadomością o jednym zeszycie, to mamy pewne do tego kroku powody. Mianowicie, chcielibyśmy zwrócić uwagę sz. tłómacza na mnóstwo błędów rozmaitego kalibru. Dzieło jest poważne, nakład pracy i kosztów znaczny, godziłoby się zatém, ażeby w naszéj szacie wyglądało również poważnie. Tymczasem wydany zeszyt nie rokuje wiele dobrego, jeżeli, póki jeszcze można, złemu się nie zaradzi.

Że tłómaczenie p. Banzemera jest mocno chropowate, czyli niewygładzone pod względem stylowym, to może w części poszło z dość kunsztownego, lubo jasnego języka oryginału, a w części z zaniedbania tłómacza. Czytaliśmy i porównywali z oryginałem, ażeby wyrozumiéć, co właściwie tłómacz chciał powiedziéć; bez oryginału byłoby zrozumienie prawie niemożebne. Tłómacz niemal mechanicznie trzyma się oburącz za tekst niemiecki i chce być literalnym; ztąd owa chropowatość, a często niejasność. Trzebaby każdą stronnicę przerabiać na język polski. Nie mamy tu ani miejsca, ani czasu, żeby w 3 kolumnach podać czytelnikowi przykład chociażby jednéj stronnicy, mianowicie: oryginału, tłómaczenia p. B. i nowego przekładu.

Ale chropowatość nie jest jedyną wadą tłómaczenia, o którém mówimy; są i inne. Do takich zaliczamy noworodki: monetarność (*das Münzwesen*), akcyjność (*Aktienwesen*), wielmoża duchowna (w znaczeniu zbiorowém tak jak magnaterya, szlachta, bracia), rozgoryczenie, urzędnikostwo państwa (*Staatsbeamtenthum*). Powtóre, niewłaściwie użyte określniki: uprzednia Galia (*das vormalige G.*), uprzednia władza (*die frühere Macht*), dwa wieki ludzkie (*zwei Menschenaltern*), jednostkowy cezaryzm (*einheimischer Caesarismus*), błędne ceny (*Irrthumspreisen*), przemieszczone towary (*umgesetzt*), pozostałe życie społeczne (*das übrige Volksleben*), wiadoma kolumna (*die bekannte Säule*). Potrzecie, niezrozumienie oryginału: imie Chrystusa powstało w Antyochii, zamiast imie chrześcian, czyli, że tam pierwszy raz zaczęto wyznawców Jezusa nazywać chrześciana-

mi (i tak jest w oryginale). Albo: Syzyfy w Koryncie „ostrzegający obraz wcześnie doświadczonego, niezmordowanie czynnego ludu żeglarskiego, przez który wewnętrzno-krajowa prostota przy każdém zetknięciu była oszukaną i pokrzywdzoną“. Jestto przypisek do § 11, gdzie w tekście mówi się, że handel oswabadza ludzi od przesądów, prowadzi ich do poznania krajów, języków, itd. Roscher w przypisku mówi: *Sisyphos in Korinth, ein warnendes „Spiegelbild des früh gewitzigten, rastlos thätigen Schiffervolkes, von dem sich binnenländische Einfalt bei jeder Berührung überlistet und übervortheilt sah“*. Ażeby ten przypisek zrozumieć, należy dodać, że mityczny Syzyf, będący uosobieniem chytrości, miał założyć Korynt, miasto wielce handlowne, a handlarze, jak wiadomo, uchodzili w starożytności za ludzi przebiegłych i chytrych tak samo, jak założyciel Koryntu. Otóż tłómacz z jednego Syzyfa zrobił wielu i tak zagmatwał myśl autora, iż bez oryginalnego tekstu nikt tego nie zrozumie.

W tym samym paragrafie 11 jest przypisek o atomistyce, jakoby system atomistyczny jeszcze przed wojną trojańską głosił pewien Sydończyk. Nasz tłómacz tak się wywiązał: „Według Posidoniusa u Strabo XVI, 757 atomistyka wprowadzona została naprzód przez jednego Sydończyka jeszcze przed wojną trojańską“. W dalszym ciągu tegoż przypisku tłómacz mówi. „Pięknym znowuż dowodem wieczystéj prawdy jest, że fenickie stacye handlowe, które rozpowszechniły bezwątpienia tak wiele ubóstwienia i kultu Mamonie i Astarcie, późniéj jako punkta główne żydowskich diaspor tak niesłychanie ważnemi się stały dla rozszerzenia chrześciaństwa“. Czy polski czytelnik rozumie ten galimatias? Czy tłómacz rozumiał tekst oryginału? Sprobujmy z tego chaosu wybrnąć. Najprzód nie wiemy o jakiéj wieczystéj prawdzie myślał tłómacz. Autor wiedział, co mówi, ponieważ przytacza 1-ą księgę Mojżesza i dodaje że osady fenickie przyczyniły się do rozszerzenia kultu Astarty i Mamona, że późniéj te główne punkta żydowskiéj Diaspory bardzo były przydatne do rozszerzenia chrześciaństwa. Nazwą Diaspora oznaczano żydów, mieszkających w rozproszeniu po innych krajach. Wśród tych żydów pierwsi misyonarze chrześciańscy najprędzéj mogli być rozumiani. Autor mówi o wojnach filistyńskich, a tłómacz o wojnach filisterskich, ponieważ w oryginale niemieckim nazywają się one rzeczywiście Philisterkriege.

Wielu a wielu innych błędów przeciw językowi, gramatyce i sensowi nie przytaczamy. Sądzimy, że i te wystarczą. Może uwagi nasze wpłyną na poprawienie tłómaczenia przynajmniéj w dalszych zeszytach i uczynią dzieło dostępniejszém i zrozumialszém dla czytelnika.

Główne kierunki najnowszéj Ekonomii politycznéj Meyera, mają za cel nauczyć czytelnika, jakie w naszym wieku pojawiły się prądy w ruchu ekonomicznym, głównie na polu teoryi, oraz jacy uczeni byli, lub są ich przedstawicielami. Możność oryentowania się wśród labiryntu przeróżnych doktryn ekonomicznych i nazwisk ekonomistów, którzy je głosili w druku, nie jest rzeczą łatwą, zwłaszcza dla początkujących, lub takich, których zadaniem są inne gałęzie wiedzy ludzkiéj. Ze względu zatém na pożytek dla takich laików, a nawet i dla poświęconych, książka Meyera zaradza potrzebie. Nie jest to historya ekonomiki w ścisłém znaczeniu, lecz raczéj dość pobieżne szkicowanie wybitniejszych kierunków w spółczesnéj ekonomice panujących, oraz ich celniejszych przedstawicieli. Trzeba jeszcze dodać, że i w tych pobieżnych studyach Niemcom dostała się lwia porcya. Z obcych najwięcéj uwagi poświęcił autor A. Smithowi, od którego wykład swój zaczyna.

Jakież więc są te najnowsze i główne kierunki w ekonomice teoretycznéj? Następujące: A. Smith i szkoła wolnego handlu; Socyalizm krańcowy; Szkoła historyczno-etyczna. Najwięcéj stosunkowo miejsca przeznaczył Meyer na wykład socyalizmu, który pobieżnie rozważa we Francyi, Anglii i Niemczech. A więc czytamy tu o St. Simonie, Fourierze, L. Blancu, Owenie, Rodbertusie, Lassalle'u, Marxie i innych mniéj głośnych. Szkice te są bardzo nierówne co do zakresu i opracowania, niektóre, jak np. o Owenie, bardzo skąpe. Niemców i tu autor lepiéj obdzielił. Meyer posługuje się w ocenieniu kierunku socyalistycznego dziełami L. Steina, Reybaud'a, Helda, Laveleye'a, którzy specyalnie ten przedmiot traktowali; herezyi więc nie popełnia; ale znać, że zdanie swoje wyrobił nie z własnych studyów, lecz zaufał innym.

Nie uważamy za potrzebne wyliczać rozmaitych autorów, reprezentujących inne kierunki w ekonomice spółczesnéj, gdyż i co do nich nie spostrzegliśmy bardziéj rażących niedokładności. Uderzyło nas wszakże, iż Meyer nazywa Proudhona genialnym i najbystrzejszym myślicielem Francyi (103). Byłoby to zdanie anachronizmem przed 40 laty, gdy Marx pisał Mizeryą filozofii Proudhonowskiéj: dzisiaj oczywiście jest jeszcze bardziéj chybione.

Nie można się zgodzić także na nazywanie dzieł Roschera „epokowemi“; można je nazwać przeładowanemi drobiazgową filologiczno-historyczną erudycyą; zwrócenie się do historyi w badaniu zjawisk ekonomicznych jest niewątpliwie zasługą Roschera: ale epokowemi dzieła jego nie były i nie są.

Tłómaczenie jest gładkie, poprawne, jasne, czyta się bez znużenia. Parę zwrotów jednakże pozwolimy sobie wytknąć, jako bardziéj odstępujących od jasności i ścisłości mowy naszéj. Nie wiemy, kto pierwszy (podobno Kraszewski) użył słowa zapoznawać w znaczeniu nie uznawać. Tłómacze Meyera piszą tedy „zapoznawać prawdę“. Tak samo znów kontrabandą weszło do nas wyrażenie, czysto niemieckie: podczas gdy=*während als*. Tłómacze nasi bardzo go często używają. Macleod nazwany jest „teoretykiem pieniędzy“ (194); chyba myślano o bankierstwie. Cairnes, według książki, miał umrzéć 1815. Zapewne to omyłka korektorska: powinno być 1875. *K.*

Prace filologiczne, wydawane przez Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i Lucyana Malinowskiego. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowém, imienia Mianowskiego. Tom II. zeszyt III. Warszawa, 1888 r.

Oprócz ciągu dalszego pracy Ant. Kaliny („Przyczynek do historyi koniugacyi słowiańskiéj“), zeszyt ten zawiera dwa ciekawe przyczynki do głosowni (L. Malinowskiego). „Dyalektyczne wtórne przedłużenie—*on* (*o* nosowe z ogonkiem) na *an* w języku polskim“ i Kaliny „Słowiańskie *ch*—indoeur *k*“, tudzież do osnowni (morfologii tj. Kaliny „Przyrostki pochodne *nisty—čik*“ i Kryńskiego: „*eństwo—arnia*“).

Dyalektologia ludowa, owa niewyczerpana form językowych skarbnica, zwróciła szczególną uwagę p. Malinowskiego, który w mowie ludu z okolic Święcian zauważył w formach czasownikowych przedłużenie nosówek ę *on* w *an* np. *on*=starosław, jusowi ę: rz*on*dzi — urz*an*dza, j*on*trzi—rozj*an*trza; *on*=starosław, jusowi ą: ł*on*czi—zał*an*cza, s*on*dzi—przes*an*dza, s*on*czi—przes*an*cza, tr*on*či—przetranca, tr*om*bi —roztr*am*bia. Tylko niektóre słowa, jak ć*on*ży, m*on*či zachowują w formie częstotliwéj *on*: przeć*on*ża, zam*on*ca, tudzież tematy na ę: cięży, cięża (ociężały).

Zjawisko to, lubo w dzisiejszéj mowie naszéj z powodu zatracenia iloczasu zamarłe, nieprzedstawia osobliwości w dziedzinie języków indo-europejskich. Starosłowiański bowiem jus ą, odpowiadający indo-europ. *on* lub *a*n widoczne ma ślady długości, która się całkowicie zachowała w sanskrycie np. vidhavâm (biernik l. poj.)=starosł, wьdową, pakh-*âm*i (osoba 1 czasu teraźn. l. poj.)= starosł. pek-ą. Nawet tak zwana anusvâra sanskrycka (od a*nu*= po i sv*â*ra=dźwięk) tj. *a*+*m* lub *n* albo téż *i*+*m* lub *n* w środosłowiu (w środku wyrazu) i w posłowiu (na końcu wyrazu) przed pewnemi grupami spółgłoskowemi, tworząca przytłumiony pogłos

nosowy, odpowiadający poniekąd nosówkom polskim, stanowi w prozodyi pozycyą, bo z samogłoski krótkiéj tworzy długą.

Okoliczność ta przemawia za możliwością fizyologiczną długości *an*, objawiającéj się w sposób przyrodzony w mowie ludowéj.

P. Kalina zamierza w rozprawie swojéj dowieść wbrew Miklosičowi, że niezawsze słowiańskie *ch* jest wymianą pierwotnego *s*. Według niego ono *ch* odpowiada raczéj indo-europejskiemu *k*, tj. wymiana spółgłoski gardłowéj na gardłową, a nie powiewnéj językowo-zębowéj (*s*) na gardłową (*ch*). W wyniku bowiem badań naukowych Brugmanna, przyjmuje się dwojakie w języku pra-indyjskim *k* 1) gardłowe i 2) i z oddźwiękiem w postaci wargowo-powiewnego *u*. W dziedzinie języków słowiańskich zachowało się to pierwsze, gdy w germańskich drugie *k* (q) przeszło w gockie *hu*, f; gardłowe zaś w *h*, *g*, albo téż pozostało bez zmiany. Szkoda, że p. Kalina nie objaśnił dlaczego *h* sanskryckie potęguje się w ten sposób, że przybiera *g*, które rzeczoną spółgłoskę poprzedza, tworząc postać g*h* zam. h; np. wrtraGHnā zamiast wrtrahan (przydomek Indry) od pierwiastku h*a*n (zabijać). Zestawiania etymologiczne jak np. łac. *corpus*, zendzkie: ke*hr*pa (ciało), starosłow. ch*la*pъ, czesk. ch*la*p, ros. ch*olo*p, wydają się nam wątpliwemi.

Daléj p. Kalina, zastanawiając się nad przymiotnikami *błotnisty* i *wodnisty*, zbija powszechne mniemanie, jakoby formy te tworzyły się nie od rzeczoników *błoto*, *woda*, lecz od postaci *błotny*, *wodny*. Spółgł. *n* przed przyrostkiem *isty* w postaci *nisty*, jest ostatnią tematową od bag*n* (bagnisty), ogi*eń* (ognisty) i dopiero drogą analogii przeszła do form bł*otni*sty i w*odni*sty. pozbawionych właśnie w temacie owego *n* (błoto, woda). Podobnież lis*owcz*yk zam. li*sowszcz*yk od Li*sows*ki powstało na wzór takich rzeczowników jak: kr*aw*czyk, sze*wcz*yk, ko*miniar*czyk i t. p. Spostrzeżenie to odnosi się także do rozważanych przez p. Kryńskiego przyrostków *eństwo*, *arnia*. Z tych pierwszy *eństwo* jest w takim stosunku do *stwo* tj. ьs*two*, jak *nisty* do *isty*. Tak w *ni*sty, jak i w *eń*stwo spółgł. *n* jest oderwaną od form pierwotnych; z tą jednak różnicą, że w pierwszém *n* należy do tematu, w drugiém zaś do przyrostka postaci, od któréj się tworzy wyraz pochodny, np. bezec-*eń*-stwo, błaz-*eń*-stwo itp. Ztąd ten przyrostek *en* przeszedł do wyrazów, nietworzących się zgoła od rzeczowników na *en*, ani przymiotników i imiesł, na n*y*; np. człowieczeństwo zam. *człowieczst*wo (Psałtérz floryański z XIV w.), wdow'*eń*stwo zam. w*dowstw*o (Wujek z XVI w.) itp. Pod wpływem także wyrazów na *arnia* (piek-arnia, drukarnia) ukształtował się wyraz *latarnia* z łac. laterna, lanterna, znany u Opecia (w r. 1522) w postaci *laterna*. W rozprawie p. t. „Glossy w dziele Bal-

tazara Opecia z r. 1522 p. n. Żywot... Pána Jezu Krysta...“, p. Kryński wspomina o dwóch wydaniach krakowskich tego „Żywotu“ tj. Hallerowskiém i Wietorowskiém. Z tych jedno, a mianowicie Wietorowskie, znajduje się w Warszawie w bibliotekach: uniwersyteckiéj i hr. Zamoyskich. Oprócz tego są tam jeszcze inne szczegóły bibliograficzne i językowe, odnoszące się do tak cennego mowy naszéj zabytku. Część recenzyjno-krytyczna p. t. Rozbiory i sprawozdania opracowana jest przez pp. Bystronia i Kryńskiego. Temuż uczonemu lingwiście, oraz p. Baudouinowi de Courtenay, zawdzięczamy skreślenie życiorysów Jana Hanusza i Mikołaja Kruszewskiego, których śmierć przedwczesna osierociła naukę polską niczem niezastąpionym ubytkiem.

Justyn Feliks Gajsler.

= **Prace matematyczno-fizyczne.** Wydawane w Warszawie przez S. Dicksteina, Wł. Gosiewskiego, Edw. i Wł. Natansonów, Tom. I.— Warsz. skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa, 1888, 8-o, str. X i 229 (cena rsr. 2)— Zbyt częstym pono głosom, natchnionym przez pessymizm, zarówno jak objawom apatyi, na które skarżą się korespondencye z prowincyi, przeciwstawić można dodatnie objawy naszego życia umysłowego, których może jest nie wiele, ale które istnieją i tém więcéj zasługują na uwagę, że są wynikiem istotnego zamiłowania w nauce, a na wielki rozgłos nie liczą. Po filologach, którzy już od lat kilku wydają swe „Prace“, wystąpili ze specyalném wydawnictwém nasi matematycy i fizycy, bez wszelkiéj postronnéj zapomogi, i w książce pod wyżéj wymienionym tytułem ogłosili rozprawy i referaty, skreślone przez czternastu współpracowników. Prawo prawdopodobieństwa błędów przypadkowych, podane niegdyś przez Gaussa, a poruszone w roku zeszł. przez Bertranda, jest przedmiotem pracy p. Gosiewskiego, który określa warunki, przy jakich formuła Gaussa może być dokładniejszą.—P. Dickstein zebrał twierdzenia o wrońskianach, (wyrażeniach różniczkowych, wprowadzonych do matematyki przez Hoene-Wrońskiego) i wskazuje ważniejsze ich zastosowania. Studya nad prawem Clerk Maxwella, dotyczącém prędkości poruszających się cząsteczek gazów, wyłuszczone są w rozprawie p. Wł. Natansona.— Tenże autor w drugiéj pracy roztrząsa krytycznie zadanie Taita (z cynetycznéj teoryi gazów) i znajdując, że rozwiązanie, podane przez tego uczonego, jest „tylko surowém przybliżeniem“, zajął się dokładném rozwiązaniem zadania.“ — Pan J. J. Boguski przedstawia swoje badania wstępne nad nowym sposobem oznaczania rozsze-

rzalności cieczy, dokonane w pracowni fizycznéj Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. — W rozprawie o obliczaniu blasku obrazów optycznych przy układzie soczewek kulistych p. A. Hołowiński zwraca uwagę krytyczną na jedno z twierdzeń o blasku, które Helmholtz wypowiedział zbyt ogólnie i nieco dwuznacznie i podaje komentarz do odnośnego działu optyki. — P. A. J. Stodółkiewicz, który w Pamiętniku Wydz. matemat.-przyrodn. Akademii Umiejęt. w Krakowie ogłosił dwa układy równań różniczkowych, dających się zcałkować drogą uboczną bardzo prostą, podaje tutaj inny podobnego rodzaju układ równań różniczkowych o różnicach zupełnych. Daléj znajdujemy pracę p. J. Ptaszyckiego o całkowaniu algebraiczném różniczek algebraicznych, — i badania p. J. Kowalskiego nad wytrzymałością szkła. —Ostatnią w szeregu rozpraw, ale nie ostatnią ze względu na ważność podjętego pytania matematycznego (które być może i dla inych gałęzi wiedzy ludzkiéj okaże się doniosłém) jest rzecz „o związku między zasadą najmniéjszego działania i najprawdopodobniejszym układem“, napisana przez p. Gosiewskiego.—W dziale sprawozdań pp. Kowalczyk i Boguski pomieścili wiadomości: pierwszy o obserwatoryum w Płońsku i o pracach niedawno zmarłego d-ra J. Jędrzewicza, drugi o pracowni fizycznéj przy Muzeum przemysłu;—p. Dickstein kreśli obraz rozwoju geometryi wielowymiarowéj, któréj początek dali Riemann i Helmholtz; — p. Wł. Natanson zaznajamia nas z przebiegiem dyskusyi naukowéj pomiędzy Taitem a Boltzmannem, co do podstaw cynetycznéj teoryi gazów; — p. E. Natanson rozbiera dzieło Maxa Plancka o zasadzie zachowania energii, napisane na konkurs ogłoszony w Getyndze; — wreszcie p. H. Silberstein wykłada nową metodę oznaczania ciężaru cząsteczkowego, według badań Raoulta, van't Hoffa, Arrheniusa i Plancka. — W części trzeciéj mamy sprawozdania z naszego piśmiennictwa w dziedzinie matematyki, mechaniki, astronomii, fizyki i chemii teoretycznéj za lata 1886 i 1887, pisane po większéj części przez powyżéj wymienionych autorów, oraz pp. Czajewicza, Kleckiego i S. Kramsztyka; prace tu rozpatrzone dochodzą liczby 102. Taką jest zawartość pierwszego tomu niniejszego wydawnictwa, które bez wątpienia znajdzie uznanie i pokup wśród naszych specyalistów. Jeśli się ta nadzieja ziści, to przy rosnącéj zwolna wprawdzie, stale wszakże, liczbie pracowników naszych na niwie nauk ścisłych, wydawnictwo nie skończy się na tomie drugim, który w roku bieżącym się ukaże, ale przetrwa w długie lata, czegobyśmy gorąco pragnąć winni.

= *Zygmunt Sarnecki*. **Nowelle** (Warsz. Nakład G. Centnerszwera, 1888, str. 191). Nie tak to łatwo nagiąć się do nowego ro-

dzaju twórczości i do nowego sposobu pisania, kto w młodszych latach przywykł do czegoś innego. P. Sarnecki długo uprawiał i to z powodzeniem zagon dramatyczny, potém rzucił się do publicystyki, przeszedł następnie do powieści, a dopiero w końcu zabrał się do nowelki— w najświeższéj jéj formie realistycznéj. Widzimy tu usiłowania umysłu i pióra by téj formie uczynić zadość, ale przywyknienie do swobodnego bujania fantazyi staje im na przeszkodzie i płata figle dotkliwie. Weźmy np. pod uwagę nowellę „Drugie dziecko“. Dopóki maluje nam autor Adolfa Gronera, niższego urzędnika magistratu, jak spędza dnie jednostajnie po pracy biurowéj wyrzynając w domu z pudełek od cygar zgrabne ramki, jak zdrewniał niemal w téj samotności, uspokoiwszy serce i zmysły; wierzymy, że nowelista dobrze zaobserwował tę postać i rozumiemy ją całkowicie. Nieźle téż przedstawione jest jego ożenienie przez krewnych. Ale już mniéj zadawalnia obrazek jego żony wesołéj i pulchnéj, łakoméj i zmysłowéj Karolci, a wywód jéj usposobienia na podstawie prawa dziedziczności jest sobie pospolitém fantazyowaniem, które pomija się obojętnie. Gdy atoli Adolf rozkochawszy się w dziecku wziętém przez Karolcię na wychowanie, zaczyna je bawić opowiadaniem: „o szlachetnych królewiczach, ubranych w złotogłowy, o siedmiu rycerzach uśpionych, o pięknéj księżniczce, noszącéj długie, powłóczyste suknie, błyszczące jak gwiazdy lub szafirowe jak niebo, o starych królach z siwemi brodami, wspierających się na berłach, zdobnych w brylanty i rubiny, o gnomach i koboldach“ itd. itd.; to musimy zauważyć, że fantazya wywiodła nowellistę w pole, bo dla piętnastomiesięcznych dzieci, nie tylko chowanych przez chłopów, ale nawet przez najlepszych pedagogów, opowiadania takie byłyby pustym dźwiękiem, nie zaś pierwiastkiem rozwijającym. Samego przywiązania Adolfa do dziecka nie kwestyonujemy; nie mamy téż nic przeciwko temu, że i Karolcia zająwszy się dzieckiem, zaniechała strojów; ale nie podobna przyznać, że scena rozstania z tém dzieckiem, gdy je matka odbiera, wywołuje wzruszenie, co zapewne zamierzał autor. Inne nowelle mniéj więcéj téż same zalety i wady przedstawiają. Analiza psychologiczna zamierzona w „Stasi“ nie udała się: jestto zestawienie znanych już dobrze sytuacyj, w których nie potrawił autor nic nowego, nic głębszego wyrazić; figury wszystkie nie są nieprawdziwe, gdy się je bierze osobno; ale wprowadzenie ich w akcyę nie może się nazwać trafném i szczęśliwém. „Nastka“ wydana a raczéj sprzedana zamąż wbrew swéj woli, może być wzięta z życia, lecz obrobiona anegdotycznie, prawdopodobną się nie wydaje. We „Wróblach“ jest dosyć dowcipnych spostrzeżeń i wyrażeń. W obrazku „Powiem ma-

mie" dobrze jest odmalowana naiwność młodéj, niedoświadczonéj, ufnéj jeszcze mężateczki. Język i styl wszędzie poprawny, gładki, ładny, harmonizuje wybornie z elegancką powierzchownością książki.

— **Historya ochrony praw autorskich w dawnéj Polsce,** napisał *Artur Benis*. Kraków 1887, str. 86. Kwestya własności literackiéj w dawnéj Polsce nie doczekała się dotąd nawet częściowego opracowania. Luźne, do téj sprawy odnoszące się wiadomości odnaleźć można w dziełach traktujących o drukarstwie w Polsce, o bibliografii, w monografiach zajmujących się dziejami księgarzy, drukarzy, nakładców, oraz cenzury świeckiéj i kościelnéj. wreszcie w rozlicznych aktach współczesnych, o zebranie jednak materyału tego i jego krytyczne uporządkowanie, a tém mniéj o skreślenie zarysu bodaj historyi praw i przywilejów, odnoszących się do drukarstwa, księgarstwa i cenzury w Polsce, nikt się nie pokusił. Praca p. Benisa jest pierwszą w tym kierunku próbą krytyczną i z tego téż względu zasługuje na uważne rozpatrzenie. Ślady ochrony praw autorskich w Polsce datują się od początku XVI wieku. Nagły rozwój piśmiennictwa, wielka liczba drukarń, spory religijne, sprawiły, że jednym z pierwszych objawów, jakie owemu nadmiernemu w owych czasach i prawdziwie wyjątkowemu w dziedzinie piśmiennictwa ruchowi towarzyszyły, było odczucie potrzeby ochrony własności literackiéj. Nie była ona pojmowana w dzisiejszém rozumieniu, jako ochrona pracy umysłowéj, będącéj własnością danéj jednostki, ale jako ochrona praw drukarza-wydawcy, chroniącego się przed skrzętném współzawodnictwem kolegów. Ztąd téż kwestya ochrony praw autorskich od samych zaczątków swych wiąże się najściśléj ze sprawami drukarzy, posiadających monopol księgarstwa i prawo własności wydawanych przez siebie utworów. Śledząc od samych początków przebieg spraw owych, wykazuje p. Benis na podstawie źródeł współczesnych, mianowice zapisków w aktach rektorskich i sądowych, przywilejów i innych dokumentów, jakie przyczyny i wpływy oddziaływały na powstawanie kwestyi ochrony prawa własności i jak cała geneza i cały rozwój instytucyi zawarte są w stopniowych i powolnych przejściach. Wykazuje tedy kolejno jak w danym razie potrzeba wywołała akt łaski, objawiający się w postaci przywileju królewskiego, jak ten akt łaski udzielany coraz częściéj przechodzi w zwyczaj, jak się zwyczaj pod wpływem praktyki wyrabia i ustala, jak się wreszcie przeobraża i krystalizuje w prawo zwyczajowe. Ponieważ przedmiotem całéj grupy stosunków prawnych, złączonych z instytucyą ochrony, byli drukarze, przeto autor przedstawia najpierw w ogólnych zarysach

koleje i zmiany, jakim ulegała w ciągu wieków organizacya drukarstwa i w parze z nią idącego księgarstwa polskiego, i na tém tle opiera dalsze swe wywody. Pierwszym śladem zamącenia się stosunków między drukarzami jest zacytowana w całości przez autora ugoda dobrowolna księgarzy krakowskich Jana Hallera i Marka Scharffenberga z r. 1517, regulująca ich stosunki między sobą i nakładająca za przekroczenie umowy znaczną karę umowną (400 czer. zł). Równocześnie pojawia się téż po raz pierwszy cenzura świecka polityczna — a powołanie do życia téj instytucyi, o któréj bliższych szczegółów żadnych dzieje nie przekazały, wywołał prąd, który datować się począł z początkiem trzeciego dziesiątka XVI w. mianowicie dążenie do wydawania i rozszerzania paszkwilów politycznych, fałszowania historyi wreszcie rozpowszechniania dzieł „heretyckich". Ofiarą pierwszą cenzury pada „Kronika Miechowity z r. 1519 za wiadomości uwłaczające czci rodziny królewskiéj. W ślad za świecką powstała i duchowna cenzura, która głównie baczyła na księgi dysydenckie. Na czele komisyi do tego ustanowionéj stał jakiś czas rektor uniw. Jag. późniéj wyłącznie zostawała ona pod zwierzchnictwem biskupa Krakowskiego. W r. 1539 oddaje Zygmunt I jurysdykcyą nad drukarzami uniwersytetowi i odtąd wszystkie zatargi rozstrzyga rektor. Z tą chwilą téż akta rektorskie (*Acta rectoralia univ. jag.*) mnóstwo wykazują procesów, rozstrzyganych przed forum rektorskiém, a wiele z nich zachowanych w całości pozwala dokładnie zapoznać się zarówno z naturą spraw poszczególnych jak i całą judykaturą w ogólności. W XVII w. z upadkiem ruchu umysłowego i literatury, nieład i bezprawie ogarnia téż i dziedzinę drukarstwa i księgarstwa. Mnożą się bezprawne przedruki dokonywane przez drukarnie zakonne, mnożą się sprawy o nie przed sądami, ale brak egzekutywy ośmielał ciągle do nadużyć. Dopiero w ostatnich czasach rzeczypospolitéj w zredagowanym przez Andrzeja Zamojskiego z polecenia sejmu w r. 1776 zbiorze praw sądowych widnieje pierwsze usiłowanie określenia prawnego stanowiska drukarstwa w drodze ustawy. Widzimy daléj i na sejmie czteroletnim dążność do przeprowadzenia prób kodyfikacyjnych w powyższym kierunku—ale nadaremnie. Nie była zatém w dawnéj Polsce ochrona praw własności autorskiéj zagwarantowana ustawą, lecz opierała się jedynie na przywilejach i prawie zwyczajowém i umownén. Potrzebę unormowania tych spraw wytworzyły stosunki—ale poziom cywilizacyi nie dopuszczał jeszcze uregulowania jéj w drodze ustawy. W rozporządzeniach królewskich, dekretach, przywilejach, znać brak ciągłości i pewnych stale wytkniętych zasad; przywileje i dekreta często się sobie sprzeciwiają

i zdradzają zupełnie odmienną myśl przewodnią. Wobec tego, stanu rzeczy, o jakimś systemie ochrony własności literackiéj mowy być nie mogło, a jedyną obronę prawną wydawcy stanowił do ostatnich lat panowania Stan. Augusta wyłącznie przywiléj królewski. Brzmiał on zwykle na karę 1000 czerw. zł. a termin trwania prawa własności oznaczał na lat 20. Autor przytacza na końcu swéj pracy w oryginale wszystkie dokumenty i przywileje jakie zużytkował w swéj pracy, wyjęte częścią z akt rektorskich, częścią z ksiąg radzieckich m. Krakowa, częścią wreszcie z rękopismów biblioteki jagiellońskiéj. Zajmujący ten i doniosły dla nauki przedmiot, sąsiadujący tak blisko z historyą literatury, zasługuje ze wszech miar na wyczerpujące opracowanie, a sumienna praca p. Benisa, czyniąca początek we wskazanym kierunku, winna być młodemu pracownikowi poczytana za rzetelną zasługę, tém więcéj, że jako praca źródłowa wymagała wielu zmudnych poszukiwań. *P.*

= *Marassé Mieczysław dr.* **Dzieła ekonomiczno-statystyczne i polityczne**. Tom I. Kraków. 1887. str. LV i 417 (Nakładem Adama hr. Marassé. Poświęcone Jul. Dunajewskiemu). Jestto pierwszy tom zbiorowego wydania pism przedwcześnie zmarłego pracownika na niwie ekonomiczno-statystycznéj. Obejmuje on rozprawy i prace drukowane przez przeciąg lat kilkunastu w różnych czasopismach, a mianowicie „Czasie“, „Przeglądzie polskim“, „Gazecie lwowskiéj“, „Przewodniku naukowym i literackim“, „Ekonomiście“, oraz fachowych pismach berlińskich i wiedeńskich. Wstępem do pism, jest krytyczna, wyczerpująca ocena tychże wraz z poglądem na działalność naukową Marasségo, skreślona przez prof. uniw. lwowskiego d-ra Tadeusza Pilata. Na czele pomieszczona została jedna w najwcześniejszych prac Marasségo „Przegląd polskiéj literatury ekonomicznéj, z uwzględnieniem stosunków Królestwa Polskiego“. Kilka następujących z kolei drobniejszych rozpraw, pisanych po polsku i po niemiecku, dotyczy znaczenia i zadań statystyki w teoryi i w zastosowaniu do administracyi. Jedną z najlepszych i najgruntowniejszych prac w tym zbiorze jest głośna w swoim czasie rozprawa „O wolności parcelowania gruntów“. Znajdujemy daléj rozprawy o wykupnie propinacyi, o zadłużeniu większéj i mniejszéj własności ziemskiéj i kilka drobniejszych. Widnieje w pracach tych trzeźwy umysł, dążący wszędzie do stosowania wyników naukowych teoretycznych do życia praktycznego i do administracyi krajowéj. Ogłoszeniem rozproszonych powyższych, bezsprzecznie cennych dla nauki prac oddał wydawca szczupłéj naszéj ekonomicznéj literaturze prawdziwą przysługę, tém większą, że zarazem w owém zbiorowém wydaniu przekazał potomności ca-

łość literackiéj działalności autora, któremu spuścizna ta zapewni należne miejsce w naszéj literaturze ekonomiczno-statystycznéj. Na zakończenie dołączył wydawca dokumenta rodzinne, które zbierał Marassé, a które mieszczą wiele ciekawych szczegółów z czasów emigracyi rodzin arystokratycznych francuskich, kilka listów monarchów i relacyi bardzo zajmujących z epoki kongresu wiedeńskiego. *P.*

— **Henryk Schmitt**. *Życiorys spisany na podstawie dokumentów i korespondencyi przez Walentego Ćwika*. Lwów, 1888, 8°, str. 230. Bezpretensyonalny, ale nader starannie i pracowicie ułożony szkic powyższy odtwarza wizerunek zmarłego historyka na tle współczesnych wypadków i otoczenia. Korzystając z obfitéj korespondencyi i innych papierów śp. Schmitta, autor kreśli obraz działalności męża tego w najrozmaitszych okresach jego życia, jako młodzieńca, obywatela, więźnia stanu i historyka a przytém w sposób barwny i zajmujący podaje historyą ostatniego lat dziesiątka, tak mało znaną całemu młodszemu pokoleniu. Praca p. Ćwika zawiera wiele ciekawych faktów i szczegółów z epoki 1835—1870 r. jak. np. wypadki lutowe 1846 r. i następne, opis bombardowania Lwowa, ogłoszenie stanu oblężenia itd., opartych na listach i papierach śp. Schmitta. Z tego też głównie powodu jest ona pożądanym dla piśmiennictwa nabytkiem nietylko jako praca biograficzna ale także jako przyczynek historyczny, dotyczący ważnéj epoki dziejów galicyjskich pod rządem austryackim.

— **Pamiętniki Stanisława hr. Wodzickiego**. Kraków, 1888, str. 432. Nakład Żupańskiego i Heumanna. Do mało rozświeconéj historyi dziejów rzeczypospolitéj krakowskiéj, przybywa w Pamiętnikach Wodzickiego nowy przyczynek. Stanowisko autora, który ówcześnie odgrywał najważniejszą rolę, piastując urząd prezesa senatu efemerycznego państewka, a tém samém i najlepsze o toku spraw wszystkich posiadał wiadomości, nadawałoby pamiętnikowi rzeczonemu powagę źródła historycznego, gdyby ton ogólny zapisków, w których autor własne czyny i sprawy na pierwszy plan wysuwa, nie osłabiał pod pewnym względem wiarogodności jego opowiadań. Pamiętniki obejmują okres od r. 1815 do 1831 tj. przeciąg czasu, w którym Wodzicki był prezesem senatu.



POLEMIKA.

W niniejszéj replice na krytykę „Teoryi celowości", zamieszczoną w styczniowym zeszycie „Ateneum", str. 149—154, pozwalam sobie wyjść z założenia, że „krytyk pracy naukowéj powinien co najmniéj poznać ją, zrozumiéć o co w niéj chodzi i złożyć tego dowody w krytyce swojéj. Otóż wykażę na faktach, że w krytyce p. K. tym prostym wymaganiom nie stało się zadość.

Pomiędzy innemi p. K. pisze: „nasz autor, chcąc zdobyć i zburzyć twierdzę celowości, zaczyna itd."; „czy jéj (tj. teoryi celowości) wyznawców przekonał o kruchości podstaw, nie można orzec". „Obrońców jéj, osobliwie Janet'a i ks. Morawskiego, zapewne nie przekonał". Muszę tedy zapewnić, że krytyk mój chybił; chęci zburzenia twierdzy celowości nigdy nie żywiłem i, o ile mi się zdaje, w książce swojéj niczém do podejrzeń takich nie upoważniłem. Oto co napisałem na str. 127 Teoryi celowości: „Takie naturalne ograniczenie celowości do dziedziny psychicznéj, jakkolwiek zupełnie uzasadnione, teleologów oczywiście nie zadowoli... Nie trzeba się łudzić, aby kiedykolwiek mógł nastać czas, gdy takie lub inne poglądy metafizyczne nie będą miały zwolenników swoich, których próżno przekonywać ze stanowiska naukowego, gdyż stoją na stanowisku odrębném. Chodzi tu wszakże nie o zwolenników celowości, lecz o krytykę filozoficzną tego pojęcia, o oczyszczenie i wyświetlenie drogi, po któréj teorya naukowa ma kroczyć". Niezrozumiałą tedy „chęć zburzenia twierdzy celowości" zmuszony jestem przypisać wyobraźni krytyka, sam bowiem jestem przekonany, że celowość, jako pojęcie faktycznie istniejące w miliardach umysłów, „ma swoje głębokie podstawy w psychicznéj naturze człowieka" i codziennie w niezliczonych okolicznościach zupełnie słusznie bywa stosowane do objaśniania faktów z dziedziny świadomego i dowolnego postępowania istot żywych. W pracy mojéj chodzi o coś zupełnie innego, mianowicie o to, że

pojęcie celowości niesłusznie bywa stosowane do naukowego objaśniania przyrody, czyli o bezpodstawność teoryi celowości. Z tego też względu muszę odrzucić, jako z gruntu niesłuszne twierdzenia p. K.: „Nie mamy tedy powodu wątpić, iż autor... jest przeciwnikiem celowości w naturze“, albo znów indziéj: „Ze wszystkiego, co powiedziano, widać, że p. M. jest przeciwnikiem celowości, jako pewnéj kategoryi myślenia“. Sama myśl, iż czytelnik, nie znający książki mojéj, na chwilę mógłby zaufać temu twierdzeniu krytyka i wziąć mię za wyznawcę przytoczonych zdań, przeraża mię. Nasamprzód, nie rozumiem nawet, co znaczy być przeciwnikiem „celowości, jako kategoryi myślenia“, tém bardziéj że wielokrotnie, zaznaczam, iż celowość właśnie w myśleniu naszém ma wyłączne siedlisko swoje. Gdy zaś nadto p. K. robi ze mnie jeszcze „przeciwnika celowości w naturze“, to niechże mi wolno będzie zauważyć, że w całéj książce swojéj mówię nie o „celowości w naturze“, lecz o pojęciu celowości w przyrodoznawstwie, i tylko w ustępach, gdzie roztrząsam mniemania Janet'a i ks. Morawskiego o obiektywnych znamionach celowości w naturze, usiłuję wykazać, że takich znamion nie masz, że fakt celowości obiektywnéj stwierdzić się nie da. Jestem więc przeciwnikiem stosowania pojęcia celowości w przyrodoznawstwie, nie zaś przeciwnikiem celowości w naturze. Tę ostatnią uznam jako fakt natychmiast, skoro mi ją ktokolwiek pokaże. Być w nauce przeciwnikiem faktu rzeczywistego, to znaczy cierpiéć na obstrukcyą metafizyczną; być zaś przeciwnikiem faktu, którego istnienia nawet stwierdzić niepodobna, to znaczy cierpiéć na brzydką halucynacyą. Przytém, trącą czczą retoryką zdania, iż orzec nie można czym wyznawców teoryi celowości przekonał, tudzież że Janet'a i ks. Morawskiego zapewne nie przekonałem, bo, jak z powyższych słów moich widać, sam byłem dalekim od takich zamiarów i nadziei, i co do Janet'a jest pewném, że się nie mógł przekonać z książki polskiéj. Mógłby mię wprawdzie spotkać zarzut, iż skoro nie mam zamiaru przekonywać wyznawców teoryi celowości, więc niepotrzebnie podjąłem się téj pracy, gdyż przeciwnicy teoryi celowości dowodzeń tego, o czém są przekonani, nie potrzebują. Na to jednak można odrzec, że dana praca naukowa może nie miéć na względzie nikogo specyalnie, lecz dążyć do ugruntowania za pomocą nowych materyałów lub nowego oświetlenia tezy, która bezwzględną prawdą nie jest i w któréj się trzeba coraz lepiéj utwierdzać za pomocą sprawdzeń coraz dokładniejszych.

Krytyk mój pisze: „Słusznie autor zauważył, iż ten podział (Arystotelesa) i pojęcie przyczyny są wzięte z obserwacyi podmiotowéj i noszą charakter antropomorficzny. Być może, iż dałoby

się to prościéj wyrazić, mianowicie: że człowiek, u w a ż a j ą c s i e b i e z a m i a r ę w s z e c h r z e c z y i widząc jak bliźni jego, o ile nie są dziećmi lub waryatami, w s z y s t k o r o b i ą w p e w n y m d o b r y m l u b z ł y m celu, przenosi to osobiste postrzeżenie ze stosunków ludzkich do ogółu zjawisk wszechświata, w których poszukuje także celu i pyta się od dzieciństwa: a poco to, a naco to, a dlaczego to?“ Zastanówmy się nad tą proponowaną stylizacyą, aby się przekonać, jak krytyk rzecz rozumié i o ile usprawiedliwionym jest ton protekcyonalny, w jakim mi wytyka „sposób pisania niewyrobiony“. Gdybym się zaczął posługiwać takim językiem, tobym nietylko był zmuszony wykładać w kilku tomach to, com powiedział w niewielkiéj rozprawie, lecz nadto powiedziałbym wiele rzeczy, których nie chciałem powiedziéć, jako z prawdą niezgodnych. Zarówno dzieci i osoby dorosłe, przenosząc dane obserwacyi podmiotowéj na ogół zjawisk świata, n i e u w a ż a j ą siebie bynajmniéj za miarę wszech rzeczy, lecz, właśnie o ile nie są waryatami, uważają łokieć za miarę długości przedmiotów, przyjętą jednostkę wagi za miarę ciężarów, kwaterkę za miarę okowity, korzec za miarę zboża itd. Témbardziéj fachowi uczeni, obierając za jednostki miary kilogram, odległości międzyplanetarne, długość fali świetlnéj lub wahnięcie wahadła, nie tylko dowodzą, iż wiele im zależy na mierzeniu obiektywném, lecz nie szczędzą wszelkich usiłowań, aby metodycznie usuwać wszelkie błędy w pomiarach, wynikające z podmiotowych warunków obserwacyi. Nawet w starożytności sofista Protagoras, według świadectwa Diogenesa z Laerty, nie dopuszczał się błędu, przez p. K. wyrażonego, gdyż w aforyzmie swoim πάντων χρημάτων μέτρον ἄνθρωπος twierdził, iż człowiek jest miarą wszech rzeczy, nie zaś jakoby się za miarę wszech rzeczy u w a ż a ł, chociaż i Protagoras mylił się o tyle, że umysł pospolity nie wszystkie rzeczy wymierza własną osobą, lecz tylko niektóre dziedziny bytu i działań ocenia według miary własnych motywów i pobudek podmiotowych. I to także nie jest prawdą, jakoby człowiek widział, że „bliźni jego wszystko robią w pewnym dobrym lub złym celu“, bo widzi on także, jak ciż bliźni w postępkach swoich częstokroć mają na widoku osiągnięcie piękna lub brzydoty, prawdy lub fałszu, albo wogóle nie powodują się żadnym celem.

Daléj, p. K. podsuwa mi taką definicyą celu: „Cel jest to rzecz, stan lub działanie, które chcemy osiągnąć za pomocą odpowiednich środków“. Protestuję przeciwko temu wypaczeniu myśli mojéj, zwłaszcza, że wyraźnie napisałem: „Cel, jestto w y o b r a ż e n i e jakiéjś rzeczy, działania lub stanu, połączone z pożądaniem osiągnięcia w rzeczywistości, za pomocą środków, które się w y d a j ą

odpowiedniemi, téj wyobrażanéj rzeczy, działania lub stanu" (str. 12). I tuż obok, mając na względzie nasz znany wstręt do ścisłego analizowania myśli, załączyłem dwa następujące zastrzeżenia: „Jestto więc fakt psychiczny, znany każdemu z własnego doświadczenia wewnętrznego. W mowie potocznéj celem częstokroć nazywamy p r z e d m i o t, do którego się nasze zamiary odnoszą, ale fakt ten dla teoryi celowości jest obojętnym". Przezorność ta jednak na nic się nie zdała, gdyż p. K. podsuwa mi myśl, jakobym za cel uważał rzecz samą, nie zaś wyobrażenie rzeczy; język niemiecki posiada dwa wyrazy *Ziel* i *Zweck*, których po polsku odpowiednio oddać nie potrafię: otóż moja definicya określa *Zweck*, czyli pojęcie, o które właśnie chodzi w teoryi celowości, gdy tymczasem podsuwana mi definicya mogłaby chyba przybliżenie stosować się do pojęcia *Ziel*. To samo z definicyą celowości, gdzie zamiast mojego w y o b r a ż e n i a c e l o w e g o p. K. najdowolniéj podstawia w y o b r a ż e n i e c e l u, coś zupełnie innego.

Krytyka moja pojęcia „rozumu najwyższego" ma redukować się „do twierdzenia, że teleolodzy utworzyli sobie antropomorficzną koncepcyą rozumu najwyższego, przenosząc na ów rozum własności umysłu ludzkiego i wyrażając je w stopniu najwyższym". Błąd tu czworaki: 1-o, nie przypisuję teleologom, że utworzyli to pojęcie, lecz zarzucam, że posługują się tém, już zkądinąd gotowém pojęciem przy objaśnieniu przyrody, które ma być naukowém; 2-o, nie krytykuję pojęcia rozumu najwyższego, lecz je analizuję, krytykuję zaś zastosowanie jego do nauki; 3-o, ze słów p. K. należałoby wnosić, iż skoro teleolodzy przenoszą własności umysłu ludzkiego na rozum najwyższy, więc ten rozum istnieje już wcześniéj, skąd powstaje pytanie: czémże jest ten rozum najwyższy, zanim jeszcze nic przeniesiono nań własności umysłu ludzkiego? U mnie rzecz ma się zupełnie inaczéj: na str. 105, referując tylko twierdzenia teleologów, zaznaczam, iż oni we własném mniemaniu własności umysłu ludzkiego *analogice et proportionaliter* „przenoszą na b ó s t w o"; sam natomiast utrzymuję, że pojęcie rozum najwyższy, zanim się go nie wytworzy z pewnych cech umysłu ludzkiego, wogóle nie istnieje; 4-o, analiza moja wykazuje, że pojęcie rozumu najwyższego jest nie produktem przeniesienia własności konkretnych umysłu ludzkiego na rozum najwyższy, lecz jest „superlatywem a b s t r a k c y i rozumu ludzkiego".

Niezadowolony z tego, że ja w książce swojéj usiłuję analizować ze stanowiska psychologii i logiki pojęcia i metody, stosowane w teoryi celowości, oraz krytykować je ze stanowiska teoryi poznania, p. K. radzi mi natomiast: „zgromadzić dostateczną ilość fa-

któw typowych, mogących przeważyć szalę na stronę ateleologii". Przed ćwiercią wieku p. K. czytał „w kwestyi celowości takie rozumowania" i przytacza wzory takich rozumowań, nadmieniając, że „przykładów podobnych jest moc wielka i zdaje mi się, że one skuteczniéj przekonywają umysł, niż dyalektyka, logika i psychologia". Oczywiście jest to kwestya zasadnicza, nad którą warto się zastanowić. Wprawdzie nie mogę się pochwalić, iżbym przed ćwiercią wieku wogóle cokolwiek czytał, ale jeżeli z pism ówczesnych można było zaczerpnąć takie tylko poglądy na celowość, jakie p. K. zaczerpnął i dotąd przechował, tedy śmiało mogę się pocieszać z Owidyuszem: *Prisca juvent alios*, *ego me nunc denique natum gratulor*. Dziś wiemy dobrze, że statystyka porównawcza faktów domniemanéj celowości i bezcelowości w przyrodzie do niczego prowadzić nie może, bo skoro się przy objaśnianiu faktów posługuje błędnemi pojęciami i metodami, to można w ciągu wieków spierać się bez skutku o to, czy pierwéj była kura czy jaje, i wpaść ostatecznie w stan apatyi teoretycznéj, albo uwierzyć, że obie alternatywy są prawdziwe, podobnie jak p. K. przyszedł do wniosku, że musi wierzyć nam obu, Janetowi i mnie. Przytoczone przez krytyka fakta są przykładami nie ateleologii, lecz dysteleologii, ta zaś koniecznie przypuszcza cel już dany, od którego fakta dysteleologiczne zbaczać mają. Ateleologii, a właściwie nieistnienia celowości obiektywnéj w przyrodzie nie ma sposobu dowieść za pomocą faktów obiektywnych. Pomimo tego p. K. ma słuszność: „fakta... w teoryach naukowych są decydującą instancyą". Do jakichże więc faktów mamy się zwrócić w danym przypadku, skoro fakta z przyrody obiektywnéj na nic się tu nie zdały, bo przy błędnych pojęciach i metodzie, można te fakta obojętnie tłómaczyć tak i owak? Fakta te są psychologiczne i logiczne. Zresztą i przed ćwiercią wieku wiedziano, co dziś wiemy znacznie lepiéj, że to, co nazywamy faktem obiektywnym, w istocie zawsze jest wynikiem psychologicznego i logicznego przerobienia materyału czuciowego, który został nabyty pod wpływem mniéj lub więcéj bezpośredniego oddziaływania na nas czegoś, co jedni nazywają „nie-ja", inni „obiektem", jeszcze inni „rzeczywistością przedmiotową" itp. Zanim się tedy przystąpi do rachowania faktów obiektywnych i wysnuwania na podstawie tego rachunku wniosków indukcyjnych, trzeba wprzód zbadać — jakie to są narzędzia psychologiczne i logiczne, przy pomocy których fakta te wytwarzamy; trzeba się rozejrzéć, czy nie jesteśmy w kole błędném, gdy nasamprzód wykoncépowawszy niekrytycznie fakta niby-obiektywne, następnie mozolimy się nad ich tłómaczeniem w tę i w ową stronę, podziwiając ich podatność

w obu przeciwnych kierunkach. Tak właśnie postąpiłem ja sobie: rostrząsam odpowiednie fakta psychologiczne i logiczne i, rozważywszy je pod względem treści i formy, usiłuję wykazać, że nic nie pozostaje na rzecz faktu obiektywnego, że teorya celowości, wraz z całym szeregiem uwikłanych w nią pojęć i metod, jest przywidzeniem, opartém w części na obserwacyi podmiotowéj, w części na niekrytycznéj obserwacyi przedmiotowéj, oraz na zupełnie nieuzasadnioném przenoszeniu obserwacyi podmiotowéj na świat przedmiotowy. Jakkolwiek cała moja książka poświęcona jest udowodnieniu za pomocą faktów tego poglądu, wszelakoż przytoczę tu dwa miejsca, które wyraźnie potwierdzają, iż zupełnie świadomie rozwijałem ten pogląd i poczyniłem odpowiednie zastrzeżenia, których p. K. nie czytał albo nie zrozumiał: „Kwestya celowości— napisałem — zawsze się opierała i dotąd opiera na niedostatecznéj, zupełnie powierzchownéj analizie psychologicznéj i logicznéj z jednéj strony; na niemniéj wadliwéj analizie rzekomych objawów celowości w różnych dziedzinach bytu—z drugiéj strony; wreszcie na niedość uzasadnioném przenoszeniu obserwacyi subiektywnéj na świat obiektywny. Tu więc, jak w każdém zagadnieniu filozoficzném, mamy do rozważenia trzy rzeczy: fakt podmiotowy, fakt przedmiotowy i ich wzajemny stosunek" (2). Na str. 134 piszę znów: „Teleologia obaloną być może nie przez materyał pozytywny, którego podatność dostatecznie stwierdza historya systematów metafizycznych, lecz przez krytykę jéj pojęć i metod zasadniczych". Tak więc i ja uciekam się do faktów, chociaż nie do tych, które nie istnieją i nie do tych, które w danym razie są zakwestyonowane, lecz do faktów rzeczywistych, sprawdzalnych i w daném zagadnieniu jedynie odpowiednich i rozstrzygających. Nie pokazałem faktów ateologicznych, bo ateologia jest zaprzeczeniem domniemanego faktu teleologii, przeczenia zaś faktu pokazać bezpośrednio nie podobna; natomiast roztrząsam liczne przykłady domniemanéj teologicznéj interpretacyi i wykazuję, że interpretacya ta jest nieuzasadniona.

Krytyk mój utrzymuje, że w przedmiocie celowości to samo, co ja „uczynił daleko dawniéj Bakon, którego autor cytuje, a pomimo tego niebrak dotychczas teleologów ani między metafizykami, ani pośród przyrodników". Cytatę, w któréj Bakon potępia badanie przyczyn celowych, przytoczyłem, jako aforyzm, dosadnie, chociaż ogólnikowo, ilustrujący mój własny pogląd. Krytyk jednak powinienby wiedzieć, że podczas gdy ja nie jestem teleologiem, Bakon przeciwnie był zdecydowanym teleologiem, skąd wypada, że w sprawie teleologii nie mogłem uczynić tego samego

co Bakon, jeżeli już pominiemy ten niemniejszéj wagi fakt, że Bakon nie mógł znać i nie znał rzeczywiście większości faktów i argumentów, które ja dziś mogłem dla uzasadnienia poglądu swego wyzyskać. Bakon pisze: „*Metaphysicae pars secunda est finalium causarum inquisitio, quam non ut praetermissam, sed ut male collocatam notamus. Solent enim inquiri inter physica, non inter metaphysica. Quamquam si ordinis hoc solum vitium esset, non mihi fuerit tanti; ordo enim ad illustrationem pertinet, neque est ex substantia scientiarum. At hoc ordinis inversio defectum insignem peperit, et maximam philosophiae induxit calamitatem. Tractatio enim causarum finalium in physicis inquisitionem causarum physicarum expulit et dejecit.*“ W innéın znów miejscu czytamy: „*Neque haec eo dicimus quod causae illae finales verae non sint, et inquisitione admodum dignae in speculationibus metaphysicae, sed quia, dum in physicarum causarum possessiones excurrunt et irruunt, misere eam provinciam depopulantur et vastant*“ (*De augmentis scientiarum*, lib. III, cap. 4) Z tych i innych miejsc widzimy najoczywiściéj, że Bakonowi chodziło tylko o wykluczenie teoryi przyczyn celowych z fizyki, wbrew opiniom przytoczonych przezeń filozofów, i o wcielenie jéj do metafizyki, jako niezbędnego zdaniem jego działu w ogólnym systemie wiedzy. Innemi słowy, była to dlań kwestya podziału wiedzy (*ut male collocatam notamus*), nie zaś kwestya odrzucenia teleologii. Jakkolwiek więc to przykre, ale fakt: Bakon był teleologiem, a przeto nie mógł się przyczynić bezpośrednio do uszczuplenia ilości teleologów między metafizykami i pośród przyrodników.

Być może najbardziéj znamienną jest okoliczność, że p. K. z pewnym niesmakiem wyrzuca mi „zbyteczne podnoszenie metody i metodyczności a to tak dalece, że metodyczność ma być istotnym naukowości warunkiem. Odpowiadamy: jeżeli brak treści i to treści rzeczowéj nie słownéj, metoda żadnego systemu nie ocali. Autor zaś chce, żeby nawet treść była metodyczną, gdyż gani nie metodyczną“. Przyjrzyjmyż się temu zarzutowi i odpowiedzi na seryo. Przez „treść rzeczową“ w nauce niepodobna nic innego rozumiéć. jak wyobrażenia nasze o rzeczach i ich stosunkach. Otóż wyobrażenia te nie stanowią jeszcze nauki; nauka rozpoczyna się tam dopiero, gdzie się zaczyna świadome kontrolowanie według pewnéj metody nabytych wyobrażeń, pojęć, sądów i wszelkich innych wytworów umysłu naszego. Budować naukę, to znaczy budować taki system teoretyczny, w którym pojęcia i wszelkie stosunki pomiędzy temi pojęciami byłyby skontrolowane według dwojakiéj metody: o ile się one zgadzają z doświadczeniem i o ile są w logicznéj zgodności ze sobą. Tak tedy, skoro nauka bez metody istniéć nie może, więc

metodyczność jest istotnym naukowości warunkiem. Sprawdźmy z kolei o ile treść może być metodyczną lub nie metodyczną. Zaznaczyliśmy już, że „treść rzeczową“ w nauce stanowią nie realne przedmioty i stosunki lecz wyobrażenia i pojęcia o przedmiotach i stosunkach. Weźmy więc jako przykład treści rzeczowéj takie pospolite u najmniéj wykształconych osób wyobrażenia, jak wyobrażenia duszy, robaka, soli.

Już pierwsze kroki w analizie tych wyobrażeń przekonają nas że elementa, z których się te wyobrażenia składają, są zaczerpnięte albo z bardzo ograniczonego doświadczenia osobistego, albo z doświadczenia zbiorowego i przekazanego nie systematycznie, przyczém obie te kategorye doświadczeń nie zostały przekontrolowane ze świadomym zamiarem przekonania się, czy się w rzeczy saméj wyczerpało wszystko, co jest do wyczerpania względem danego przedmiotu. Innemi słowy, wyobrażenia te nie zostały metodycznie przekontrolowane pod dwoma wymienionemi względami i dlatego osoby niewykształcone częstokroć nazywają robakiem istotę, która wcale nim nie jest i naodwrót. Tak więc treść rzeczowa, np. wyobrażenie robaka, o ile nie zostało metodycznie wytworzone i przekontrolowane, o tyle nie posiada żadnéj wartości naukowéj i na każdym kroku może narażać na sądy błędne, bez możności wykrycia przyczyny błędu. Ztąd też wypada, czém ma być treść metodyczna. Pozostaje nadmienić, że treść może być wzorowo niemetodyczną, tak samo jak wniosek może być wzorowo fałszywym, chociaż zadziwia to krytyka naszego. Takie właśnie wzory błędów i fałszów logicy wybierają i podają w osobnych rozdziałach dzieł swoich, ku przestrodze czytelników.

Niepodobna wyczerpywać całego szeregu nieporozumień, co jak wiry zamętne lub niewykarczowane pniaki, zaległy łożysko wylewu krytycznego pana K. Minęły już owe dni niewinności rajskiéj dla filozofii, kiedy to każdy zapuszczał się w ten matecznik, kto się tylko mienił być posiadaczem „zdrowego rozsądku“; dziś jestto specyalność, która od adeptów swoich bezwarunkowo wymaga pewnego *minimum* wiedzy fachowéj. W tym to sensie zastrzegłem się w książce swojéj na str. 52: „W tém właśnie tkwi źródło odwiecznych i dotąd niezałatwionych jeszcze sporów o celowość we wszechświecie, podsycanych głównie przez filozofów z wolnéj ręki, którzy, poczytując filozofią za rozumowanie o wszystkiém na podstawie nieomylnych wyroków rozumu albo „zdrowego rozsądku“, wnoszą zamęt pojęć i metod nienaukowych nawet do nauki i prawdy jéj opacznie tłómaczą“. Do przykładów już rozważonych dodam jeszcze kilka drobniejszych, chociaż niemniéj pouczających

i wymownych. Domysł krytyka mojego: „Być może, iż nawet kierunki te—teleologiczny i ateleologiczny nigdy się nie spotkają na wspólnym gruncie“ jest pewnikiem, z którym nauka nie ma już żadnych kłopotów; dwa kierunki przeciwne nigdy się spotkać nie mogą, dwa sprzeczne pojęcia nie mogą się spotkać na wspólnym gruncie, bo takim gruntem wspólnym musiałby być jakiś *terminus medius*, czemu sprzeciwiałaby się wyraźnie znana zasada logiczna wyłączonego środka. Ale z téj bezwarunkowéj rozbieżności pojęć sprzecznych bynajmniéj nie wynika konieczność apatyi teoretycznéj i bezradnego opuszczenia rąk, bo właśnie o ile zostanie udowodnioną fałszywość pewnego pojęcia, o tyle staje się pewném, że sprzeczne z niém pojęcie wyraża prawdę. Albo, czego np. dowodzi zarzut następujący: „Zbyteczném jest powtarzanie analizy celu i celowości i na początku książki i ku jéj końcowi“. Oczywista, iż krytyk zupełnie nie zrozumiał tego, co czytał: na początku książki, od str. 12 do 23, zajmuję się nie analizą celu i celowości, których tylko definicye podałem, lecz psychologiczną analizą wyobrażeń celowych, co naturalnie musiało i mogło być załatwioném na samym wstępie, bez zaciekania się w dziedzinę teleologii właściwéj. Zupełnie co innego mamy na str. 122 do 155: tu podaję rozbiór logiczny i teoretyczno-poznawczy pojęcia celowości, użytego za narzędzie do poznawania przyrody, co mogło być gruntownie dokonaném tylko ku końcowi, tj. po rozważeniu owych trzech rzeczy, o których mówię we wstępie: faktu podmiotowego, faktu przedmiotowego i ich wzajemnego stosunku. Badania z zakresu teoryi poznania muszą być oparte na faktach odpowiednich, faktami zaś temi muszą być dane już objawy i wypadki działalności poznawczéj umysłu, a więc w naszém zagadnieniu faktami takiemi, które nasamprzód poznać należało, są: pojęcia obiektywnéj przyczyny celowéj, przypadku, mechanizmu i rozumu najwyższego, tudzież metody dyalektyki racyonalistycznéj i analogii,

Wreszcie pozwolę sobie odpowiedzieć na pytanie bezpośrednio do mnie przez krytyka zwrócone w tych słowach: „Co znaczy wyrażenie: biologia i socyologia wymienia się (1) płodnemi analogiami“? Znaczy to, że socyologia wytworzyła np. pojęcie podziału pracy, które biolog Milne-Edwards analogicznie zastosował w dziedzinie biologii, które i dotąd z wielkim pożytkiem bywa tamże stosowane; znaczy to, że np. pojęcie rozwoju, w tym sensie, w jakim je biologia wytworzyła, analogicznie i z pożytkiem pod wielu wzglę-

---

(1) Recenzentowi chodziło w tém miejscu o niepoprawne w języku polskim wyrażenie (*Przyp. Red*).

dami bywa stosowane w socyologii. Mam zresztą nadzieję, iż wkrótce krytyk mój będzie miał możność bardziéj dokładnego i wyczerpującego poinformowania się o moich poglądach w tym przedmiocie z rozprawy, specyalnie temu przedmiotowi poświęconéj. Gdyby p. K. tak samo był poprzestał na pytaniu swojém: „Co to za ptak owa celowość“, tobym mu odpowiedział, że celowość bynajmniéj ptakiem nie jest, że „jest ona pojęciem oderwaném i oznacza taki wogóle stosunek, jaki zachodzi pomiędzy wyobrażeniem celowém, jako zjawiskiem poprzedzającém—z jednéj strony, i uszykowaniem środków oraz osiągniętym skutkiem, jako zjawiskami następczemi—z drugiéj strony“. W ten sposób uniknęłoby się niebezpiecznych wycieczek w pogoni za urojonym ptakiem i niewdzięcznéj roli bohatera, wybierającego się z motyką na słońce.

Ad. Mahrburg.

= Komunikowany mi łaskawie przez Redakcyą „Ateneum“ powyższy artykuł polemiczny p. M. przeczytałem, a nie chcąc przeciągać bezowocnéj logomachii, pozostawiam mu ostatnie słowo.

K.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Smutny los kronikarza.—Ukonstytuowanie sekcyi handlowéj w tow. popierania przemysłu i handlu.—Rozsiedlenie wykształconych handlowców na prowincyi.—Nasze zabawy i bale dobroczynne.—Proces kukizowski.—Bank poznański.

Moja ostatnia kronika miała „pech“,—jak się w pewnych kołach wyrażają.

Grudniowa miała nieszczęście niepodobania się pewnemu recenzentowi z „Kuryera Warszawskiego“. Recenzent ów w sprawozdaniu, posiadającém sporą dozę nieświadomego humoru, „zbabrał“ różne działy „Ateneum“, ubrdawszy zaś sobie, że kronika naszego pisma powinna być felietonem, zrobił jéj zarzut ciężkości, Pewne zajęcia wyrabiają pewne specyalne sposoby widzenia rzeczy. Zrozumiałem by np. było, gdyby skoczek cyrkowy przyganiał rolnikowi, orzącemu skibę, iż ten nie wywraca koziołków, idąc za pługiem, albo że nie na rękach, lecz tak sobie ordynarnie nogami stąpa. Podobnież poszukiwanie przez pana *wg.* z „Kuryera“ wokół siebie materyału do felietonu i sądzenie wszelkich utworów literackich z felietonowego punktu widzenie (pyszny jest np. ów pan *wg.*, gdy zapewnia swych czytelników, że kwestya opinii publicznéj jest „lekką“ i że powinna być traktowana „felietonowo“) zdradza w nim felietonistę i to felietonistę-zelanta, cierpiącego na halucynacye felietonowe. Z takim jednak recenzentem to jeszcze pół biedy. Zbabrany kronikarz, niby ów w bajce Lafontainowskiéj młynarz, co podróżował ze swym synem i z..., spostrzega jak to trudno dogodzić przechodniom i... jedzie daléj.

W towarzystwie popierania przemysłu i handlu ukonstytuowała się w tych dniach sekcya 5-ta, handlowa, która długi czas z powodu choroby prezydującego w niéj p. Stanisława Kronenberga pozostawała bezczynną. Obecnie wybrano p. Juliana Wieniaw-

skiego na prezesa, p. Bronisława Wernera na wiceprezesa, i p. Kazimierza Natansona na sekretarza sekcyi. Wszyscy trzéj nowowybrani zbyt dobrze są znani i cenieni w świecie handlowym warszawskim, żebyśmy potrzebowali wypowiadać pochwały o ich wartości osobistéj. Zaznaczymy więc tylko pobieżnie, iż każdy z członków nowego prezydyum zaleca się rzadką w naszém społeczeństwie cnotą, a mianowicie pracowitością. Dla tego można mieć otuchę, iż się w nowo ukonstytuowanéj sekcyi spotkamy z prawdziwą, a pożyteczną pracą społeczną.

Ponieważ obszerny bardzo program zajęć sekcyi 5-téj obejmuje oprócz handlu, jeszcze statystykę, taryfy, kolejowe i wszelkie inne komunikacye, cła protekcyjne i wogóle sprawy ekonomiczne naszego kraju, ma przeto wzmiankowana sekcya wybitne w towarzystwie popierania przemysłu i handlu znaczenie.

Może téż dzięki przyszłéj działalności nowego prezydyum doczekamy się upragnionych oddawna ułatwień dla naszych przemysłowców i handlowców, a mianowicie przewodnika przemysłowo-handlowego, stałéj wystawy próbek,—wogóle może téż sekcya 5-ta w nowym składzie mniéj będzie kołatać do władz o podwyższanie ceł, mających za skutek wzbogacenie pojedyńczych przemysłowców, ale jednocześnie i zubożenie ogółu konsumentów, płacących drogo za protegowany towar,—więcéj zaś przyłoży starania do rozbudzenia w społeczeństwie naszém ducha inicyatywy, pomocy własnéj w sprawach handlowych.

Między innemi, czy nie dałaby się urządzić pewna opieka i dyrektywa względnie do wychowańców szkoły handlowéj. Czy nie byłoby możliwém rozrzucenie ich po kraju całym, zamiast koncentrowania wyłącznie w Warszawie, lub wyjazdu na wschód daleki? Jeżeli metody wprowadzeniu naszego handlu warszawskiego wiele jeszcze pozostawiają do życzenia, to prowincya jest obsługiwaną dotąd w sposób zupełnie średniowieczny. Masy drobnych handlarzy, ciemnych, za natychmiastowym zyskiem goniących, gotowych— dla powiększenia swego zarobku o parę groszy—do narażenia swoich klientów o straty setek rubli,—bardzo szczupły zapas wiadomości handlowych, a skrzętne skrywanie nawet tych okruchów przed kundmanami, w nadziei łatwiejszego wyzysku,—oto typy handlarzy prowincyonalnych i sposoby ich działania.

W Warszawie natomiast spotykamy jednostki z pewném wykształceniem handlowém, pozostające całe życie w roli oficyalistów zależnych, i niemogących nigdy dojść do samodzielnego stanowiska.

Czy dla tych jednostek, a przedewszystkiem czy dla kraju całego nie stanowiłoby prawdziwéj korzyści osiedlanie się takich

wykształceńszych teoretycznie jednostek po mniejszych miastach prowincyonalnych. Jednostki owe znalazłyby tam swobodniejsze pole do pracy i łatwiejszą możność wyrobienia sobie samodzielnego stanowiska. Tylko potrzebaby je — ze względu na niedostateczne czasem wyrobienie praktyczne — otoczyć na początku ich działalności pewną opieką — przez udzielenie informacyi, wskazanie źródeł kredytu i rynków zbytu itp.

Dla kraju znów taka decentralizacya inteligencyi we wszelkich zawodach byłaby także korzystną. W ostatnich czasach pisma nasze podnosiły tę kwestyę co do lekarzy i prawników.

Analogiczne zjawisko byłoby pożądaném i w sferze handlowéj, a do wywołania go mogłoby się przyczynić towarzystwo popierania przemysłu i handlu.

* * *

Warszawa uważana jest jako miasto bardzo dobroczynne. W liczbie wielu innych iluzyi, panuje wśród nas złudzenie, iż publiczność nasza robi dla dobroczynności tak wiele, jak żadna inna na świecie. Zachowując sobie do jednéj z przyszłych kronik możność zestawienia cyfr, wykazujących, jak bardzo jesteśmy, pod względem stosunkowéj ofiarności publicznéj zdystansowani przez inne społeczeństwa, chcę pomówić w téj chwili—jako w chwili karnawałowéj — o zabawach na cel dobroczynny. Zabaw tych mamy rokrocznie cały szereg. Bazary, gwiazdki, widowiska teatralne, koncerty, a potém nieskończony szereg balów na rozmaite cele dobroczynne. We wszystkich zabawach podobnych a zwłaszcza na balach, olbrzymia jest dysproporcya poniesionych przez publiczność kosztów z jednéj, a otrzymanych przez instytucye dobroczynne korzyści z drugiéj strony. Gdybyśmy policzyli koszta strojów damskich na każdym balu, z dochodem z niego osiągniętym, przyszlibyśmy do przekonania, że pod względem ekonomicznym bal dobroczynny przynosi stratę społeczeństwu. Bo dziwnym rzeczy porządkiem, bale dobroczynne u nas nie najskromniejszemi są, co do strojów kobiecych, lecz przeciwnie najzbytkowniejszemi wśród wszystkich balów publicznych. Na zwykły wieczór tańcujący do jednéj lub drugiéj resursy, można włożyć suknię skromną, byle gustowną, ale na bal np. szpitalika dziecinnego, to uważa się za niemożliwość zupełną. Ztąd téż na cały sezon zimowy udają się zwykle dwie, najwyżéj trzy zabawy takie, reszta robi *fiasco*. I w bieżącym „mięsopuście“ mieliśmy już bal na potrzebną bardzo instytucyę kolonii rolniczych, bal reklamowany, popierany przez prasę, a jednak świecący pustkami; mieliśmy bal drugi na Przytulisko, piękny i świetny co do

strojów, ale niezbyt liczny. Nie można mieć za złe, że się panie nasze zaczynają liczyć z kieszenią swoją, lub swych mężów, boć nie jedna z nich widziała, jak wspierający dziadów sami schodzili na dziady. Z drugiéj strony potrzeba niezwykłéj odwagi cywilnéj, by iść wbrew prądowi, by się nie dostroić do panującego „tonu". Otóż tym „tonem" nieodpowiednim dla naszego kraju jest zbytek w strojach kobiecych balowych.

To czego może sobie pozwolić społeczeństwo francuskie, angielskie, lub niemieckie, wogóle społeczeństwo bogate, mające ogromne kapitały zapasowe i pomnażające je co roku skrzętną i zabiegłą pracą, to dla nas za normę służyć nie może. Tymczasem my nietylko staramy się im dorównać, ale nawet prześcignąć w zbytku strojów kobiecych.

Zresztą wśród tak bogatych nawet społeczeństw, jak francuskie, obok zabaw z wielkim przepychem połączonych, spotykamy od czasu do czasu rozmyślnie skromne. I tak np. przypominamy sobie uwieńczone wielkiém powodzeniem „bale kretonowe", na których damy francuskie ubrane były w suknie wyłącznie z kretonów alzackich. Oto typ zabawy na cel dobroczynny.

Czy u nas coś podobnego nie dałoby się urządzić. Możeby się i dało, gdyby inicyatywę chciały wziąć w ręce panie, wpływ i znaczenie w szerszych kołach towarzyskich mające.

Znam ja pewne w naszém społeczeństwie koło ludzi zamożnych a pracowitych, w którém zbytek jest stale z zasady wyłączony z życia. W tém kole, może jedyném w naszém społeczeństwie, nie żyje się nad skalę, w tém kole, matki za główny cel życia stawiają wychowanie swych dzieci... Nie chcę wpaść w ton panegiryku, nie chcę zresztą mówić rzeczy nieprawdopodobnych dla czytelników, którzy koła tego nie znają, a zbyt znowu dobrze znanych tym, którzy mieli możność je obserwować. Może panie z tego koła zechciałyby wziąć inicyatywę urządzenia zabawy dobroczynnéj, na którą przyrzekłyby się ubrać skromnie w suknie z materyałów wyłącznie krajowych. Niechby się jedna taka zabawa udała, a... przykład bywa zaraźliwy.

* * *

Sprawa kukizowska zajmuje wciąż szpalty naszych gazet i pochłania uwagę publiczną. W téj gorączkowéj ciekawości przebiegu sprawy karnéj, jest coś niezdrowego. Obok jednak téj ciekawości, przyznać trzeba, że i dla obserwatora społecznego proces kukizowski jest materyałem ciekawym i pouczającym. Ciekawym i pouczającym jest ten proces nie ze względu na winę lub niewin-

ność podsądnych. W każdém społeczeństwie zdarzają się zbrodniarze we wszelkich sferach towarzyskich i wyprowadzanie z jednostkowych przykładów zbyt daleko idących wniosków o zepsuciu moralném całych warstw społecznych byłoby nieścisłém. Wszędzie znów zdarzają się omyłki sądowe, zdarzają się niewinni postawieni przed sąd, a nawet osądzeni, z istnienia przeto omyłki— gdyby takowa sprawdzoną została — nie można jeszcze wyprowadzać stanowczych konkluzyi o instytucyach sądowych pewnego kraju.

Ale co za smutny kalejdoskop typów galicyjskich przesunął się przed naszemi oczyma w procesie kukizowskim!

Toczące się ku ruinie obywatelstwo, charakter jego młodych przedstawicieli, stosunek obywatelstwa do ludu, sylwetki duchowieństwa, rola żydów w życiu wiejskiém, nareszcie sposób prowadzenia rozpraw sądowych, wszystko to niewesołe, arcy niewesołe obrazki z życia społecznego w Galicyi...

(— X —)

= **Sprawozdanie Biblioteki polskiéj w Rumunii za rok 1888.** Ponieważ w r. b. otrzymaliśmy w darze 134 a kupiliśmy 72 tomów, książnica zatém obecnie zawiera 4623 tomów. Szczególnéj życzliwości doznawaliśmy od dziennikarstwa naszego, odbieraliśmy bowiem darmo: Tygodnik ilustrowany, Wędrowiec, Słowo, Rolę, Gazetę świąteczną, Dziennik dla wszystkich, Przyjaciela zwierząt, Wieczory rodzinne, Kronikę rodzinną, Ateneum, Gońca Świątecznego, Iskrę, Ognisko domowe, Muzeum, Zgodę (z Ameryki) i niektóre wydawnictwa księgarni katolickiéj w Krakowie; za zwrotem porta: Prawdę, Głos, Gazetę narodową; za pół ceny: Kłosy, Biesiadę literacką, Wszechświat, Przegląd tygodniowy, Kuryera lwowskiego. Tak samo za pół ceny odstępowały dzieła swe nakładowe księgarnie warszawskie. To też z głębi serca przesyłamy wszystkim dobrodziejom, troskliwym o wzrost Biblioteki staropolskie: Bóg zapłać! jak niemniéj opiekunom naszym: Z. Miłkowskiemu. A. Małeckiemu, E. Orzeszkowéj. J. Baudouin de Courtenay, L. Jenikemu, B. Dybowskiemu, F. Kopernickiemu, P. Chmielowskiemu, A. Morgenbesserowi. E. Callierowi i J. Czepielowskiemu, którzy prawie wszyscy poprzesełali dary w książkach lub, co ważniejsza, rady i zachętę do wytrwania w pracy.

Dochód biblioteki.

Składki 43 członków z których 13 było uwolnionych fr.	319.50
Dochód z funduszu żelaznego . . . . „	819.60
Dochód nadzwyczajny . . . . „	21.10
	fr. 1160.20

Rozchód.

Kupione książki i czasopisma	fr. 361.80
Oprawa książek	„ 102.85
Pomieszkanie, opał, światło	„ 420.00
Porto listów i paczek	„ 70.75
Zwrot pożyczki bezprocentowéj	„ 150.00
Na obchód Mirona	„ 50.00
Dla funduszu żelaznego	„ 4.80
	fr. 1160.20

Oprócz tego dano z reszty funduszu szkolnego 100 fr. w złocie pewnemu uczniowi w zaborze pruskim, zaś Czytelni w Paszkanach 34, w Botuszanach 20 dzieł darowano, oraz pierwszéj wypożyczono z Biblioteki 140 tomów na 5 miesięcy za darmo.

Wreszcie wskutek zabiegów naszych, zaczęto w r. b. uczyć po polsku w szkole tutéjszéj parafii katolickiéj.

Oto są główniejsze czynności Biblioteki w 23-cim roku istnienia swego, przedstawione wedle prawdy i rzeczywistości.

Jasy dnia 31 Grudnia 1888.

Prezes: Dr. Łukaszewski, (à Jassy—Roumanie). Członkowie: X. Chwała, A. Gąsiorowski, Dr. Lippe, E. Beldowicz.

KONKURS.

— **Ogłoszenie Rady ogólnéj Cesarskiego Warszawskiego Uniwersytetu**. Dotąd nie przedstawiono ani jednego dzieła odpowiadającego warunkom konkursu dla pozyskania nagrody Adama Chojnackiego, na temat wyznaczony w r. 1886 przez fakultet historyczno-filologiczny Uniwersytetu Warszawskiego. Stosownie przeto do § 13 „Warunków ogłoszenia konkursu i przyznania nagrody imienia Chojnackiego za dzieła popularne, mające na celu oświatę ludu“, termin przedstawienia dzieła konkursowego przedłuża się jeszcze do dnia 30 Kwietnia v. s. 1889 roku, a nagroda przyznaną będzie nie rs. 900, a rs. 1350.

Temat w r. 1886 wyznaczony pozostaje nadal, a mianowicie: „Krótki rys historyczny wyparcia lechickich słowian przez niemców z nad Elby, Odry, Wisły i pobrzeży morza Baltyckiego, ze szczegółowém wyjaśnieniem przyczyn tego zjawiska.“

Dzieło powinno zawierać w sobie:

1. Ogólny obraz rozmieszczenia lechickich słowian, t. j. bodryczów, lutyków, pomorzanów i polaków, w IX—XI stóleciach, z dodaniem historyczno-jeograficznéj mapy;

2. Krótki rys stopniowego zmniejszania się terytoryum lechickiego od zachodu w epokach średniowiecznéj i nowéj, z dodaniem map XV i XIX wieku.

3. Dokładne wyjaśnienie przyczyn stopniowéj przewagi niemców nad słowianami lechickimi, ze szczegółowém zwróceniem uwagi na sprzyjające téj przewadze warunki:

a) plemienne, zależące od osobliwości fizycznego i psychicznego typu jednych i drugich;

b) kulturne, w szczególności zaś polityczne, społeczno-ekonomiczne i religijno-moralne.

W tym ostatnim dziale należy w badaném zjawisku dokładniéj przedstawić rolę niemieckiéj kolonizacyi (w związku z napływem żydów), łacińsko-niemieckiéj szkoły i zachodniego kościoła.

Warunek zasadniczy: Wykład zrozumiały dla wszystkich, a zarazem zupełna objektywność i naukowa ścisłość treści.

Wyciąg z warunków konkursu. Dzieło powinno być napisane w języku ruskim i przez ruskiego poddanego: bądź to już drukowane, bądź téż w rękopisie, napisane porządnie i wyraźnie. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku ruskim lub polskim pozostawia się uznaniu autora.



NEKROLOGIA.

† **Felicya z Wasilewskich Boberska,** urodzona r. 1825, po skończeniu wykształcenia oddała się zawodowi nauczycielskiemu i przez lat wiele kierowała we Lwowie dobrze urządzonym pensyonatem żeńskim, zyskując poważanie i wdzięczność. Ogłosiła drukiem: „Historyą literatury polskiéj, ofiarowaną młodym uczącym się Polkom“ (Lwów, 1867 str. 520), „Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, odczyt“ (Lwów, 1871, str. 21), przełożyła z niemieckiego dzieło do czytania dla młodzieży: „Beckera oblężenie Troi“ (Lwów, 1867). Zmarła 15 stycznia r. b. w Rudenku pod Łopatynem w Galicyi.

† **Mikołaj Sarnecki** urodzony w Równem 14 grudnia 1832 r., ukończywszy gimnazyum żytomierskie, był czas jakiś w uniwersytecie kijowskim równocześnie z Leonardem Sowińskim, z którym się zaprzyjaźnił, został potém plenipotentem książąt Sanguszków w Zasławiu. Pisywał artykuły do „Gazety Codziennéj i Polskiéj“ gdy ta zostawała pod redakcyą Kraszewskiego (1859—62), i do „Przeglądu europejskiego“, do „Tygodnika Ilustrowanego“, „Kło-

sów" i „Przyjaciela dzieci". Z większych prac wymienić należy studyum o Szewczence, komedyą dwuaktową „Polowanie" (Warsz. 1876). Od r. 1868 mieszkał w Warszawie, otrzymawszy znaczną posadę na kolei. Umarł w styczniu r. b. w Żytomierzu.

† **Feliks Miaskowski** urodzony w r. 1809, kształcił się u pijarów na Żoliborzu, ukończył wydział prawny uniwersytetu warszawskiego w 1829 ze stopniem magistra. Wysłany przez księcia Lubeckiego za granicę dla zaznajomienia się z instytucyami kredytowemi, po powrocie wszedł do komisyi spraw wewnętrznych, gdzie został komisarzem fabryk, od 1830 był dyrektorem kancelaryi w Izbie obrachunkowéj. Przeniósł się 1854 do Petersburga i wstąpił na służbę do sekretaryatu stanu Królestwa Polskiego. W 1876 wysłużył emeryturę. Rozpoczął swe prace literackie od dziennikarstwa. W r. 1838 wydawał „Korespondenta" i „Rozmaitości", pisywał rozprawy do „Biblioteki Warszawskiéj" (O przedsięwzięciu żeglugi parowéj na Wiśle), ogłosił „Rzut oka na wystawę płodów przemysłu krajowego w Warszawie r. 1845 odbytą", skreślił „Zarys projektu założenia banku zbożowego" (1859), oraz „Du crédit foncier et de son avenir en Russie" (Petersburg, 1860), przesyłał artykuły do czasopism ekonomicznych francuskich, do „Journal de St. Petersburg". Umarł w Paryżu w styczniu r. b.

† **Ignacy Domejko** urodził się 22 sierpnia 1802 r. we wsi Niedźwiadce, pow. nowogrodzkim. Szkoły odbył w szkole pijarskiéj w Szczuczynie, poczém w r. 1818 wszedł do uniwersytetu wileńskiego, oddając się studyom matematycznym i przyrodniczym; wtedy zabrał znajomość z Adamem Mickiewiczem i był odtąd jednym z najserdeczniejszych przyjaciół wielkiego wieszcza. Uzyskawszy stopień magistra, pracował daléj nad naukami przyrodniczemi. W 1824 osiadł w Zapolu (pow. lidzkim), majętności stryja swojego i zajął się gospodarstwem. Potém przeniósł się do Paryża i z zapałem poświęcił się chemii i gieognozyi w *Ecole des mines*. Poczém osiadł w Alzacyi i pracował przy hutach. W r. 1837 zawiadomiony przez Mickiewicza o poszukiwaniu przez rząd chilijski profesora chemii i mineralogii do mającego założyć się uniwersytetu w Coquimbo, przybył do Paryża i zawarł umowę z przedstawicielem rzeczypospolitéj chilijskiéj na lat sześć i w 1838 już był na miejscu. W Coquimbo założył laboratoryum, wykładał chemią i mineralogią, prowadząc z uczniami ćwiczenia praktyczne w analizie minerałów i odbywając wycieczki naukowe. Rezultaty swoich badań przesyłał początkowo do „Annales des mines" wychodzących w Paryżu, potém pisał po hiszpańsku, układając podręczniki do wykładu fizyki i mineralogii. W 1846 powołany do nowozałożonego uniwersytetu

w Santiago wykładał tu chemią, fizykę i mineralogią, pisując rozprawy z dziedziny metalurgii i gieologii. W r. 1857 został dziekanem wydziału, potém rektorem uniwersytetu. Do podniesienia oświaty w Chili przyczynił się nie tylko swemi badaniami i wykładami, ale także powierzoną sobie organizacyą wychowania publicznego oraz humanitarnemi projektami względem tubylczéj ludności Araukanow. Napisał téż bardzo piękną książkę p. t. „Araucania y sus habitantes“ tłomaczoną na język polski przez Leona Rettela i wydaną w Wilnie r. 1860 (str. 227). Opis swojéj podróży do Chili podał r. 1857 w Dodatku miesięcznym do „Czasu“. Prócz tego pisywał po polsku artykuły do „Roczników Towarzystwa historyczno-literackiego“, „Przeglądu Lwowskiego“ „Kroniki Rodzinnéj“ „Biblioteki Warszawskiéj“. W 1884 powrócił do kraju i serdecznie wszędzie był witany. Odwiedziwszy strony rodzinne, udał się znowu do Chili, gdzie pozostawił dwu synów. Tu téż śmierć go zaskoczyła 23 stycznia r. b. w Santiago. Cześć pamięci uczonego i zacnego człowieka.

† **Adolf Szumlański** urodzony w 1804 r. były nauczyciel matematyki, zmarł w Warszawie 28 stycznia r. b. Pracował specyalnie nad układem schematów w rejestrach fabrycznych i rolniczych i ogłosił w tym przedmiocie kilka prac, jak „Buchalterya i rachunkowość gospodarska“ i „Rachunkowość kupiecka“, drukowane w roku 1866.

† **Wiktor Kopff**, urodził się w r. 1805, nauki kończył w uniwersytecie jagiellońskim, gdzie uzyskał stopień doktora prawa w r. 1829. Poświęciwszy się służbie publicznéj, osiągnął w końcu godność prezesa sądu apelacyjnego w Krakowie i w témże mieście zakończył życie 28 stycznia r. b. Był współredaktorem „Kwartalnika naukowego“, w którym drukował swe prace. Z rzeczy osobno ogłoszonych wymienimy: „Rys organizacyi trybunałów francuskich“, „O więzieniach pokutnych“, „O posiadaniu“.

† **Gracyan Czarnecki**, dawniéj asystent przy katedrze astronomii w uniwersytecie kijowskim, następnie nauczyciel gimnazyum realnego w Warszawie, wreszcie nauczyciel matematyki w Kielcach, zmarł tamże w ostatnich dniach stycznia r. b. Do końca życia zajmował się spostrzeżeniami astronomicznemi, dla których urządził sobie miniaturowe obserwatoryum.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

OGŁOSZENIA.

NOWE KSIĄZKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w kwartale IV 1888 r.

---

1. **O różnych rodzajach wpisów hypotecznych** niestanowczych. Zbiór artykułów ogłoszonych w Gazecie Sądowej Warszawskiej przez *Feliksa Jeziorańskiego.* Warsz. u Gebethnera i Wolffa, 1889, 8-o, str. 148.
2. **Formulae ad ius canonicum spectantes,** ex actis Petri Wysz, episcopi Cracoviensis (1392—1412) maxima parte depromtae edidit *B. Ulanowski.* Krak. 1888, 4-o, str. 94.
3. **Katalog księgozbioru, rękopisów.** dyplomów, rycin, map. atlasów, fotografji, jakoteż osobistych dyplomów, adresów i t. p. **pozostałych po ś. p. Józefie Ignacym Kraszewskim.** Staraniem Franciszka Kraszewskiego uporządkował i spisał *Michał Pawlik.* Lwów 1888, 8-o, str. 649.
4. **Sprawozdanie Towarzystwa opieki nad ubogiemi matkami** oraz ich dziećmi w Warszawie. Rok 1887. Warsz. 1888, 8-o, str. 36.
5. **Prace matematyczno-fizyczne.** Wydawane w Warszawie przez *S. Dicksteina, Wł. Gosiewskiego, Edw.* i *Wł. Natansonów.* Warsz. skład u Gebethnera i Wolffa. 1888, wielkie 8-o, Tom I, str. X, 223 i kart nlb. 3. (cena rs. 2).
6. **Program** ces. król. Szkoły politechnicznej we Lwowie na rok naukowy 1888—1889 (XVII). Lwów, 1888. 8-o, str. 65.
7. **Programme** des cours de l'Université de Genève pendant les deux semestres de l'année 1888—1889. Genève, 1888, 8-o, str. 43.
8. **Faust** tragedya Gothe'go. Przełożył *Ludwik Jenike.* Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1889, 8-o str. 244.
9. **Na placówkach życia.** Przez *Feliksa Ehrenfeuchta.* Powieść społeczna, wyróżniona na konkursie „Kurjera Warszawskiego" w m. maju 1888 r. Warsz. skład gł. w drukarni W. Ratyńskiego, 1889, 8-o, str. 207 (cena rs. 1 kop. 20).
10. **Słówko o racyjonalnej grafice polskiej** napisał *Edward Bogusławski.* Krak. 1888, 8-o, str. 8.
11. **Henryk Ibsen** sylwetka literacka przez *Szymona Wollernera.* Lwów, nakład czasopisma „Ruch", 1888, 8-o, str. 56.
12. **Teorya celowości** ze stanowiska naukowego. Studyjum filozoficzne przez *Adama Mahrburga.* Krak. 1888, 8-o, str. 176.
13. **Prawo spadkowe rzymskie** napisał *D-r Leonard Piętak* profes. uniwers. Lwowskiego. Tom II, część 1. Dziedziczenie beztestamentowe. Lwów, nakład autora, 1888, 8-o, str. 218.
14. **Sejm czteroletni** napisał *X. Waleryan Kalinka.* Tom III. Lwów, nakł. księg. Seyfartha i Czajkowskiego, 1888, 8-o, str. 115.
15. **Co jest hypnotyzm?** Napisał *Ks. Maryan Morawski* (odbitka z „Przeglądu Powszechnego"). Krak. 1889, 8-o, str. 34.
16. *D-r Maurycy Meyer.* **Główne kierunki najnowszej ekonomii politycznej** na podstawie historycznej i krytycznie przedstawione. Przełożyli z ostatniego wydania niemieckiego *Feliks Jeziorański* i *Józef Piasecki.* Warsz. nakład księg. Teod. Paprockiego i S-ki, 1889, 8-o, str. 271.
17. *Kazimierz Kleczkowski,* docent c. k. szkoły politechn. we Lwowie, **Z wrażeń karnawałowych obrazki i ramki.** Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1889. małe 8-o, str. 135.
18. **Gość. Kalendarz K. Promyka** na rok zwyczajny 1889 (Wydawnictwo Księgarni Krajowej i Gazety Świątecznej); Warsz. 8-o, str. 160.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Января 1889 г.